

**Abraham Merritt**

**Pierścień Krakena**

**czyli**

**Mieszkańcy mirażu**

*Przełożyła Anna Bańkowska*

# KSIĘGA KALK'RU

## Rozdział I

### NOCNE ODGŁOSY

Uniosłem głowę. Zastygły w oczekiwaniu, nasłuchiwałem nie tylko uszami, lecz dosłownie każdym kawałeczkiem skóry. Jednakże dźwięk, który mnie obudził, nie powtórzył się. Wszędzie panowała cisza, absolutna cisza. Żadnych szelestów w konarach świerków otaczających ciasno małe obozowisko. Żadnych odgłosów świadczących, że w poszyciu leśnym kryje się jakieś żyjątko. Przez strzeliste czuby drzew przebijało blade światło gwiazd widocznych w krótkim okresie mroku, który podczas wczesnego alaskańskiego lata oddziela zachód słońca od wschodu.

Nagle wierzchołki świerków zakołysały się. Wtedy, razem z wiatrem, pojawił się znowu ten dźwięk: pobrząkiwanie uderzanego kowadła.

Wysunąłem się spod koca i wokół dogasającego ogniska poszedłem w stronę Jima. Powstrzymał mnie jego głos: – W porządku, Leifie. Słyszę.

Wiatr westchnął i umilkł. Umilkło też kowadło. Zanim któryś z nas zdołał się odezwać, ponownie zerwał się wicher, niosąc z sobą ten sam natarczywy, lecz słaby, dobiegający gdzieś z daleka odgłos. I znów wszystko ucichło.

To kowadło, Leifie.

– Słuchaj!

Silniejszy podmuch zgiął czuby świerków. Jednocześnie dał się słyszeć daleki śpiew; wielogłosowy chór mężczyzn i kobiet zawodził dziwną, minorową melodię, zakończoną archaicznym dysonansem.

Przeciągły łoskot bębnow wzbil się w niebo żywiołowym crescendo i zaraz ucichł, ustępując hałaśliwemu zgiełkowi piskliwych głosów. Te z kolei zagłuszył przetaczający się w oddali długi, jakby zwiastujący burzę grzmot. Brzmiała w nim pewna prowokacja, wyzwanie.

Zamieniliśmy się w słuch. Świerki ani drgnęły. Wiatr umilkł na dobre.

– Dziwne jakieś te dźwięki, prawda? – Starąłem się, by pytanie zabrzmiało zdawkowo.

Jim wyprostował się. Nie patrzył na mnie. W dogasającym ognisku zajęta od żaru gałązka zapłonęła silniejszym blaskiem. Na tle otaczającej nas ciemności widziałem odcinającą się wyraźnie pociągłą, brunatną twarz o jastrzębim profilu.

– Wszyscy pierzaści przodkowie od setnego pokolenia zbudzili się i wrzeszczą – odezwał się w końcu. – Lepiej nazywaj mnie „Tsantawu”, Leifie. Tsi’Tsalagi – jestem Czirokezem! A w tej chwili – przede wszystkim Indianinem.

Uśmiechał się, lecz nadal patrzył w bok, co mi odpowiadało.

– To było kowadło. Wielkie jak cholera. A śpiewały setki ludzi. Właściwie jak to możliwe na tym pustkowiu?

– Te głosy wcale nie przypominały Indian...

– Bębny nie były indiańskie. – Kucnął przy ognisku, nie odrywając od niego oczu. – Kiedy przyładowali, to jakby mi coś wygrywało pizzicato igiełkami lodu po grzbiecie.

– Też mi działały na nerwy. – Myślałem, że mówię spokojnie, ale on podniósł nagle głowę, obrzucając mnie czujnym spojrzeniem. Teraz ja się odwróciłem i wbiłem wzrok w dogasający żar. – Te bębny przypomniały mi coś, co słyszałem... i chyba widziałem... w Mongolii. To także był śpiew. Do diabła, Jim, co się tak na mnie gapisz?

Rzuciłem patyk w ognisko. Nawet za cenę życia nie potrafiłem oderwać się od poszukiwania cieni... Nagle Jim spojrzał mi prosto w oczy.

– Raczej wrednie tam było, co?

Nie odpowiedziałem. Jim wstał i podszedł do tobołów. Przyniósł trochę wody i zalał ognisko. Potem nagarnął ziemi na syczące węgielki. Jeśli nawet zauważył, jak drgnąłem, kiedy cienie nas z nagłą zaatakowały – nie okazał tego.

– Wiatr wieje z północy – rzekł. – Więc dźwięki też pochodzą stamtąd. Cokolwiek jest ich źródłem, znajduje się na północ od nas. A więc... w którą stronę jutro ruszymy?

– Na północ – odparłem, czując, jak zasycha mi w gardle.

Jim wybuchnął śmiechem. Położył się na kocu i zawinął starannie. Oparłem się o pień twarzą ku północy.

– Przodkowie drą się wniebogłosy, Leifie. Zdaje się, że na północy czeka nas wigwam pełen trosk. „Złe czary – mówią. – Złe czary na ciebie, Tsantawu! Zmierzasz do Usunhi’yi, do Mrocznej Ziemi, Tsantawu. Do Tsusgina’i, krainy duchów! Strzeż się! Odwróć się od północy, Tsantawu!”

– Och, śpij wreszcie, ty koszmarny puszczyku!

– W porządku, chciałem cię tylko ostrzec. – Po jakimś czasie dodał: – Głosy przodków wieszczących wojnę są gorsze niż sama wojna!

– Do diabła, czemu się wreszcie nie zamkniesz!

Z ciemności dobiegło kaszlnięcie. Potem zapadła cisza.

Oparłem się wygodniej o drzewo. Odgłosy, a raczej ożywione przez nie koszmarny, wstrząsnęły mną bardziej, niż się chciałem przyznać, nawet przed samym sobą.

Przedmiot, który od dwóch lat nosiłem w skórzanym woreczku przyczepionym do łańcuszka na szyi, nagle się poruszył. Poczulem chłód. Ciekawe, ile też Jimowi udało się odgadnąć z tego, co próbowałem przed nim ukryć?

Czemu zagasił ogień? Ponieważ wiedział, że się boję? Żeby mnie zmusić do zmierzenia się z mym lękiem i pokonania go? A może to indiański instynkt nakazujący szukać schronienia w ciemności? Sam przyznał, że pienia i bicie w bębny denerwowały go tak samo jak mnie...

Strach! Oczywiście, to dlatego dłonie mi się spociły i gardło ścisnęło tak mocno, że aż puls

zaczął walić w uszach jak bębny.

Jak bębny... tak!

Ale nie jak tamte, których odgłos przyniosły nam porywy północnego wicheru. Te przypominały kadencję wybijaną nogami mężczyzn i kobiet, młodzieńców i dziewczyn, a także dzieci, wznoszącą się z coraz większą szybkością po ścianach kotliny, by zaraz pograżyć się w próżni... roztopić w nicości... opaść, jak oni padli, wessani... pochłonięci przez nicość...

Jak te przeklęte werble, które słyszałem dwa lata temu w sekretnej świątyni na Gobi!

Zresztą ani wtedy, ani teraz nie chodziło o sam strach. Owszem, strach też, ale pokonany przez opór... Sprzeciw życia wobec jego negacji, gwałtowny, żywiołowy gniew, zaciekle walczył tonącego z zalewającą go wodą, bunt pałający się świecy zagrożonej zgaszeniem...

Chryste! Czy to naprawdę takie beznadziejne? Jeśli moje podejrzenia są słuszne, takie myśli mogą oznaczać, że zostałem pokonany na samym początku!

I jeszcze Jim! Jak go utrzymać z dala od tego?

W głębi duszy wcale nie śmieszyły mnie te podświadome percepcje – czy cokolwiek to było – które nazywał głosami swych przodków. Kiedy mówił o Usunhi'yi, Mrocznej Ziemi, czułem na plecach zimny dreszcz. Bo czyż stary ujugurski kapłan nie mówił o Krainie Cienia? Zupełnie jakbym słyszał echo jego słów.

Zerknąłem na Jima. Był mi bliższy niż rodzeni bracia. Śmieszne. Nigdy nie miałem wrażenia, że w ich i moich żyłach płynie ta sama krew. Cała rodzina, z wyjątkiem matki, Norweżki o łagodnym głosie i czułym sercu, uważała mnie za obcego. I rzeczywiście czułem się obco w tym starym domu, choć przyszedłem tam na świat. Najmłodszy syn, niepożądany intruz, odmieniec... A przecież to nie moja wina, że okazałem się wcieleniem antenatów mej matki: jasnowłosych, niebieskookich, mocno umięśnionych wikingów. Całkiem nie jak Langdon. Mężczyźni z tej rodziny są bowiem małowłosymi, szczupłymi brunetami o wąskich wargach, powielanymi od pokoleń według tej samej sztancy. Z rodzinnych portretów przyglądali się odmiencom z nikłym uśmiechem pokrywającym wyniosłą niechęć. Dokładnie tak samo patrzyli na mnie mój ojciec i czterej bracia, Langdonowie w każdym calu, kiedy niezdarnie próbowałem wcisnąć swe potężne ciało na miejsce przy rodzinnym stole.

Takie odrzucenie, choć oczywiście przykre, sprawiło, że matka przylgnęła do mnie całym sercem. Nieraz zastanawiałem się, jak doszło do tego, że ona, w której żyłach płynęła korsarska krew, zdecydowała się ulec temu ciemnowłosemu egocentrykowi, mojemu ojcu. To ona nadała mi imię „Leif” – niemal tak nie pasujące do Langdona jak ja sam.

Jim i ja wstąpiliśmy do Dartmouth tego samego dnia. Pamiętam, jaki był wtedy: wysoki, śniady chłopak o jastrzębim profilu i przepastnych, czarnych oczach, Czirokez czystej krwi. Pochodził z rodu, który na przestrzeni wieków wydał wielu słynnych z mądrości członków rady plemienia, znakomitych w swej przebiegłości wojowników, a także wielkiego Sequoię!<sup>[(17707-1843)</sup>

– słynny czirokezki uczonej]

Na liście studentów figurował jako James T. Eagles, ale w spisie ludności czirokezkiej jako Two Eagles. [(ang.) – Dwa Orły] Natomiast matka nazywała go „Tsantawu”. Od razu rozpoznaliśmy się nawzajem jako pokrewne dusze. Później, poddając się odwiecznym rytuałom jego plemienia, zawarliśmy braterstwo krwi. Nadał mi wówczas sekretne imię, znane tylko nam obu: „Degataga”. Staliśmy się sobie tak bliscy, jakbyśmy tworzyli jeden organizm.

Oprócz siły mięśni posiadam jeszcze jeden dar: zdolności językowe. W krótkim czasie mówiłem po czirokezku niczym rodowity Indianin. Tam, w college’u, przeżyłem najszcześniejsze lata mego życia. Kiedy byłem na ostatnim roku, Ameryka przystąpiła do wojny. Razem z Jimem opuściliśmy Dartmouth i znaleźliśmy się na tym samym obozie treningowym. Potem jednym transportem odpłynęliśmy do Francji.

Siedząc tu, pod rozjaśniającym się z wolna alaskańskim niebem, cofałem się myślą do lat, które nastąpiły później. Śmierć mojej matki w dniu zawieszenia broni... powrót do Nowego Jorku, do otwarcie już wrogiej mi rodziny... wezwanie Jima przez współplemieńców... dokończenie studiów w zakresie inżynierii górniczej... wędrowki po Azji... ponowny przyjazd do Stanów i poszukiwanie Jima... wreszcie ta wspólna eskapada na Alaskę, podjęta bardziej z chęci nacieszenia się przyjaźnią i spokojem wśród dzikiej przyrody niż dla rzekomego poszukiwania złota.

Długo obijałem się po świecie od czasu wojny... Te dwa miesiące były najszcześniejsze. Trasa wiodła z Nome poprzez tundrę, potem do Koyukuk, aż wreszcie rozbiliśmy ten mały obóz wśród świerków, gdzieś w górnym dorzeczu Koyukuk i Chandalar, u stóp nie zdobytego dotąd pasma Endicott.

Długi szlak... Miałem wrażenie, że tu właśnie rozpoczęła się prawdziwa droga mojego życia.

Promień wschodzącego słońca przebił się przez gałęzie drzew. Jim usiadł i przyglądał mi się z uśmiechem.

– Nie wyspałeś się przez ten koncert, prawda?

– Co zrobiłeś z przodkami? Chyba szybko pozwolili ci zasnąć?

– Och, uspokoili się – odparł beztrasko.

Jego twarz i oczy były pozbawione wyrazu. Czulem, że nie jest ze mną szczerzy. Przodkowie się nie uciszeli. Jim udawał tylko, że śpi. Podjąłem błyskawiczną decyzję. Pójdziemy na południe, tak jak mieliśmy w planie. Kiedy dojdziemy do kręgu, znajdę jakiś pretekst, by go tam zostawić.

– Nie idziemy na północ – oświadczyłem. – Rozmyśliłem się.

– Tak? I czemuż to?

– Powiem ci po śniadaniu... – Nie umiałem tak szybko wymyślić żadnego kłamstwa. – Zrób

coś z tym ogniem, idę do strumienia po wodę.

– Degataga!

Drgnąłem. Mojego sekretnego imienia używał tylko w rzadkich chwilach szczególnego wzruszenia albo... w obliczu niebezpieczeństwa.

– Pójdiesz na północ, Degataga. Pójdiesz, choćbym miał cię sam poprowadzić... – Przeszedł na czirokezki. Musisz ratować swego ducha, Degataga.

Pomaszerujemy razem, jak bracia krwi? Czy wolisz wlec się za mną niczym pies przy nodze myśliwego?

Krew uderzyła mi do głowy. Zamachnąłem się. Zrobił krok do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Tak lepiej, Leifie.

Fala gniewu opadła. Ręka też.

– W porządku, Tsantawu. Na północ. Ale wiesz... – z tym rozmyśleniem... To nie o mnie chodziło.

– Wiem, ty skurczybyku.

Zajął się ogniem, a ja przyniosłem wodę. Napiliśmy się mocnej herbaty i zjedliśmy resztki upolowanych wczoraj brązowych bocianów, zwanych alaskańskimi indykami. Potem zacząłem mówić.

## **Rozdział II**

### **PIERŚCIEŃ KRAKENA**

Trzy lata temu wyjechałem do Mongolii z ekspedycją Fairchilda. Miała się ona zająć z jednej strony oceną złóż minerałów na zlecenie pewnej grupy brytyjskich naukowców, z drugiej zaś badaniami etnograficznymi i archeologicznymi dla British Museum oraz dla Uniwersytetu Stanu Pensylwania.

Nie dano mi szansy na popisanie się wiedzą w zakresie inżynierii górniczej. Natychmiast zostałem mianowany przedstawicielem do spraw reprezentacyjnych wyprawy, głównym trefnisiem, a także pośrednikiem w kontaktach z miejscowymi plemionami. Mój wzrost, jasne włosy, niebieskie oczy, ogromna siła, wreszcie zdolność błyskawicznego uczenia się języków były dla tubylców źródłem nieustannego zainteresowania. Tatarzy, Mongołowie, Buriaci, Kirgizi przypatrywali się z ciekawością, jak wyginałem podkowy, łamałem o kolano żelazne sztaby i popisywałem się tym, co mój ojciec zwykł pogardliwie określać mianem cyrkowych sztuczek.

No cóż, jednoosobowy cyrk – oto, czym dla nich byłem. I póki mieściłem się tych ramach, okazywali mi sympatię. Kiedy skarżyłem się staremu Fairchildowi, że brak mi czasu na właściwą robotę, śmiał się. Mawiał, że jestem wart tuzina inżynierów, że stanowią polisę ubezpieczeniową wyprawy. Że jeśli tylko utrzymam się w tej roli, nikt się nas nie będzie czepiał. I rzeczywiście. Spośród wszystkich znanych mi ekspedycji tylko my zostawialiśmy rzeczy bez dozoru, by po powrocie znaleźć je nie tknięte. Nikt też jakoś nie żądał od nas łapówek.

Sam nie wiem, kiedy poznałem z pół tuzina dialektów, tak że mogłem rozmawiać z tubylcami i targować się w ich językach. Robiło to na nich ogromne wrażenie. Wciąż pojawiały się delegacje Mongołów z parami zapaśników, facetów jak szafy, by się ze mną zmierzyć. Nauczyłem się ich sztuczek i pokazałem im nasze. Urządzaliśmy zawody w podnoszeniu kucyków, a paru przyjaciół z plemienia Manchu zapoznało mnie z tajnikami walki na dwa pałasze – po jednym w każdej ręce.

Fairchild planował ekspedycję na rok, ale czas płynął tak szybko, że zdecydował się ją przedłużyć. Moja działalność, jak mi powiedział ze swym charakterystycznym sardonycznym uśmiechem, przyczyniła się niewątpliwie do tego, że obóz wyprawy cały czas tętnił życiem. Zdaniem Fairchilda nauka nigdy więcej nie zyska takich możliwości w tym rejonie, chyba że zdecyduję się tu zostać i objąć rządy. Nie wiedział, jak bliski był wypowiedzenia proroctwa.

Wczesnym latem następnego roku przenieśliśmy obóz o prawie sto mil na północ. Znaleźliśmy się na ziemi Ujgurów. Dziwny to naród. Uważają się za potomków jakiejś wielkiej rasy, która rządziła na tych terenach w czasach, kiedy Gobi jeszcze nie była pustynią, tylko ziemskim rajem z licznymi rzekami, jeziorami i ludnymi miastami. Fakt, że Ujgurowie różnili się od innych plemion, które wprawdzie zabijały ich bez mrugnięcia okiem przy każdej okazji,



lecz nigdy nie wyzbyły się strachu przed nimi. A zwłaszcza przed czarami ich kapłanów.

W starym obozie Ujgurowie bywali rzadko, a jeśli już, to trzymali się na dystans. Nie minął jednak tydzień od przeprowadzki, kiedy zjechała konno dwudziestoosobowa grupa. Siedziałem właśnie w cieniu namiotu. Zsiedli z koni i szli prosto do mnie, nie zwracając uwagi na nikogo więcej. Wszyscy zatrzymali się w odległości kilkunastu kroków, ale trzech podeszło bliżej. Przypatrywali mi się przez dłuższą chwilę. Oczy tej trójki miały osobliwy, szaroniebieski kolor, tego zaś, który wydał mi się ich dowódcą, odznaczały się wyjątkowym chłodem. Byli też rośniejsi i wyżsi od pozostałych.

Nie znałem ujugurskiego. Powitałem ich uprzejmie w języku kirgizkim. Nie odpowiadali, tylko dalej oddawali się studiowaniu mojej osoby. Wreszcie wymienili między sobą parę uwag, a sądząc po kiwaniu głowami, powzięli jakąś decyzję. Wówczas dowódca zwrócił się do mnie. Kiedy wstałem, przekonałem się, że był niewiele niższy od moich sześciu stóp i czterech cali wzrostu. Powtórzyłem raz jeszcze po kirgizku, że nie znam jego języka. Wydał swym ludziom jakiś rozkaz. Otoczyli mój namiot, ustawiając się jak na warcie z dzidami u boków i długimi, groźnie wyglądającymi mieczami w pochwach.

Zaczynało mnie ponosić, ale nim zdążyłem zaprotestować, dowódca przemówił do mnie po kirgizku. Zapewnił z szacunkiem, że wizyta ma charakter absolutnie pokojowy, nie życzą sobie tylko żadnych zakłóceń ze strony mych towarzyszy. Poprosił, bym pokazał mu rękę. Usłuchałem. Obrócił je wnętrzem dłoni do góry i wraz ze swymi kompanami przyglądał się uważnie liniom i znakom. Kiedy skończyli, przyłożył sobie moją prawą dłoń do czoła.

Następnie, ku memu kompletnemu zaskoczeniu, rozpoczął bez żadnych wstępów coś, co można by określić jako znakomitą lekcję języka ujugurskiego. Pomagał sobie kirgizkim. Nie dziwiła go łatwość, z jaką przychodziła mi nauka, co więcej, przyszła mi nagle do głowy myśl, że tego się właśnie spodziewał. Zachowywał się tak, jakby nie tyle uczył mnie nowego języka, ile przypominał znany, lecz dawno zapomniany. Lekcja trwała dobrą godzinę. Potem znów przyłożył sobie moją dłoń do czoła i wydał rozkaz swym ludziom. Odeszli do koni i wkrótce odjechali galopem.

W całym tym doświadczeniu było coś niepokojącego. Najbardziej wytrącało mnie z równowagi niejasne przeczucie, że mój mentor, jeśli właściwie odczytałem jego intencje, miał rację. Że rzeczywiście nie uczył, tylko przypominał mi swój język. Z całą pewnością żadnego innego nie przyswoiłem sobie w tak błyskawicznym tempie.

Pozostałych mieszkańców obozu oczywiście zdezorientowało to i wystraszyło. Natychmiast poszedłem do nich i wszystko opowiedziałem. Fairchild był skłonny obrócić całą sprawę w żart, ale nasz etnolog, słynny profesor Dawid Barr z Oksfordu poważnie się zaniepokoił. Ponoć ujugurska tradycja głosi, że ich przodkowie należeli do białej rasy i byli niebieskookimi

blondynami obdarzonymi wielką siłą. Krótko mówiąc, takimi jak ja. Odnaleziono kilka starożytnych ujgurskich malowideł ściennych. Można na nich oglądać takie właśnie typy, co potwierdzałyby prawdziwość legendy. Jeśli jednak współcześni Ujgurowie byli rzeczywiście potomkami tej rasy, krew ich przodków musiała się mieszać z krwią innych plemion i rozrzedzić tak, że dziś nie zostało żadnego śladu.

Zapytałem, co to ma wspólnego ze mną. Barr odparł, że prawdopodobnie moi goście uznali mnie za czystego przedstawiciela tej starożytnej rasy. Właściwie nie znajdował innego wytłumaczenia ich zachowania. Według niego sprawę przesądzało badanie linii na moich dłoniach, a przede wszystkim jawna aprobatą tego, co w nich dostrzegli.

Stary Fairchild spytał go żartobliwie, czy ma zamiar przekonać nas do chiromancji. Barr przypomniał mu chłodno, że jest naukowcem. Jako taki zdaje sobie sprawę że czynniki dziedziczności są w stanie przechowywać pewne cechy fizyczne na przestrzeni wielu pokoleń. Niektóre osobliwości w układzie linii na dłoniach potrafią się powtarzać nawet po upływie wieków. Mogą pojawiać się ponownie w przypadkach atawizmu, z którym najwyraźniej mamy do czynienia, gdy chodzi o mnie.

Zaczynało mnie to wszystko wkurzać. Barr jednak chował w rękawie jeszcze parę asów, co sprawiło, że zezłościłem się na serio. Dowodził teraz z zapalem, że Ujgurowie mogli mieć absolutną rację w swej opinii o mnie. Posiadałem przecież cechy starożytnych Norwegów. No i dobrze. Otóż jest prawie pewne, że Ezyrowie – norwescy bogowie i boginie tacy jak Odyn i Thor, Frigga i Freya, Frey i Loki Ognisty, i wielu, wielu innych – żyli kiedyś jako prawdziwi ludzie. Z całą pewnością byli to przywódcy jakiejś długiej i niebezpiecznej migracji. Po śmierci deifikowano ich, podobnie jak innych bohaterów obojga płci w wielu plemionach i rasach. Etnolodzy są zgodni co do tego, że Norwegowie przybyli do północno-wschodniej Europy z Azji, tak zresztą jak inni Ariowie. Ich migracja mogła nastąpić gdzieś między rokiem 1000 a 5000 przed naszą erą. I nie ma żadnych naukowych przesłanek przeczących tezie, że przybyli z rejonu obecnie zwanego Gobi i należeli do „blond rasy”, jak współcześni Ujgurowie określają swych przodków.

Barr twierdził, że nikt nie wie, kiedy dokładnie Gobi stała się pustynią i jakie były przyczyny tego zjawiska. Niektóre części Gobi i cała Mała Gobi mogły być urodzajne nawet jeszcze 2000 lat temu. Bez względu jednak na to, co się stało i dlaczego, czy zmiany następowały powoli, czy gwałtownie, one to przede wszystkim dały znakomity pretekst do wędrówki ludu pod wodzą Odyna i innych Ezyrów. Wędrówka ta zakończyła się kolonizacją Półwyspu Skandynawskiego. Jeżeli przyjmiemy, że jestem nosicielem cech szczepu mojej matki sprzed tysiąca lat, nie ma powodu zaprzeczać, że mogę być również w pewnym sensie potomkiem starożytnych Ujgurów, jeśli rzeczywiście Norwegowie od nich pochodzą.

Nasuwa się praktyczny wniosek, że czekają mnie kłopoty, zresztą nie tylko mnie, ale i pozostałą część naszej grupy. Dlatego też on, Barr, nalegałby zdecydowanie na powrót do starego obozu, gdzie otaczały nas życzliwe plemiona. W podsumowaniu zwrócił uwagę na fakt, że odkąd znaleźliśmy się w tych stronach, nie pojawili się u nas żadni Mongołowie, Tatarzy czy też inni tubylcy, z którymi przecież łączyły mnie przyjacielskie stosunki. Wreszcie, spiorunowawszy wzrokiem Fairchilda, stwierdził, że nie jest to bynajmniej porada chiromanty, tylko opinia naukowca.

No cóż, Fairchild zwrócił mu oczywiście honor, ale sprzeciwił się przeprowadzce. Uznał, że możemy spokojnie poczekać kilka dni na rozwój wypadków. Barr odparł ponuro, że jako prorok Fairchild prawdopodobnie by się nie sprawdził, ale właściwie nie ma to większego znaczenia. Na pewno jesteśmy bacznie obserwowani i nie dopuszczono by do naszej ucieczki.

Tej nocy słyszeliśmy bębny. Ich głos dobiegał z oddali, milknąc od czasu do czasu, by odezwać się ponownie, jakby przekazując coś czy odpowiadając na pytania innych bębnow, jeszcze bardziej oddalonych. Trwało to prawie do świtu.

Następnego dnia, o tej samej co poprzednio godzinie, Ujgurowie pojawili się znowu. I podobnie jak wtedy, dowódca skierował się prosto do mnie, ignorując wszystkich innych. Powitał mnie niemal uniżenie. Przeszliśmy razem do mojego namiotu, wokół którego znowu ustawił się kordon. Bez żadnych wstępów rozpoczęła się druga lekcja. Trwała ponad dwie godziny. Cały ten spektakl powtarzał się codziennie przez trzy tygodnie. Żadnych zdawkowych rozmów, żadnych ubocznych pytań, żadnych wyjaśnień. Ludzie ci przyjeżdżali w określonym celu: żeby nauczyć mnie swego języka. Trzymali się tego programu w sposób godny podziwu. Zaciekawiony, nie mogąc doczekać się końca i wytłumaczenia, co to wszystko znaczy, nie robiłem trudności. Stosowałem się ściśle do narzuconych mi reguł. Wydaje mi się, że i tę moją postawę przyjmowali jako coś oczywistego. Po trzech tygodniach rozmawiałem po ujugursku jak po angielsku. Niepokój Barra wzrastał. „Przygotowują cię do czegoś, mówił. Oddałbym pięć lat życia, by znaleźć się na twoim miejscu. Ale mi się to nie podoba. Boję się o ciebie. Cholernie się boję.”

Pewnej nocy, pod koniec tych trzech tygodni, bębny dawały się nam we znaki aż do rana. W dzień moi instruktorzy nie pojawili się. Nie pokazywali się przez trzy dni. Natomiast nasi ludzie zameldowali, że Ujgurowie nas otoczyli i pikietują obóz. Byli tak wystraszeni, że nie dało się nic więcej z nich wydobyć.

Czwartego dnia po południu zauważyliśmy, że od strony północy narasta w wielkim tempie tuman kurzu. Zaraz potem rozjazgotały się ujugurskie bębny. Nagle z kurzawy wyłonił się oddział jeźdźców, dwie albo trzy setki ludzi uzbrojonych w lśniące dzidy i strzelby. Ustawili się przed obozem w szerokie półkole. Stalwooki dowódca, mój nauczyciel, zsiadł z konia i szedł ku mnie, prowadząc wspaniałego, czarnego ogiera. Był to olbrzymi, potężnej budowy koń,

niepodobny do smukłych wierzchowców dosiadanych przez przybyszów. Z łatwością mógł przyjąć na siebie mój ciężar.

Ujgur przykląkł na jedno kolano i wręczył mi wodze. Wziąłem je od niego odruchowo. Rumak obrzucił mnie spojrzeniem, parsknął i złożył mi pysk na ramieniu. W tej samej chwili jeźdźcy podnieśli dzidy i zaczęli wykrzykiwać jakieś słowo, którego nie zrozumiałem. Następnie zeskoczyli na ziemię i zastygli w oczekiwaniu.

Dowódca wstał. Z fałdów tuniki wydobyl małą kostkę z antycznego jadeitu. Ponownie przykląkł, po czym mi ją wręczył. Sądziłem, że jest wyciosana z jednego kawałka, kiedy jednak ją pocisnąłem, otworzyła się. W środku znajdował się pierścień, wykonany z solidnego złota, ciężki i duży. Osadzono w nim żółty, przezroczysty kamień, wielkości półtora cala kwadratowego. W kamieniu dostrzegłem kształt czarnej ośmiornicy.

Jej rozłożone wachlarzowato macki wyglądały, jakby chciały sięgnąć poza kamień. Mogłem się nawet przyjrzeć okrągłym ssawkom na ich końcach. Korpus nie miał już tak wyraźnie określonego kształtu. Był nieforemny, rozlazły. Poza tym czarnej ośmiornicy nie wyróżnięto w kamieniu. Ona po prostu w nim była.

Ogarnęły mnie mieszane uczucia. Odraza – a jednocześnie osobliwe wrażenie czegoś znajomego, umysłowy trik wywołujący coś, co się określa mianem *deja vu*, jakby się już czegoś podobnego doświadczyło. Bez zastanowienia wsunąłem pierścień na kciuk. Pasował idealnie. Podniosłem dłoń obracając pierścień ku słońcu, aby lepiej się przyjrzeć kamieniowi. I w tym momencie cały oddział rzucił się plackiem na ziemię.

Ujgurski wódz przemówił. Od momentu, w którym wręczył mi kostkę, cały czas czułem na sobie jego wzrok. Teraz zobaczyłem w jego oczach lęk.

– Twój koń czeka... – Tu ponownie użył nie znanego mi słowa, którym Ujgurowie mnie pozdrawiali. – Wskaż rzeczy, które chcesz zabrać i pozwól swoim ludziom je przynieść.

– Dokąd mamy jechać i na jak długo? – spytałem.

– Do świętego człowieka twego ludu – odparł. – Tylko on może powiedzieć, na jak długo.

Zdenerwowała mnie powściągliwość, z jaką się wyrażał, wyraźnie mnie zbywając. Zastanawiałem się też, czemu o swoich ludziach mówi, że są „moim ludem”.

– Czemu on nie przyjedzie do mnie?

– Jest stary. Nie zniósłby trudów podróży.

Spojrzałem na oddział stojący w pogotowiu przy koniach. Odmowa, zwłaszcza poparta protestem mych towarzyszy, mogła spowodować tylko jedno: zmieszenie obozu z powierzchni ziemi.

– Muszę przed odjazdem pomówić z kolegami.

– Skoro Dwayanu – wreszcie dotarło do mnie to słowo: „Dwayanu” – pragnie pożegnać się

ze swymi psami – obejrzał się z pogardą na Fairchilda i resztę – to niech to uczyni.

Nie podobały mi się absolutnie ani jego słowa, ani zachowanie.

– Czekaj tu na mnie – rzuciłem krótko i podszedłem do Fairchilda.

Pociągnąłem go do namiotu, gdzie zaraz pojawił się też Barr z całą resztą. Opowiedziałem, co się wydarzyło. Barr wziął mnie za rękę i przyjrzał się pierścieniowi. Gwizdnął cicho.

– Nie wiesz, co to jest? – zapytał, – Toż to Kraken.

Legendarny potwór morski starożytnych Norwegów, nadzwyczaj inteligentny i złośliwy. Spójrz, ma nie osiem macek, tylko dwanaście, a na wizerunkach przedstawiają go zawsze przynajmniej z dziesięcioma. Symbolizuje formułę wrogości wobec Życia, ale nie Śmierć, raczej Unicestwienie. Pomyśleć tylko – Kraken w Mongolii!

– Słuchaj no, szefie – zwróciłem się do Fairchilda.

– Tylko w jeden sposób możesz mi pomóc... jeśli rzeczywiście potrzebuję pomocy. Wróć, jak tylko możesz najszybciej, do starego obozu. Porozum się z Mongołami i zawiadom tego, który przyprowadzał do nas ciągle zapaśników – będą wiedzieli, o kogo mi chodzi. Namów go albo opłać, żeby sprowadził do obozu tylu zdolnych do walki ludzi, ilu się da. Ja wrócę, ale przypuszczam, że będę ścigany. Poza tym wszyscy jesteście w niebezpieczeństwie, może nie akurat w tej chwili, ale sprawy mogą przybrać taki obrót, że ci ludzie uznają za konieczne was sprzątnąć. Wiem, co mówię, szefie. Proszę cię, zrób to przez wzgląd na mnie, nie na siebie.

– Ale przecież nas obserwują – zaczął protestować.

– Przesną, kiedy odjadę. Nie później niż za chwilę. Wszyscy ruszą za mną.

Mówiłem z pełnym przeświadczeniem. Barr kiwał głową, wyraźnie przychylając się do moich słów.

– Król wraca do swego królestwa! – westchnął. – Ma u boku wszystkich wiernych poddanych. Mimo to jest w niebezpieczeństwie. Ale... Boże, gdybym tylko mógł jechać z tobą! Ten Kraken! I stara legenda Mórz Południowych o Wielkiej Ośmiornicy, która czeka w uśpieniu na właściwy moment. Wtedy poczuje w sobie moc, by zniszczyć świat i wszystko, co żyje! Pomyśl tylko – jej wizerunek wyryty jest na skałach Andów, ponad trzy mile nad poziomem morza. Mamy więc już Norwegów, wyspiarzy z Mórz Południowych i ludy Andów! I teraz ten sam symbol – tutaj!

– Proszę, obiecaj – molestowałem Fairchilda. – Od tego może zależeć moje życie!

– Zupełnie jakbym cię opuszczał. Nie podoba mi się to.

– Szefie, ci ludzie załatwią cię w minutę. Wracaj i sprowadź Mongołów. Tatarzy też się przydadzą, bo nienawidzą Ujgurów. Wrócę, bez obawy! Ale założę się, o co chcesz, że będę miał na karku całą tę hałastrę, i pewno jeszcze większą.

– Chcę wtedy zobaczyć mur, za którym da się przykucnąć.

– Dobrze – zgodził się, a ja poszedłem do swego namiotu.

Stalwooki Ujgur postępował tuż za mną. Wziąłem strzelbę i automat, wsunąłem do kieszeni szczotkę do zębów i przybory do golenia. Byłem gotów.

– To wszystko? – zdziwił się.

– Jeśli nawet nie, zawsze mogę wrócić – odparłem.

– Nie po tym, jak sobie... przypomnisz – rzekł enigmatycznie.

Ramię w ramię podeszliśmy do czarnego rumaka. Dosiadłem go. Oddział trzymał się w tyle. Między mną a obozem wyrósł las dzid. Pogalopowaliśmy na południe.

### Rozdział III

## OBRZĘD KALK'RU

Koń poruszał się jednostajnym, wyciągniętym klusem. Mój ciężar nie nastęczał mu żadnych trudności. Około godziny przed zmierzchem znaleźliśmy się na skraju pustyni. Na prawo majaczyły niskie, czerwonawe wzgórza z piaskowca. Przed sobą mieliśmy wąwóz. Zaczęliśmy go pokonywać. Mniej więcej po półgodzinie wyjechaliśmy na kamienistą przestrzeń, na której widać było ślad dawnej drogi. Prowadziła na północny wschód, ku innym wzgórzom, również z czerwonego piaskowca, tylko wyższym, położonym o parę mil dalej. Zdażyliśmy tam przed zapadnięciem ciemności. Mój przewodnik oznajmił, że spędzimy tu noc. Około dwudziestu jeźdźców zsiadło z koni, reszta pojechała dalej.

Ci, którzy zostali, patrzyli na mnie w oczekiwaniu. Zastanawiałem się, o co chodzi, wreszcie spostrzegłszy, że koń jest spocony, zawołałem, by przyniesiono mi coś do wytarcia zwierzęcia, a także wodę i paszę. Wyraźnie spodziewali się po mnie tego życzenia. Dowódca sam przyniósł mi szmatę, ziarno i wodę. Inni w tym czasie wymieniali szeptem jakieś uwagi. Kiedy koń już ochłonał, dałem mu jeść, po czym poprosiłem o jakąś derkę, by móc go przykryć, gdyż noce były chłodne. Zanim skończyłem te czynności, przygotowano kolację. Usiadłem przy ogniu, obok dowódcy. Byłem głodny, więc jadłem łapczywie, zresztą w ogóle jadam w ten sposób, kiedy mogę sobie na to pozwolić. Następnie zadałem parę pytań, ale na większość z nich padły tak mętne, udzielone z wyraźną niechęcią odpowiedzi, że powstrzymałem się od następnych. Po posiłku poczułem senność i powiedziałem im o tym. Dostałem parę koców. Podeszedłem do konia, rozłożyłem je przy nim i owinąłem się starannie.

Rumak pochylił łeb, trącił mnie łagodnie nosem, wydał długie parsknięcie prosto w moją szyję i spokojnie legł u mego boku. Uniosłem się trochę, by złożyć głowę na jego karku. Wśród Ujgurów rozległy się podniecone szepty. Zapadłem w sen.

Obudzono mnie o świcie. Śniadanie czekało. Znow ruszyliśmy starym szlakiem biegnącym u podnóża wzgórz i skręcającym w wyschnięte koryto dużej rzeki. Przez jakiś czas pasmo położone po wschodniej stronie drogi chroniło nas od słońca, kiedy jednak zaczęło świecić nam wprost na głowy, zatrzymaliśmy się, by odpocząć w cieniu kilku ogromnych skał. Po południu wyruszyliśmy w dalszą drogę. Krótco przed zachodem słońca przejechaliśmy przez wyschniętą rzekę po czymś, co dawno temu musiało być solidnym mostem. Znaleźliśmy się w kolejnym wąwozie, którym kiedyś zapewne płynął strumień. Gdy dobrnęliśmy do jego końca, właśnie zapadł zmierzch. Obu stron wylotu wąwozu strzegły kamienne forty, obsadzone przez dziesiątki Ujgurów. Na nasz widok zaczęły wznosić okrzyki i znow usłyszałem powtarzane raz po raz słowo „Dwayanu”.

Ciężkie wrota prawego fortu otworzyły się. Wjechaliśmy do środka, następnie po pokonaniu

pasażu pod grubym murem znaleźliśmy się na obszernym dziedzińcu. Wydostaliśmy się z niego przez takie same wrota.

Przed nami rozpościerała się oaza obrzeżona nagimi górami. Musiało się tu kiedyś znajdować spore miasto, gdyż wszędzie pełno było ruin. To, co dawniej stanowiło początek dużej rzeki, skurczyło się do rozmiarów strumyka wsiąkającego w piasek nie opodal miejsca, w którym stałem. Na prawym brzegu rosły różne rośliny i drzewa, lewy był całkiem opustoszały. Droga wiodła przez oazę, a potem dalej, przez pustynną część. Kończyła ją, czy też może tylko przegradzała, położona o milę dalej ogromna kwadratowa brama, wykuta wprost w skale. Wyglądała jak drzwi do wnętrza góry, w czym przypominała wejście do gigantycznego egipskiego grobowca.

My zjechaliśmy na tę żyzną stronę. Zobaczyłem setki bardzo wiekowych budynków. Niektóre z nich nosiły ślady usilnych prac remontowych, mimo to ich starożytność dosłownie biła w oczy. Z domów i rozbitych wśród drzew namiotów powychodziły tłumy Ujgurów – mężczyzn, kobiet, dzieci. Samych wojowników musiało być około tysiąca. W przeciwieństwie do wartowników przyglądali mi się w ciszy, a w ich oczach dostrzegłem lęk.

Zatrzymaliśmy się przed jakąś nadszarpniętą zębem czasu budowlą. Może przed pięcioma, dziesięcioma tysiącami lat był to pałac. Albo świątynia. Front jej zdobiły grube, czworograniaste kolumny, przy samym wejściu jeszcze potężniejsze. Zsiadliśmy z koni. Czarnego ogiera wraz z koniem dowódcy gdzieś odprowadzono. Kłaniając się nisko, mój przewodnik zaprosił mnie do środka.

Weszliśmy do szerokiego korytarza, oświetlonego pochodniami z jakiegoś drewna nasyconego żywicą. Wzdłuż ścian stali ludzie uzbrojeni w dzidy. Korytarz prowadził do ogromnej, wysoko sklepionej sali, tak rozległej, że przy pochodniach rozmieszczonych na ścianach środek wydawał się ciemniejszy. W końcu komnaty stało niskie podium z kamiennym stołem, przy którym siedzieli zakapturzeni mężczyźni.

Kiedy podszedłem bliżej, poczułem na sobie ich wzrok. Było ich trzynastu – po sześciu z każdej strony i jeden zajmujący większe niż inni krzesło u szczytu stołu. Wokół rozstawiono metalowe kaganki, w których płonęła jakaś substancja dająca jasne, prawie białe światło. Postąpiłem jeszcze parę kroków i przystanąłem. Mój przewodnik milczał. Pozostali też.

Nagle promień światła padł na pierścień, który miałem na kciuku. Zakapturzony człowiek u szczytu stołu wstał i uchwycił się jego krawędzi drżącymi palcami, przypominającymi wyschnięte szpony.

– Dwayanu! – wyszeptał.

Kaptur opadł. Zobaczyłem starą, bardzo starą twarz o oczach prawie tak niebieskich jak



moje. Malowały się w nich bezbrzeżne zdumienie i zachłanna nadzieja. Poczułem wzruszenie, gdyż był to wzrok kogoś, kto będąc od dawna pogrążonym w rozpacz, ujrzał nagle nadchodzącego zbawcę.

Teraz i pozostali mężczyźni podnieśli się z miejsc, odrzucając w tył kaptury. Wszyscy byli starcami, lecz nie aż tak zaawansowanymi wiekiem jak ten, który szeptał. Mierzyli mnie chłodnymi, stalowymi oczami. Arcykapłan – za takiego go uznałem i jak się okazało, słusznie – przemówił znowu:

– Mówiono mi... ale nie mogłem uwierzyć! Zechcesz tu podejść?

Jednym susem znalazłem się na podium. Starzec zbliżył pomarszczoną twarz do mojej, szukając wzrokiem oczu. Dotknął moich włosów. Włożył mi rękę za koszulę i potrzyzymał chwilę na sercu.

– Pokaż ręce – poprosił.

Podsunałem mu je, odwrócone wnętrzem dłoni do góry. Obejrzał je tak samo dokładnie jak wódz. Pozostała dwunastka otoczyła nas ciasno, śledząc ruchy jego palców, wskazujących różne znaki. Potem arcykapłan zdjął z szyi złoty łańcuch i wyciągnął z fałdów szaty płaskie, kwadratowe pudełeczko z jadeitu. Otworzył je. Wewnątrz był złoty kamień, większy niż ten w moim pierścieniu, ale bardzo podobny, z taką samą wijącą się w środku czarną ośmiornicą, czy też Krakenem. Prócz tego znajdowała się tam mała jadeitowa flaszeczka i również jadeitowy nożyk podobny do lancetu. Starzec ujął moją prawą rękę i ułożył ją tak, by przegub znalazł się nad kamieniem. Powiódł po wszystkich obecnych oczami pełnymi bólu.

– Ostatnia próba – szepnął. – Krew!

Ukłuł mnie nożykiem w żyłę widoczną na nadgarstku. Pokazały się krople krwi. Spadły z wolna na kamień, który jak w tym momencie dostrzegłem, był lekko wklęsły. Napęliły zagłębienie tworząc cienką warstewkę... Stary kapłan otworzył jadeitową flaszeczkę, i ogromnym wysiłkiem woli opanowując drżenie ręki, potrzyzymał ją nad złotym kamieniem. Jedna kropla bezbarwnego płynu spadła i zmieszała się z moją krwią.

W sali panowała absolutna cisza, wydawało się, że arcykapłan i jego towarzysze wstrzymali oddech, wpatrzeni w kamień. Zerknąłem szybko na wodza i napotkałem jego błyszczące fanatyzmem oczy.

Nagle z ust arcykapłana wyrwał się okrzyk, powtórzony jak echo przez resztę zgromadzenia. Spojrzałem na kamień. Różowawa warstewka krwi zmieniła kolor. Najpierw jakoś dziwnie zamigotała, po czym przybrała barwę żywej, jaskrawej zieleni.

– Dwayanu... – wydusił z siebie arcykapłan i opadł na krzesło, kryjąc w drżących dłoniach twarz.

Pozostali patrzyli na mnie, na kamień i znowu na mnie, jakby wydarzył się jakiś cud. Obejrzałem się na wodza. Leżał rozciągnięty na podium twarzą do ziemi.

Wreszcie arcykapłan oderwał ręce od twarzy. Wydał mi się teraz znacznie młodszy, odmieniony. Jego oczy straciły wyraz rozpacz i bólu. Błyszczały zapalem. Podniósł się z krzesła i nakazał mi zająć swoje miejsce.

– Dwayanu – odezwał się. – Co pamiętasz?

Potrząsnąłem głową, zdumiony. Jak echo powróciła uwaga Ujgura, rzucona jeszcze w obozie.

– Co miałbym pamiętać? – zapytałem.

Oderwał wzrok ode mnie i popatrzył pytająco na swych towarzyszy. Wymienili między sobą spojrzenia, po czym szybko skinęli głowami. Arcykapłan zamknął jadeitowe pudełeczko i schował je na piersi. Potem wziął moją rękę, przekreślił pierścień kamieniem do środka i zamknął mi go w dłoni.

– Czy pamiętasz – odezwał się ledwie dosłyszalnym szeptem – KALK'RU?

I znów cisza w wielkiej sali stała się niemal namacalna. Zastanawiałem się. Było coś znajomego w tej nazwie. Ogarnęło mnie nieznośne uczucie, że powinienem ją znać, że gdybym się tylko postarał, przypomniałbym sobie, że tkwiła w mojej pamięci tuż za progiem świadomości. Poza tym miałem wrażenie, że oznacza ona coś potwornego, coś, o czym lepiej zapomnieć. Przenikał mnie nieokreślony dreszcz odrazy połączonej ze złością.

– Nie – odpowiedziałem.

Usłyszałem odgłos wypuszczanego gwałtownie powietrza. Stary kapłan stanął za mną i zakrył mi oczy rękami.

– Czy pamiętasz TO?

Umysł przesłoniła mi jakaś mgła. Potem nagle nasunął się obraz tak wyrazisty, jakbym go widział otwartymi oczami. Oto galopuję przez oazę prosto do bramy w skale. Teraz jednak nie jest to oaza, lecz miasto z ogrodami i wartko płynącą rzeką. Wokół rozciągają się nie nagie ściany z piaskowca, tylko zielone wzgórza porośnięte drzewami. Nie jadę sam, tuż za mną pędzą mężczyźni i kobiety, tacy jak ja – krzepcy, jasnowłosi. Zbliżam się do wrót. Po obu ich stronach stoją ogromne, czworokątne, kamienne kolumny. Teraz zsiadam z konia... z olbrzymiego karego ogiera... Wchodzę...

Nie wejdę! Jeśli to zrobię, przypomnę sobie... KALK'RU! Rzucam się do tyłu... byle dalej... Ręce na moich oczach... Odrywam je siłą... To ręce starego kapłana. Zerwałem się z krzesła, kipiąc z gniewu. Spojrzałem starcowi prosto w twarz. Była łagodna, podobnie jak jego głos.

– Wkrótce przypomnisz sobie więcej.

Nie odpowiedziałem. Staralem się opanować niczym nie wytłumaczoną złość. Oczywiście stary kapłan próbował mnie zahipnotyzować; obraz, który widziałem, był mi przez niego narzucony. Nie bez powodu ujgurscy kapłani cieszyli się opinią czarowników. Ale nie to wywołało wściekłość, którą ze wszystkich sił powstrzymywałem, by nie wpaść w prawdziwy

szał. Nie, to coś miało związek z imieniem „Kalk’ru”, z tym, co znajdowało się wewnątrz skały, za której bramę prawie mnie wepchnięto.

– Jesteś głodny?

Nagły powrót kapłana do przyziemnych spraw przywrócił mi rzeczywistość. Roześmiałem się głośno i przyznałem, że owszem, jestem. I chce mi się spać. Obawiałem się, że taka ważna osoba, jaką najwyraźniej zostałem, będzie zmuszona jadać razem z arcykapłanem, dlatego ulżyło mi, kiedy przekazał mi wodzowi. Ujgur wyprowadził mnie na zewnątrz, trzymając się z tyłu jak pies, wpatrywał się we mnie też jak pies w swego pana i usługiwał mi przy jedzeniu. Powiedziałem mu, że wolę spać w namiocie niż w którymś z kamiennych domów. Oczy mu rozbłyły i po raz pierwszy wypowiedział coś oprócz pełnych szacunku monosylab.

– Znać wojownika! – Uśmiechnął się z aprobatą.

Namiot był już przygotowany. Zanim zasnąłem, wyrząłem przez klapę. Ujgurski wódz siedział w kucki przy wejściu, a dookoła stał podwójny pierścień wojowników z dzidami.

Wczesnym rankiem zostałem wezwany przez kapłanów. Udaliśmy się do tego samego budynku, ale tym razem do mniejszego, pozbawionego sprzętów pomieszczenia. Arcykapłan i niżsi kapłani oczekiwali mnie. Spodziewałem się wielu pytań. Nie zadano mi ani jednego. Najwyraźniej nie interesowało ich ani moje pochodzenie, ani jak się znalazłem w Mongolii. Wystarczyło, że uznali mnie za kogoś, kogo chcieli we mnie widzieć. Co więcej, byłem niemal pewien, że nie mogą się doczekać realizacji jakiegoś planu, którego początek stanowiły lekcje języka. Arcykapłan przeszedł od razu do rzeczy.

– Dwayanu – rzekł – chcemy przywołać w twojej pamięci pewien obrzęd. Słuchaj uważnie, bacz na wszystko, powtarzaj wiernie każdy ton, każdy gest.

– Po co? – spytałem.

– Dowiesz się... – zaczął, po czym urwał gwałtownie. – Nie, powiem ci teraz. Otóż po to, by pustynia stała się znów urodzajna. Żeby Ujgurowie odzyskali dawną wielkość. Żeby odpokutować świętokradztwo, które popełniono wobec Kalk’ru w starożytnych czasach, a którego owocem jest ta jałowa ziemia.

– Co ja, obcy, mam z tym wszystkim wspólnego?

– My, do których przybyłeś, mamy w sobie za mało starej krwi, by tego dokonać. Nie jesteś obcy. Jesteś Dwayanu Wybawca. Jesteś czystej krwi. Dlatego tylko ty, Dwayanu, możesz sprostać przeznaczeniu.

Pomyślałem, w jaki zachwytyt wpadłby Barr, gdyby to słyszał. Jak by się puszył przed Fairchildem. Skłoniłem się arcykapłanowi i oznajmiłem, że jestem gotów. Wtedy ujął mnie za rękę, zsunął z mojego kciuka pierścień, następnie zdjął z szyi łańcuch z jadesowym wisiorkiem i kazał mi się rozebrać. Sam uczynił to samo, a w ślad za nim inni. Jeden z kapłanów zaniósł

gdzieś nasze rzeczy i szybko wrócił. Patrząc na tych pomarszczonych, rozebranych do rosołu starców otaczających mnie kołem, straciłem nagle wszelką ochotę do śmiechu. W ich zachowaniu było coś złowieszczonego. Lekcja się rozpoczęła. Nie nazwałbym tego obrzędem. Raczej inwokacją, przyzywaniem Bytu, Mocy, Siły zwanej Kalk'ru. Było to coś przedziwnego, podobnie jak towarzyszące temu gesty i słowa, najwyraźniej wypowiedane w archaicznym ujgurskim języku. Wielu zwrotów nie rozumiałem. Pewnie każdy arcykapłan przekazywał je swemu następcy od zamierzchłych czasów. Nawet obojętny członek kościoła uznałby te teksty za bluźniercze, godne niemal wiecznego potępienia. Mnie na razie za bardzo wszystko ciekawiło, by o tym myśleć. Wrażenie *deja vu*, którego doznałem, gdy po raz pierwszy usłyszałem słowo „Kalk'ru”, powróciło znowu, tym razem jednak nie towarzyszył mu wstręt. Byłem bardzo przejęty. Do jakiego stopnia zawdzięczałem to doznanie połączonej woli dwunastu kapłanów nie odrywających ode mnie wzroku – do dziś nie wiem.

Nie będę powtarzał wszystkiego, skoncentruję się na istocie rzeczy. Kalk'ru to Początek bez Początku, a także Koniec bez Końca. Bezświatła, Bezczasowa Próżnia. Ten, który unicestwia, wysysa wszelkie życie, w którym wszystko przepada, roztapia się. Nie jest Śmiercią... Śmierć to tylko jego cząstka. Jest żywy, bardzo żywy, lecz charakter jego życia stanowi antytezę życia, które my znamy. Ono bowiem jest przeszkodą, zakłóceniem odwiecznego spokoju Kalk'ru. Bogowie i ludzie, zwierzęta, ptaki i wszystkie stworzenia, roślinność, woda, powietrze i ogień, słońce, gwiazdy i księżyc – należą do niego, więc jeśli tylko zechce, może je unicestwić, wciągnąć w siebie, w Żywą Nicość. Ale niech jeszcze trochę przetrwają. Co Kalk'ru miałyby przeciwko temu, skoro i tak na końcu będzie tylko on? Niech więc zniknie z wyjąłowionych terenów i pozwoli, by życie wkroczyło tam na nowo! Niech dotyka tylko wrogów swych wyznawców! Niech jego wierni staną się wielcy i potężni na znak, że Kalk'ru to Wszystko we Wszystkim! Niech Kalk'ru objawi się pod postacią swego symbolu i weźmie to, co mu się ofiaruje, okazując w ten sposób, że słucha i przyzwala.

Było tego więcej, znacznie więcej, ale istota pozostała ta sama. Przerażająca modlitwa... a jednak wtedy nie czułem przerażenia. Po trzykrotnym powtórzeniu umiałem ją na pamięć. Potem arcykapłan zrobił jeszcze jedną próbę i wreszcie dał znak temu z kapłanów, który zabrał odzież. Ten wyszedł i zaraz wrócił, niosąc szaty... ale nie moje ubranie. W zamian podał mi długą, białą opończę i parę sandałów. Kiedy zapytałem o swoje rzeczy, arcykapłan odpowiedział, że nie będą mi już potrzebne; odtąd mam się ubierać stosownie do swojej pozycji. Przyznałem mu rację, lecz uparłem się, że chcę mieć przy sobie stare ubranie, choćby po to, by czasem na nie popatrzeć. Przychylono się do tej prośby.

Następnie zaprowadzili mnie do innego pomieszczenia, obwieszzonego sfatygowanymi gobelinami ze scenami myśliwskimi i wojennymi. Stały tam krzesła i taborety dziwnego kształtu z metalu przypominającego miedź albo i złoto. Poza tym – niski, szeroki tapczan, w kącie

włócznie, łuk i dwa miecze, a także zbroja i hełm z brązu. Wszystko z wyjątkiem dywanów okrywających kamienną posadzkę miało wygląd bardzo archaiczny. Umyto mnie, ogolono, podcięto długie włosy, dopełniając cały ten ceremoniał rytuałem oczyszczenia, co chwilami było dość szokujące.

Na koniec podano mi bawełnianą, zakrywającą całe ciało koszulę oraz parę długich, luźnych spodni. Wydawały się utkane ze złotej przędzy, która wskutek jakiegoś procesu nabrała miękkości jedwabiu. Z niejakim rozbawieniem zauważyłem, że były starannie wycerowane i połatane. Zastanawiałem się, od ilu wieków gryzie ziemię facet, który je włożył po raz pierwszy. Strój uzupełniała długa tunika z tego samego materiału i pantofle na wysokich koturnach, ozdobione kunsztownym, lecz nieco wystrzępionym haftem.

Arcykapłan wsunął mi na kciuk pierścień i cofnął się, nie odrywając ode mnie zachwyconego wzroku. Najwyraźniej nie dostrzegał żadnych śladów zużycia na mojej odzieży. Byłem dla niego doskonałą istotą sprzed wieków.

– Tak oto wyglądałeś w czasach świetności naszej rasy – powiedział. – I wkrótce, kiedy odzyskamy choć trochę tej świetności, sprowadzimy na powrót tych, którzy wciąż żyją w Krainie Cienia. – W Krainie Cienia?

– Leży ona daleko na wschodzie, za wielką wodą. Wiemy, że tam żyją. Lud Kalk’ru, który uciekł po wielkim świętokradztwie. Kwitnąca Ujguria obróciła się wtedy w pustynię. Są tak czystej krwi jak ty, Dwayanu. Znajdziesz sobie wśród nich kobietę. Kiedy minie nasz czas, czas ludzi o rozcieńczonej krwi, Ujguria znów zaludni się starą rasą.

Po tych słowach odwrócił się szybko i ruszył do wyjścia, a za nim pozostali kapłani. Przy drzwiach zatrzymał się na chwilę.

– Zaczekaj tu, aż dam ci znać – polecił.

## Rozdział IV MACKI KALK'RU

Czekałem godzinę. Spędziłem ją na badaniu osobliwych przedmiotów znajdujących się w komnacie oraz na walce z cieniem za pomocą dwóch mieczy. Wykonałem właśnie obrót, kiedy napotkałem błyszczące oczy ujgurskiego wodza, obserwującego od drzwi moje poczynania. – Na Zardę! – wykrzyknął. – Jeśli czegoś zapomniałeś, to na pewno nie sztuki walki mieczem. Wojownikiem nas opuściłeś, wojownikiem powracasz! – Przykląkł na jedno kolano i pochylił głowę. – Wybacz, Dwayanu.

Już czas.

Nagle zaczęło mnie ogarniać podniecenie. Rzuciłem miecze i klepnałem wodza w ramię. Odebrał to jak pasowanie na rycerza. Poszliśmy korytarzem, wzdłuż szeregu ludzi z dzidami. Kiedy mineliśmy bramę, powitały nas grzmiące okrzyki: – Dwayanu!

Ryknęły trąby, wspomagane przez łomot bębnow i brzęk talerzy. Przed frontem pałacu dobra pięćsetka ujgurskich jeźdźców uformowała się w czworobok. Dzidy lśniły w słońcu, na drzewcach powiewały proporczyki. Wewnątrz czworoboku stało jeszcze więcej ludzi, ustawionych w szeregi. Widziałem teraz, że byli tam mężczyźni i kobiety odziani w takie same antyczne szaty jak moje. Połyskujące z daleka nitkami metalu, ubiory wyglądały jak ogromny, wielokolorowy kobierzec. Wśród nich łopotały przeróżne chorągwie i chorągiewki, zniszczone i obszarpane, z dziwnymi znakami. W dalszej krawędzi czworoboku rozpoznałem starego arcykapłana wraz z otaczającymi go niższymi kapłanami, siedzącymi podobnie jak on na koniu i jak on odzianymi w żółte szaty. W górze powiewał żółty sztandar. Kiedy rozwinął się na wietrze, ujrzałem na nim czarny kształt Krakena. Za czworobokiem setki Ujgurów tłoczyły się i przepychały, by choć przez chwilę mi się przyjrzeć. Zatrzymałem się, mrużąc w słońcu oczy. Ponownie rozległy się okrzyki i zadudniły bębny. Przypomniałem sobie słowa Barra o królu wracającym do swego królestwa. Tak, było w tym coś takiego.

Poczułem dotknięcie miękkich chrap. Przy mnie stał czarny rumak. Wraz z trzymającym się z tyłu ujgurskim wodzem przejechaliśmy wzdłuż zwartych szyków. Przyjrzałem się im dobrze. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, mieli jasne, szaroniebieskie oczy, byli wyżsi i bardziej rozrośnięci od innych. Pomyślałem, że mam przed sobą elitę, pochodzącą bezpośrednio ze starych rodów, w których żyłach płynęło stosunkowo dużo starej krwi. Obszarpane sztandary nosiły rodowe znaki. Oczy mężczyzn błyszczały radością. W oczach kobiet – nim dojechałem do kapłanów – zdążyłem zauważyć przerażenie.

Zrównałem się z arcykapłanem. Jeźdźcy przed nami rozstąpili się. Przejechaliśmy między nimi ramię w ramię, reszta kapłanów i szlachetnie urodzonych trzymała się z tyłu. Po obu stronach kawalkady kłusowały długie szeregi jeźdźców. Towarzyszyły im donośne dźwięki

trąbek, walenie w kotły i bębny, przerywane raz po raz rytmicznym uderzeniem talerzy. Powrót króla...

Mógłbym przysiąc na Boga, że w tym momencie jakaś siła porwała mnie i uniosła wysoko, ponad ujgurskie włócznie!

Kłusowaliśmy przez zieloną oazę. Przejechaliśmy przez szeroki most. Jego rozpiętość pochodziła z czasów, kiedy dzisiejszy mały strumyk był potężną rzeką. Wreszcie kopyta naszych koni zadudniły po antycznym trakcie, wiodącym prosto do wejścia w głąb góry, o jakąś milę drogi. Czułem, jak narasta we mnie gwałtowne uniesienie. Obejrzałem się na towarzyszy i nagle przypomniały mi się łaty i cery na mej odzieży. Jechały za mną takie same obszarpańce. Zaraz poczułem się mniej królewsko. Żal mi ich było. Widziałem w nich mężczyzn i kobiety gnane przez wycieńczone duchy kryjące się w ich rozrzedzonej krwi, duchy potężnych przodków, słabnące coraz bardziej, lecz na tyle mocne, by wciąż bronić się przed zagładą, by władać umysłami i wolą tych ludzi, wreszcie by zmuszać ich do gonienia za czymś, co nasyciłoby głód i pomogło odzyskać dawną siłę.

Tak, żałowałem ich. To nonsens sądzić, że zdołam nasycić głód duchów, ale była jedna rzecz, którą mogłem zrobić. Mogłem im urządzić przedstawienie na dwadzieścia cztery fajerki. Przepowiedziałem sobie cały rytuał, którego nauczył mnie arcykapłan. Powtórzyłem w myśli każdy gest.

Nagle okazało się, że stoimy u wrót prowadzących w głąb góry. Były na tyle szerokie, że dwudziestu jeźdźców mogło swobodnie wjechać do wnętrza ramię przy ramieniu. Przysadziste kolumny, które zobaczyłem pod wpływem dotknięcia rąk kapłana, leżały w gruzach po obu stronach. Tym razem nie czułem żadnej niechęci ani buntu, przeciwnie, chciałem jak najszybciej znaleźć się po drugiej stronie i mieć to za sobą.

Wojownicy podjechali bliżej i ustawili się przy wejściu jak straż. Zeskoczyłem z konia i oddałem im wodze.

Z arcykapłanem u boku i niższymi kapłanami postępującymi z tyłu przekroczyłem zrujnowaną bramę i znalazłem się w środku góry. Korytarz, czy też westybul, oświetlały ściennie kaganki palące się silnym, białym płomieniem. O jakieś sto kroków od wejścia arcykapłan skręcił w drugi korytarz, węższy, usytuowany pod kątem około piętnastu stopni w stosunku do pierwszego. Prowadził w głąb góry. Obejrzałem się. Szlachetnie urodzeni jeszcze nie przekroczyli bramy, widziałem, że właśnie zsiadają z koni. Szliśmy dalej w milczeniu, może jakieś tysiąc stóp, aż znaleźliśmy się w komnacie wykutej w czerwonym piaskowcu. Z boku zobaczyłem drzwi zasłonięte ciężką kotarą. Komnata była pusta, tylko wzdłuż ścian stało kilka kamiennych skrzyń różnej wielkości.

Arcykapłan otworzył jedną z nich. W środku było drewniane, poszarzałe ze starości pudło. Podniósł wieko i wyjął dwie żółte szaty. Jedną z nich, coś w rodzaju kitla sięgającego kolan, włożył mi przez głowę. Spojrzałem w dół. Zobaczyłem utkany wizerunek czarnej ośmiornicy, której macki zdawały się mnie obejmować.

Drugą szatę włożył sam. Na niej też widniała ośmiornica, ale tylko na piersiach, macki nie otaczały go tak jak mnie. Następnie wyjął ze skrzyni złotą laskę z poprzeczkami na końcach. Zwieszały się z nich pętle małych, złotych dzwoneczków.

Z innych skrzyń niżsi kapłani wyciągnęli bębny. Były to owalne instrumenty w dziwnym kształcie, długości około trzech stóp, o bokach z ciemnego, czerwonego metalu. Kapłani usiedli i zaczęli kciukami wygładzać na bębnach skórę, w miarę potrzeby napinając ją tu i tam. W tym czasie arcykapłan potrząsał delikatnie dzwoneczkami, sprawdzając ich brzmienie. Wszystko razem robiło wrażenie orkiestry strojonej instrumenty. Znów zachciało mi się śmiać. Nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, jak znane, pospolite zjawiska potrafią wzmacniać grozę.

Za kotarą przysłaniającą drzwi rozległy się jakieś szelesty, a następnie trzy donośne uderzenia, jakby młota o kowadło. Potem cisza. Dwunastu kapłanów wraz ze swymi bębnami ruszyło do przejścia. Arcykapłan gestem nakazał mi, bym udał się za nim – i wkrótce znaleźliśmy się w sąsiednim pomieszczeniu.

Rozglądałem się po ogromnej jaskini wykutej w litej skale rękami ludzi, którzy dawno obrócili się w proch. Ze ścian wołała do nas nieśmiertelna starożytność tak wyraźnie, jakby skała umiała mówić. Właściwie więcej niż starożytność – prehistoria. Światło było tu słabe do tego stopnia, że z trudem rozpoznawałem rysy stojących jakieś dziesięć stóp niżej ujgurskich nobilów. Z twarzami zwróconymi w moją stronę, trzymając wysoko rodowe sztandary, stali na kamiennej posadzce, oddaleni o jakieś sto kroków. Za nimi i nad nimi jaskinia tonęła w mroku, przed nimi zaś zauważyłem półokrągły, szeroki rów, jakby dolinę między dwiema długimi falami. Jedna z tych fal musiała wzbąć się w górę i załamać, zostawiając poszarpany kamienny brzeg. Wyglądała nie tyle jak fala wyrzeźbiona w kamieniu, ale jak gigantyczny grzywacz uderzający z ogromną siłą. Ten właśnie poszarpany brzeg stanowił krawędź podwyższenia, na którym stałem.

Arcykapłan dotknął mojej ręki. Odwróciłem się i skierowałem wzrok w ślad za jego spojrzeniem.

Jakieś sto stóp ode mnie stała dziewczyna. Całkiem naga. Chyba niezbyt dawno osiągnęła pełnię kobiecości, za to najwyraźniej spodziewała się dziecka.

Miała oczy tak niebieskie jak stary arcykapłan, brązowe, połyskujące złotem i miedzią włosy, skórę w najbledszym odcieniu oliwy. Krew starej, białej rasy musiała jeszcze żywo w niej krążyć. Mimo że trzymała się nadzwyczaj dzielnie, w oczach jej czaiło się przerażenie, widoczne



jeszcze bardziej w gwałtownym falowaniu krągłych piersi.

Stała w niewielkim zagłębieniu. Jej talię opasywała złota obręcz, z której zwisały trzy również złote łańcuchy przymocowane do podłoża. Zrozumiałem dlaczego. Nie mogła uciec, a gdyby upadła lub osunęła się, i tak nie wydostałaby się z dołka. Ale od czego lub kogo miałyby uciekać? Przecież nie ode mnie! Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się. Jej oczy szukały moich. Strach zniknął. Uśmiechała się do mnie z ufnością.

Boże, przebacz... Uśmiechnąłem się, a ona mi zaufała! Sięgnąłem wzrokiem wyżej, ponad nią, gdyż dostrzegłem żółtawy poblask rzucony przez kamień przypominający ogromny topaz. Wysoko na skale, ze sto jardów za plecami dziewczyny, sterczał olbrzymi kawał tego samego żółtego, przezroczystego kamienia, który tkwił w moim pierścieniu. Wyglądał jak fragment jakiejś gigantycznej pogruchotanej płyty, niezdarnie wyciosanej w kształt trójkąta. W środku czerniała macka Krakena. Kołysała się wewnątrz, oderwana od monstrualnego cielska w miejscu, w którym rozłupano kamień. Musiała mieć z pięćdziesiąt stóp długości. Zwrócona była wewnętrzną stroną do mnie, tak że wyraźnie widziałem okrągłe, obrzydliwe ssawki.

Cóż, wszystko to było dość ohydne, ale właściwie nie miałem powodu do obawy. Uśmiechnąłem się raz jeszcze do zakutej w łańcuchy dziewczyny i znów odwzajemniła mi się spojrzeniem pełnym bezgranicznego zaufania.

Stary arcykapłan obserwował mnie uważnie. Szliśmy naprzód, aż znaleźliśmy się w połowie drogi między krawędzią a dziewczyną. Na brzegu przykucnęło dwunastu kapłanów piastujących na kolanach bębny.

Obaj z arcykapłanem byliśmy zwrócenii twarzami do dziewczyny i odłamanej macki. Starzec potrząsnął złotą laską z dzwoneczkami. W mroku jaskini rozległ się chór głosów śpiewających cicho melodię opartą na trzech molowych tematach, to następujących po sobie, to znów zlewających się w jeden ton.

Śpiew był tak prehistoryczny jak jaskinia... Jakby stanowił jej głos...

Dziewczyna nie odrywała ode mnie oczu.

Chór umilkł. Uniosłem ręce i wykonałem kilka wyuczonych, osobliwych gestów pozdrowienia. Rozpocząłem obrzęd Kalk'ru...

Już po pierwszych słowach ogarnęło mnie to samo co przedtem wrażenie rozpoznania... i czegoś jeszcze. Słowa, gesty nasuwały się automatycznie. Nie musiałem w ogóle wysilać pamięci. Nie widziałem już dziewczyny w łańcuchach. Widziałem tylko czarną mackę w odłupanym kamieniu.

Obrzęd toczył się dalej... Zaraz, czyżby kamień wokół macki roztapiał się? Czy macka się poruszyła?

Próbowałem desperacko powstrzymać słowa cisnące mi się na usta i gesty, które wykonywały się same, bez udziału mojej woli... Nie potrafiłem!

Coś silniejszego mną zawładnęło, poruszało moimi mięśniami, mówiło moimi ustami. Miałem wrażenie jakiejś nadludzkiej mocy. Rytuał trwał aż do kulminacyjnego momentu tej szatańskiej ewokacji – teraz dopiero wiedziałem, ile w niej było zła – a ja tkwiłem gdzieś z boku, niezdolny zapanować nad sytuacją.

Koniec obrzędu.

Nagle macka drgnęła. Zakołysała się... Sięgnęła po zakutą dziewczynę...

Rozległ się piekielny jazgot bębnów. Szybciej, coraz szybciej... aż do grzmiącego jak burza crescendo...

Dziewczyna wciąż na mnie patrzyła. Ale z jej oczu zniknęła ufność... zamiast niej pojawił się paniczny strach, wierne odbicie tego, który widziała na mojej twarzy.

Czarna macka podniosła się – i uwolniła!

Przed oczami zamajaczył mi ogrom paskudnego cielska, z którego wyrastały inne, równie ohydne, wijące się macki. Poczulem na twarzy powiew chłodu...

Czarna macka owinęła się wokół ofiary... Dziewczyna krzyknęła... wprost nieludzko... zgasła... rozplynęła się... krzyk zamarł... przeszedł w ciche, jęgliwe, pełne udręki kwilenie... westchnienie...

Z miejsca, w którym stała, dobiegł mnie metaliczny dźwięk. To złote łańcuchy i obręcz, już niepotrzebne, opadły na skalne podłoże. Dziewczyna znikła!

Stałem jak sparaliżowany, przeżywając senny koszmar, jakiego nie doświadczyłem w najgorszym nawet śnie. To dziecko mi ufało! Uśmiechałem się do niej, a ona mi ufała... I to ja sam wezwałem Krakena, by ją zgładził! Spóźnione wyrzuty sumienia i straszliwa furia rozerwały więzy, które mnie powstrzymywały. Zobaczyłem, że kawał żółtego kamienia znajduje się na swoim miejscu, a czarna macka spoczywa bezwładnie w jego wnętrzu. U mych stóp leżał twarzą do ziemi stary arcykapłan. Jego ciałem wstrząsały drgania, ręce kurczowo czepiały się skały. Obok, przy swych bębnach leżeli kapłani, w dole zaś płasko rozciągnięci na skalnej posadzce trwali nobile, ślepi i głusi na wszystko, pełni pokory, pogrążeni w przedziwnej adoracji tej przerażającej Rzeczy, którą własnymi ustami tu wezwałem...

Rzuciłem się do kotary. Miałem w głowie tylko jedno: wydostać się ze świątyni Kalk'ru. Z jaskini Krakena. Uciec daleko... bardzo daleko. Wrócić do obozu. Do domu. Przebiegłem w dzikim pędzie przez mniejszą komnatę, przez korytarze, wreszcie dotarłem do wejścia. Tam przystanąłem, oślepiiony słońcem.

W tym momencie usłyszałem ryk wydobywający się z setek gardeł... I cisza. Po chwili wzrok mi wrócił. Oddziały ujugurskich wojowników leżały przede mną plackiem w kurzu drogi.

Rozejrzałem się za czarnym rumakiem. Był tuż przy mnie. Wskoczyłem na siodło i ująłem wodze. Wystrzelił do przodu jak czarna błyskawica, przebił się przez leżące szeregi i runął przez oazę. Kątem oka widziałem biegnące za mną z wrzaskiem tłumy. Nikt nie próbował mnie zatrzymać. Nikt nie dorównałby w pędzie temu wspaniałemu wierzchowcowi.

Zbliżałem się już do kamiennych wewnętrznych wrót fortu, przez które przejeżdżaliśmy wczoraj. Stały otworem. Wartownicy gapili się na mnie w niemym zdumieniu. Od strony świątyni rozległ się głos bębnow, donośny, rozkazujący. Obejrzałem się. Przy bramie wybuchło jakieś zamieszanie, chaotyczna przepychanka. Całą szerokością drogi walili ławą ujugurscy wojownicy.

Zabrano się do zamykania wrót. Spiałem konia, przeskoczyłem obok straży i znalazłem się w środku fortu. Dotarłem do następnych wrót. Te były jednak zamknięte. I znów odezwały się bębny... Tak samo władczo, nieubłaganie.

Zaczął mi wracać rozsądek. Kazałem straży otworzyć. Stali drżący, gapiąc się na mnie, jakby wrosli w ziemię. Ale nie posłuchali. Zeskoczyłem z konia i podbiegłem do wartowników. Podniosłem rękę. Zalśnił pierścień Kalk'ru. Rzucili się na ziemię... ale nie otworzyli.

Zobaczyłem wiszące na ścianie bukłaki z kozłej skóry napelnione wodą. Złapałem jeden z nich i jeszcze worek ziarna. Na ziemi leżała potężna kamienna płyta. Podniosłem ją, jakby była kamykiem, i cisnąłem w bramę, tam gdzie się stykały dwie zasuw. Rozpadły się z trzaskiem. Wrzuciłem bukłak i worek na siodło, po czym wypadłem przez stojące otworem wrota. Wielki koń mknął przez wąwóz chyżo jak jaskółka. W mgnieniu oka pokonaliśmy rozwalający się most i rwaliśmy środkiem antycznej drogi.

Wreszcie dotarliśmy do wylotu wąwozu. Poznałem to miejsce po osuniętej skale. Obejrzałem się. Nic nie wskazywało, by mnie kto ścigał. Tylko z daleka słyszałem jeszcze słaby odgłos bębnow.

Dawno minęło południe. Jechałem dalej przez wąwóz, aż znalazłem się przy paśmie piaskowcowych wzgórz. Było to okrucieństwo wobec konia, ale nic nie mogłem poradzić. Nim noc zapadła, dotarłem do terenów półpustynnych. Koń sphywał potem, straszliwie wymęczony, nie zwolnił jednak tempa ani nie próbował się buntować. Biło w nim naprawdę wielkie serce. Zdecydowałem, że dam mu odpocząć i niech się dzieje, co chce.

Znalazłem miejsce osłonięte dwoma głazami. Nagle uświadomiłem sobie, że wciąż jestem ubrany w żółty, ceremonialny kaftan. Zdarłem go z siebie, niemal chory z odrazy. Wytarłem nim zwierzę, potem je napoiłem i podsypałem mu ziarna. Jednocześnie poczułem, że jestem niesamowicie wprost głodny. Przecież od rana nic nie miałem w ustach. Pożułem trochę ziarna i popiłem je wodą. Nadal żadnych znaków pościgu. Bębny umilkły. Zastanawiałem się z niepokojem, czy Ujgurowie nie znają czasem jakiegoś skrótu i czy mnie nie osaczają.

Narzućm kaftan na konia, a sam wyciągnąłem się na ziemi. Nie miałem zamiaru spać. Ale zasnąłem.

Obudziłem się dość gwałtownie. Świtało. Nade mną stał stary arcykapłan i stalowooki ujgurski wódz. Moją kryjówkę otaczał kordon wojowników.

– Nie chcieliśmy cię skrzywdzić, Dwayanu – przemówił łagodnie arcykapłan. – Jeśli twoją wolą jest nas opuścić, nie przeszkodzimy ci. Ten, na którego głos odpowiada Kalk’ru, nie powinien się nas obawiać. Jego wola jest naszą.

Nie odpowiedziałem. Patrzyłem na niego, ale przed oczami miałem wyłącznie to, co się działo w jaskini. Westchnął.

– Chcesz nas opuścić. Więc tak się stanie.

Wódz milczał.

– Przywieźliśmy twoją odzież, Dwayanu. Pomyśleliśmy, że zechcesz odjechać ubrany tak jak przedtem – dodał arcykapłan.

Przebrałem się. On pozbierał resztki obrzędowego stroju. Zdjął z konia kaftan z ośmiornicą. Dopiero wtedy odezwał się wódz:

– Czemu nas opuszczasz, Dwayanu? Sprawileś, że zawarliśmy pokój z Kalk’ru. Otworzyłeś zamknięte wrota.

Wkrótce ta pustynia stanie się żyzna jak dawniej. Dlaczego nie zostaniesz, by stanąć na czele naszego marszu ku świetności?

Potrząsnąłem głową. Arcykapłan ponownie westchnął.

Taka jest jego wola. Tak się stanie. Ale pamiętaj, Dwayanu: ten, na którego wezwanie odpowiada Kalk’ru, musi się stawić, jeśli Kalk’ru tego zażąda. A on to uczyni.

Prędzej czy później – uczyni!

Wyciągnął drżącą, starczą rękę. Dotknął moich włosów i serca. Wreszcie odwrócił się, a wraz z nim drużyna wojowników. Odjechali.

Wódz powiedział:

– Czekamy, by strzec Dwayanu w czasie jego drogi.

Wsiadłem na konia. Kiedy dotarliśmy do nowego obozu, okazało się, że jest opuszczony. Jechaliśmy więc dalej, w kierunku starego. Późnym popołudniem zobaczyliśmy przed sobą karawanę. Kiedy zbliżyliśmy się, stanęli, przygotowując się w popłochu do obrony. To była ekspedycja, jeszcze w drodze. Pomachałem im ręką i zacząłem nawoływać.

Zeskoczyłem z czarnego rumaka i wręczyłem wodze Ujgurowi.

– Zabierz go – powiedziałem.

Jego posepna, surowa twarz rozjaśniła się.

– Będzie na ciebie czekał, aż wrócisz, Dwayanu – rzekł. – On albo któryś z jego synów. –

Przyłożył sobie swoją dłoń do czoła i ukląkł. – Tak jak my wszyscy, Dwayanu, zawsze będziemy gotowi znów cię powitać. My albo nasi synowie. Kiedy wrócisz.

– Wsiadł na konia i ustawił się przede mną wraz z oddziałem. Wznieśli wysoko dzidy i krzyknęli gromko:

– Dwayanu!

– Pomknęli z powrotem. Ja poszedłem pieszo. Fairchild i inni już na mnie czekali.

– Szybko, jak tylko mogłem najszybciej, znalazłem się w drodze do Ameryki. Chodziło mi wyłącznie o jedno: zwiększyć do granic możliwości dystans między moją osobą a świątynią Kalk’ru.

– Urwałem. Moja ręka bezwiednie powędrowała do woreczka z koźlej skóry, który miałem zawieszony na piersi. – Teraz jednak – powiedziałem – chyba się tak łatwo nie wywinę. Wzywa mnie. Brzękiem kowadła. Tym śpiewem i hukem bębnow. To zew Kalk’ru!

# KSIĘGA MIRAŻU

## Rozdział V

### MIRAŻ

Jim obserwował mnie w milczeniu. Po raz kolejny widziałem, jak z jego twarzy znika indiański stoicyzm. Położył rękę na moim ramieniu.

– Leifie – odezwał się cicho. – Skąd mogłem wiedzieć? Pierwszy raz widzę cię w strachu... To mnie boli.

Nie wiedziałem...

Jak na Czirokeza Tsantawu i tak za wiele słów.

– Dobra, Indianinie, odwal się – odparłem szorstko.

Siedział dłuższą chwilę w ciszy, wrzucając patyczki do ognia.

– Co na to twój przyjaciel Barr? – spytał nagle.

– Dał mi wycisk. Wydierał się na mnie, a łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach. Powiedział, że odkąd Judasz pocałował Chrystusa, nikt nie dopuścił się większej zdrady wobec nauki. Umie facet dobierać metafory tak, by zaleźć człowiekowi za skórę. W każdym razie ze mną mu się udało, tym bardziej, że miałem o sobie dokładnie takie samo zdanie. Nie myślałem jednak o nauce, tylko o dziewczynie. To, co zrobiłem, było właśnie jak Judaszowy pocałunek. Barr mówił, że otwierały się przede mną takie możliwości, o jakich człowiekowi się nie śniło. Mogłem zgłębić całą tajemnicę Gobi i zaginionej cywilizacji, a tymczasem uciekłem jak przestraszone dziecko. Atawizm opanował nie tylko moje ciało, ale i mózg. Jestem jasnowłosym dzikusiem padającym plackiem przed pogańskimi bożkami. On na moim miejscu dałby się nawet ukrzyżować, żeby tylko dojść prawdy. Zrobiłby to. Nie kłamał.

– Wybitnie naukowe podejście – rzekł ironicznie Jim. – Ale jakiego jest zdania o tym, co widziałeś?

– Uważa, że arcykapłan zasugerował mi wszystko w hipnotycznym śnie. Widziałem to, co mi narzucił, tak samo jak przedtem, kiedy na jego rozkaz ujrzałem siebie jadącego do świątyni. Dziewczyna nie rozplynęła się. Na pewno stała za kulisami, naśmiewając się ze mnie. Ale gdyby nawet to wszystko, co swoim umysłem ignoranta przyjąłem za prawdę, było prawdą, to zachowałem się tym bardziej niewybaczalnie. Powinienem tam zostać, zbadać te zjawiska, a wyniki przedstawić na forum naukowym. Kalk’ru to nic innego, jak drugie prawo termodynamiki wyrażone w sposób antropomorficzny.

Życie naprawdę jest wtargnięciem w Chaos, przez który Barr rozumie bezkształtny, pierwotny stan wszechświata.

Jest inwazją. Wypadkiem. Kiedyś cała energia przemieni się w statyczne ciepło, niezdolne do wydania z siebie jakiegokolwiek życia. Wymarłe światy będą unosić się w nieograniczonej próżni. Próżnia jest wieczna, życie zaś nie. Dlatego próżnia je wessie. Słońca, światy, bóstwa,

ludzie, wszystkie żywe istoty powrócą do próżni. Do Chaosu. Nicości. Do Kalk'ru. Czy też, jak woli mój atawistyczny umysł – do Krakena. Mówił to z wielką goryczą.

– Ale inni też widzieli, co się stało z dziewczyną.

– Jak on to tłumaczy?

– Och, bardzo łatwo. Masowa hipnoza. Coś jak anioły z Mons czy łucznicy-widma z Crecy, czy też inne zbiorowe halucynacje z czasów wojny. Ja pełniłem rolę katalizatora. Moje podobieństwo do przedstawicieli legendarnej białej rasy, fakt, że pod każdym względem zasługuję na miano ich potomka, mistrzowskie prowadzenie obrzędu Kalk'ru, wiara, jaką Ujgurowie we mnie pokładają – wszystko to stanowiło elementy niezbędne do wywołania obrazu macki za pomocą zbiorowej halucynacji. Oczywiście kapłani od dawna pracowali nad wynalezieniem mikstury, ale ciągle brakowało im istotnego chemikaliu. Z jakiegoś powodu doszli do wniosku, że zamiast środka chemicznego ja mógłbym się stać katalizatorem. To wszystko.

Znów siedział zamyślony, łamiąc patyczki.

– To rozsądne wyjaśnienie. Ale ciebie nie przekonało?

– Nie, nie przekonało. Pamiętam twarz dziewczyny w momencie, gdy macka jej dosięgła.

Podniósł się i obrócił przodem ku północy.

– Leifie – rzekł nagle – co zrobiłeś z pierścieniem?

Wyciągnąłem woreczek z kozłej skóry i wręczyłem Jimowi pierścień. Obejrzał go uważnie i oddał mi.

– Czemu go zatrzymałeś?

– Nie wiem. – Wsunąłem sobie pierścień na kciuk.

– Nie oddałem go arcykapłanowi; nie prosił o to. Och, do diabła, powiem ci. Z tego samego powodu, dla którego Starożytny Marynarz u Coleridge'a owijał sobie szyję albatrosem. Żebym nie zapomniał, że jestem mordercą.

Włożyłem pierścień z powrotem do woreczka na szyi. Z północy dobiegał ledwie słyszalny głos bębnow. Tym razem nie przynosił go wiatr. Zdawało się, że wypływa spod ziemi i tam znika.

– Kalk'ru! – zawołałem.

– Cóż, nie dajmy starszemu czekać – odparł niefrasobliwie Jim.

Pogwizdując spiesznie kończył pakowanie tobołów. Nagle obrócił się ku mnie.

– Słuchaj, Leifie. Co do mnie, uważam, że teorie Barra trzymają się kupy. Nie twierdze, że będąc na twoim miejscu, myślałbym tak samo. Może masz rację. Ale póki bieg wypadków – „jeśli-jak-i-kiedy” się one wydarzą – nie przekona mnie, że Barr się myli, jestem po jego stronie.

– W porządku – odparłem kordialnie, bez cienia sarkazmu. – Oby twój optymizm przetrwał,



aż wrócimy do Nowego Jorku „jeśli-jak-i-kiedy” tam dotrzemy.

Zarzuciliśmy toboły na plecy, zabraliśmy strzelby i ruszyliśmy na północ.

Marsz nie był specjalnie forsowny, ale prawie cały czas trzeba się było wspinać, nieraz dość ostro. Teren stawał się wciąż bardziej górzysty. Las, wyjątkowo gęsty i wysoki jak na tę strefę, zaczynał rzednąć. Robiło się coraz zimniej. Po pokonaniu około piętnastu mil znaleźliśmy się na przestrzeni porosłej z rzadka karłowatymi drzewami. Pięć mil dalej rozciągało się pasmo nagich, wysokich na tysiąc stóp skał. Za nim już tylko gmatwanina niebosiężnych gór, bez żadnych drzew, o szczytach pokrytych śniegiem i lodem, poprzecinanych licznymi wąwozami, które połyskiwały bielą jak miniaturowe lodowce. Od pasma skał dzieliła nas równina porośnięta kobiercem niskich krzewów dzikiej róży i jagodowisk, mieniająca się czerwienią, błękitem i zielenią krótkiego alaskańskiego lata.

– Jeśli rozbijemy obóz pod tymi wzgórzami, będziemy osłonięci od wiatru – rzekł Jim. – Teraz jest piąta. Powinniśmy tam dotrzeć za godzinę.

Ruszyliśmy. Z gęstych jagodowisk wokół nas coraz to podrywały się pardwy jak brunatne rakiety, ze wszystkich stron pogwizdywały złociste siewki i kuliki, w zasięgu strzału pasło się niewielkie stadko karibu. Wszędzie widać było sylwetki małych, brązowych żurawi. Nikt w tych stronach nie miał prawa przymierać głodem. Po rozbiciu obozu my też podjedliśmy sobie niezgorzej.

Tej nocy nie dobiegały nas żadne dźwięki – a jeśli nawet, to spaliśmy zbyt głęboko, by je usłyszeć.

Rano dyskutowaliśmy nad wyborem szlaku. Nasza ścieżka prowadziła prosto w kierunku niskiego pasma, czyli na północ. Potem, biegnąc coraz bardziej stromo, rozwidlała się na wschód i zachód. Na oko trasa nie przedstawiała większych trudności. Zdecydowaliśmy powspinać się nią trochę, nie forsując się zbytnio, ale okazała się trudniejsza, niż nam się zdawało. Dotarcie do szczytu zajęło nam dobre dwie godziny.

Stamtąd powędrowaliśmy ku potężnym masywom rozciągającym się przed nami jak ściana. Wcisnęliśmy się między dwa z nich, ale zaraz wycofaliśmy się pośpiesznie. Stanęliśmy na skraju przepaści, opadającej setkami stóp do dna doliny. Wszędzie jak okiem sięgnąć piętrzyły się jedna przy drugiej ośnieżone góry. Daleko na horyzoncie rysowała się sylwetka szczytu w kształcie piramidy. Od jej wierzchołka aż do dna doliny ciągnęła się lśniąca, biała pręga – niewątpliwie lodowiec wypełniający rozpadlinę, która rozszczepiała górę tak równo, jakby powstała wskutek jednego ciosu mieczem. Dolina była dość długa i wąska, w najszerszym miejscu mogła mieć nie więcej niż pięć mil. Jej dalszy koniec blokował ogrom pociętego szczelinami lodowca, którego jezory sięgały na zbocza sąsiednich gór i spływały z nich, chyba że natrafiły na miejsca, gdzie urwiska skalne były tak strome jak przepaść pod nami.

Naszą uwagę przykuwało jednak samo dno doliny. Nie wydawało się, niczym specjalnym.

Ogromna płaska przestrzeń pokryta piargiem. Dalszy koniec zasłaniała pokrywa lodowca sięgającego niemal do połowy długości. Wśród tych okruchów skalnych nie widziało się żadnych śladów życia. Na otaczających nas górach nie dostrzeżliśmy ani odrobiny zieleni; wokół ciągnęły się nagie, czarne skały, pocięte bruzdami wypełnionymi śniegiem i lodem. Mieliśmy przed sobą dolinę pustki. – Zimno tu – zauważył, trzęsąc się Jim. Ja też czułem chłód... osobliwy rodzaj chłodu. Nieruchomy, zapierający dech. Wydało mi się, że ten chłód wypycha nas z doliny niemal siłą.

– Czeka nas nielichy kawał roboty, nim zejdziemy – powiedziałem.

– I ciężki marsz tam, w dole – dodał Jim. – Skąd, u diabła, wzięło się tyle tego piargu? I dlaczego jest tak równo usypany?

– Pewnie to pozostałość po cofnięciu się lodowca.

– Wygląda na końcową morenę. Właściwie całe to miejsce robi wrażenie wyżłobionego przez lód.

– Przytrzymaj mnie za nogi, Leifie, muszę się rozejrzeć. – Położył się na brzuchu i wychylił poza krawędź.

Po dłuższej chwili usłyszałem, że mnie woła, i wciągnąłem go z powrotem. – O jakieś ćwierć mili stąd jest ześlizg – oznajmił. – Nie umiem powiedzieć, czy sięga aż do końca. Jak myślisz, Leifie, daleko do dna?

– Och, jakieś parę setek stóp.

– A ja ci powiadam, że dobry tysiąc. Ta ściana leci w dół bez końca. Nie rozumiem, co sprawia, że dno wydaje się tak blisko. To jakieś dziwne miejsce.

Podnieśliśmy toboły i ruszyliśmy naprzód pod osłoną rzędu olbrzymich jak ściany głazów. Wkrótce natrafiliśmy na spore wyżłobienie ciągnące się od wierzchołka daleko w przeciwnym kierunku. Lód i mróz skruszyły tu skałę tak, że powstało coś w rodzaju uskoku. Pokruszone resztki utorowały sobie drogę, podobnie jak głazy narzutowe, które uformowały dno doliny.

– Trzeba będzie zdjąć plecaki i zobaczyć, co się da zrobić – rzekł Jim. – Co proponujesz – zostawiamy je tutaj na jakiś czas, czy spuszczaamy na dół?

– Zabierzmy je. U podnóża tak dużej góry musi być jakieś wyjście.

Zaczęliśmy schodzić. Przeczółgiwałem się właśnie przez jedną ze skał, kiedy usłyszałem ostry krzyk Jima.

Lodowiec wciskający się białym jęzorem w gruzowisko skalne zniknął. Samo gruzowisko też. Dalszy kraniec dna doliny pokrywało mnóstwo czarnych kamieni w kształcie piramidy. Środek każdego z nich naznaczony był białą połyskliwą smugą. Stały rzędami, rozstawione regularnie jak dolmeny [grobowce z okresu neolitu, zbudowane z ustawionych pionowo głazów przykrytych płaskim blokiem kamiennym] Druidów. Zajmowały połowę doliny. Wśród nich gdzieniegdzie wznosiły się obłoki

białej pary, przypominające dymy ofiarne.

Między nami, przycupniętymi na czarnej skale, a kamieniami rozpościerała się błękitna, pomarszczona tafla jeziora! Wypełniała szczerze mniejszą z dolin. Przy brzegach, nadal od nas odległych, fale biły o pokruszone skały.

Te uporządkowane rzędy czarnych kamieni nasunęły mi nagle pewną myśl.

– Jim! Spójrz na te piramidalne skałki! Każda, ale to każda jest maleńką kopią tej dużej góry. Nawet biała smuzka się zgadza!

Ledwie zdążyłem to powiedzieć, jezioro zafalowało. Wpłynęło między czarne piramidy, stopniowo je w siebie zagarniając i gasząc ofiarne dymy. Wreszcie pokryło je zupełnie. Ponownie zafalowało. Znikło. Na jego miejscu znów pojawiło się rumowisko skalne, dno doliny.

Cała ta transformacja dokonała się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, niczym magiczna sztuczka iluzjonisty. I rzeczywiście był to swego rodzaju czar. Kiedyś widziałem przecież, jak natura płata takie figle.

– Do diabła – krzyknąłem. – To miraż!

Jim nie odpowiedział. Wpatrywał się w dolinę z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co z tobą, Tsantawu? Znów wsłuchujesz się w głosy przodków? To tylko miraż!

– Tak? – spytał. – Miraż? Ale co nim jest: jezioro czy rumowisko?

Przyjrzałem się dnu doliny. Wyglądało dość realnie. Za teorią moreny polodowcowej przemawiała dziwna płaskość terenu oraz wysokość, jaka dzieliła nas od rumowiska. Kiedy tam zejdziemy, odczujemy na własnej skórze niewygodę związane z tym gruzem, mógłbym przysiąc.

– No jasne, że jezioro.

– Nie – odparł. – Myślę, że to kamienie są mirażem.

– Nonsens. Na dole leży warstwa ciepłego powietrza. Kamienie wypromieniowują ciepło słoneczne, które styka się z zimnym powietrzem. To właśnie jeden z warunków powstania mirażu. I to właśnie nam się zdarzyło.

– Koniec, kropka.

– Nie. Nie koniec. – Oparł się o skałę. – Leifie, poprzedniej nocy przodkowie powiedzieli mi coś, czego ci nie powtórzyłem.

– Wiem, cholera, wiem.

– Mówili o Ataga’hi. Czy wiesz coś na ten temat?

– Nic a nic.

– Ja też wtedy nie wiedziałem. Teraz wiem. Ataga’hi to czarodziejskie jezioro, położone w najbliższej części Wielkich Dymów, na zachód od siedziby plemienia Ocanaluftee. To jezioro uzdrawiające, przeznaczone dla zwierząt i ptaków. Wszyscy Czirokezi o nim wiedzą, ale mało kto je widział. Jeśli zabłąka się tam jakiś myśliwy, zobaczy tylko kamienistą równinę, posepną, odpychającą, bez jednego ździebełka trawy. Ale przez modlitwę, post i całonocne czuwanie nasz

myśliwy może sobie wyostrzyć duchowe widzenie. Wtedy o świcie ujrzy płytką taflę wody, zasilaną źródłami tryskającymi spomiędzy wysokich skał wznoszących się naokoło. I zobaczy w tej wodzie rozmaite ryby i gady, stada kaczek i gęsi, a w powietrzu inne, fruujące ptaki, na brzegach zaś zwierzęce tropy. Wszystko to przybywa do Ataga'hi, by wyleczyć się z ran i chorób. Na środku jeziora Wielki Duch utworzył wyspę, do której dopływają ranne i chore zwierzęta oraz ptaki. Kiedy znajdują się na miejscu, okazuje się, że wody Ataga'hi je uleczyły. Czasem powtarzają tę drogę dla większego efektu. Nad Ataga'hi rządzi pokój Boży. Wszystkie stworzenia żyją tam w przyjaźni.

– Słuchaj, Indianinie, czy próbujesz we mnie wmówić, że to jest właśnie twoje uzdrawiające jezioro?

– Przecież tego nie powiedziałem. Tylko, że nazwa Ataga'hi nie daje mi ostatnio spokoju. To miejsce jawi się początkowo jako kamienista równina bez śladu zieleni. Tak jak ta przed nami. Ale za tą iluzją ukrywa się jezioro. I widzieliśmy jezioro. Dziwna zbieżność, to wszystko. Może kamienista równina Ataga'hi jest mirażem... – Zawahał się. – Cóż, jeśli wydarzą się jeszcze inne rzeczy, o których wspomnieli przodkowie, wezmę twoją stronę w tej aferze z Gobi.

– Jezioro było mirażem, powiadam ci.

Potrząsnął głową z uporem.

– Może. Ale może to, co teraz widzimy tam, w dole, też jest mirażem. A skoro tak, to jak daleko znajduje się prawdziwe dno doliny i czy damy radę tam się dostać?

Wstał i przyglądał się w milczeniu dolinie. Widząc, jak drży, znów uświadomiłem sobie dziwną intensywność przenikającego nas chłodu. Schyliłem się po plecak. Ręce mi całkiem zdrętwiały.

– Cóż, musimy się sami przekonać.

Dnem doliny wstrząsnęło drganie. Nagle znów stało się lśniącem, błękitnym jeziorem. A po chwili znowu gruzowiskiem.

Lecz nim to nastąpiło, wydało mi się, że widzę w tym ułudnym jeziorze – jeśli to było złudzenie – ogromny, mroczny kształt. Kształt olbrzymich czarnych macek wysuwających się z kolosalnego, nieforemnego cielska... cielska, które zdawało się znikać gdzieś w niezmierzonej dali... w próżni... tej samej co Kraken z gobijskiej jaskini... w próżni, której imię brzmiało – KALK'RU!

Czołgaliśmy się, przedzierali pomiędzy skałami, ześlizgiwali z większych odłamów. Im bardziej zbliżaliśmy się do dna, tym intensywniejszy stawał się chłód. Był to ten sam rodzaj chłodu co przedtem, niezmienny, przejmujący do szpiku kości. Czasem toboły zrzucaliśmy przodem, czasem wlekliśmy je za sobą. Lodowate zimno kasało nas coraz brutalniej.

Spoglądając, od czasu do czasu w dół upewniałem się o realności kamienistego dna. Każdy

miraż, jaki widziałem – a w Mongolii widziałem ich wiele – kiedy tylko się doń zbliżyłem, odsuwał się, zmieniał, wreszcie znikał. Tu nic takiego nie miało miejsca. Prawda, że kamienie wydały się niższe i bardziej przysadziste, ale przypisywałem to raczej zmiennemu kątowi widzenia.

Od końca śliskiego zbocza dzieliło nas jakieś sto stóp, kiedy zacząłem tracić pewność siebie. Droga stała się wyjątkowo trudna. Ześlizg się zwięzał. Po naszej lewej stronie lita skała opadała w dół tak gładko, jakby przesunęła się po niej jakaś gigantyczna miotła. Prawdopodobnie odłupał się w tym miejscu olbrzymi kawał góry i następnie rozsypał w głązy, które zostały już tak na zawsze, zwalone na kupę. Obróciliśmy się w prawo, gdzie przebiegał grzbiet skalny wypiętrzony pod naciskiem tej samej kamiennej lawiny. Postanowiliśmy nim pójść.

Z powodu mojej wielkiej siły niosłem obie nasze strzelby zarzucone razem na lewe ramię, a także cięższy toból. Doszliśmy do wyjątkowo paskudnego miejsca. Kamień, na którym stanąłem, przechylił się pod moim ciężarem. Odrzuciło mnie na bok. Toból wysunął mi się z rąk i runął w dół, ześlizgując się po gładkiej skale. Odruchowo rzuciłem się do przodu, próbując go złapać. Wtedy pękł rzemień, którym związane były strzelby. Spadły w ślad za tobolem.

Był to jeden z tych zbiegów okoliczności, które powodują, że zaczyna się wierzyć w boga Pecha. To samo mogło się wydarzyć w dowolnym miejscu naszej wędrówki i nie pociągnąć za sobą żadnych skutków. Zresztą nawet w tym momencie nie przypuszczałem nic złego. – Cóż – roześmiałem się. – Przynajmniej nie muszę nic targać. Znajdziemy je na dole.

– To znaczy – rzekł Jim – jeśli ta dolina ma w ogóle jakieś dno.

Spojrzałem w dół. Strzelby dogoniły toból i cała trójka poruszała się teraz dość szybko.

– Tam się zatrzymają – powiedziałem. Były już prawie na rumowisku.

– Jak cholera! – krzyknął Jim. – Patrz!

Przetarłem oczy. I jeszcze raz. I jeszcze. Toból wraz ze strzelbami powinien spaść na kamienie pod ześlizgiem. Ale nie było ich tam. Zniknęły.

## Rozdział VI

### KRAINA CIENIA

Kiedy nasz ekwipunek wylądował na uskoku skalnym, zauważyliśmy dziwne drganie. Potem strzelby i toból jakby wtopiły się w podłoże.

- Można by rzec, że wpadły do jeziora – powiedział Jim.
- Nie ma żadnego jeziora. Wpadły w jakąś rozpadlinę. Chodź już...  
Ścisnął mi ramię.

– Zaczekaj, Leifie. Nie śpiesz się.

Popatrzyłem w ślad za wyciągniętym palcem Jima. Wał z kamieni zniknął. Na jego miejscu gładki ześlizg sięgał jęzorem daleko w dolinę.

– Idziemy – zakomenderowałem.

Przy schodzeniu dokładnie badaliśmy nogami grunt. Gruzowisko wydawało się coraz bardziej płaskie, a głązy niższe. W pewnym momencie chmura przesłoniła słońce – i głązy zniknęły. Dno doliny, wielka, szara pustać, rozciągało się pod nami zupełnie płasko. Ześlizg urywał się nagle na skraju tej pustaci. Tak sarno nagle, jakies pięćdziesiąt stóp przed nami, kończyły się skały. Zatrzymywały się na krawędzi i patrząc na nie odnosiło się dziwne wrażenie, że ktoś je tam poprzyklejał. Powierzchnią doliny też nie wyglądała na utwardzoną, tylko jakby lepka, kleista. Przebiegały po niej nieznaczące, lecz powtarzające się regularnie drgania, jak fale rozgrzanego powietrza nad wypaloną słońcem drogą. Mimo to z każdym krokiem w dół przenikało nas coraz dotkliwsze i coraz trudniejsze do zniesienia zimno.

Między pokruszonymi skałami a uskokiem, po naszej prawej stronie, dostrzegliśmy wąskie przejście. Przecisnęliśmy się tamtędy i stanęliśmy nad olbrzymim płaskim głazem na samym skraju dziwnej równiny. Nie pokrywało jej ani gruzowisko skalne, ani woda. Miała wygląd cienkiej tafli matowego szkła czy też warstwy gazu, który przybrał półpłynną postać.

Rozciągnąłem się na kamieniu, próbując dotknąć niezwyklej substancji. Udało mi się – ale nie poczułem żadnego oporu. Nie poczułem nic. Zanurzyłem rękę głębiej. Zobaczyłem przez moment jej odbicie jakby w krzywym zwierciadle, potem w ogóle straciłem ją z oczu. Ale tam, gdzie zniknęła, panowało przyjemne ciepło. W przemarzniętych palcach krew zaczęła żywiej krążyć, dając uczucie mrowienia. Sięgnąłem dalej poza krawędź głazu i zanurzyłem obie ręce aż po ramiona. Cóż za rozkosz!

Jim rozłożył się koło mnie i zrobił to samo.

– To powietrze – rzekł.

– Na to wygląda – zgodziłem się. Nagle poraziła mnie pewna myśl. – Co ze strzelbami i tobółem? Jeśli ich nie wydostaniemy, będzie po nas!

– Jeśli Kalk’ru istnieje... nie pomogą nam żadne strzelby... – stwierdził Jim.

– To ty tak myślisz... – zacząłem i urwałem, bo przypomniał mi się ciemny kształt w jeziorze z mojej wizji.

– Usunhi'yi, Mroczna Ziemia... Kraina Cienia, czy nie tak ją nazwał ten twój arcykapłan? Powiedziałbym, że to pasuje do obu określeń.

Leżałem nieruchomo. Nieważne, jak długo człowiek nosi w sobie pewność, że zbliża się czas próby. I tak w momencie przekraczania progu czuje się coś w rodzaju skurczu. Wiedziałem to teraz z całą jasnością. Znikła gdzieś długa droga od złotej świątyni Kalk'ru do miejsca z mirażu. Przeszedłem po prostu od jednego ogniwa mocy Kalk'ru do drugiego, w którym to, co wzięło początek na Gobi, musi dobiec końca. Stary koszmar mnie dopadł i teraz pelzł z wolna po plecach. Walczyłem z nim.

Podejmę wyzwanie. Nic na świecie nie powstrzyma mnie już od dalszego działania. W momencie tej decyzji pierzchła trwoga. Po raz pierwszy od lat byłem wolny od strachu.

– Mam zamiar sprawdzić, co jest tam, w dole – oznajmił Jim i podniósł ręce. – Przytrzymaj mnie za nogi, Leifie, to wychylę się za krawędź tego kamienia. Obmacałem go wzdłuż i chyba sięga trochę dalej.

– Idę pierwszy – oświadczyłem. – W końcu to moja wyprawa.

– Tak, i co za świetna okazja, bym sobie potrenował podnoszenie ciężarów, jeśli spadniesz, ty słoni. No, trzymaj.

W ostatniej chwili zdołałem uchwycić go za kostki. Cała górna połowa ciała Jima znikła mi z oczu. Zsuwał się po pochyłej skale, wykręcając się ostrożnie to w jedną, to w drugą stronę, aż moje trzymające go ręce zanurzyły się po ramiona. Znieruchomiał... i nagle z tajemniczej otchłani dobiegł mnie jego gromki, histeryczny śmiech.

Poczułem, że próbuje się wywinąć z mojego chwytu. Ciągnąłem go, mimo że walczył o każdy cal, byle się utrzymać poza kamieniem. Wynurzył się w końcu, zanosząc się cały czas tym samym śmiechem szaleńca. Twarz mu poczerwieniała, oczy błyszczały jak u pijaka, właściwie w ogóle zachowywał się jak pijany. Z jego szybkiego oddechu domyśliłem się, co się stało.

– Oddychaj powoli – krzychałem mu prosto w ucho. – Powoli, rozumiesz?

Lecz nie przestawał się śmiać, nie słabł też w wysiłku, by się wyswobodzić. Wtedy jedną ręką przytrzymałem go głową w dół, a drugą zatkałem nos i usta. Po chwili się uspokoił. Puściłem go. Usiadł prosto, ale jeszcze niezbyt pewnie.

– Coś komicznego – odezwał się chrapliwie. – Widziałem prześmieszne buźki... – Potrząsnął głową, odetchnął głęboko raz i drugi, po czym położył się na wznak. – Leifie... Co się, u diabła, ze mną działo?

– Szok tlenowy, Indianinie. Miła, tania rozrywka dla kogoś, kto się nawdycha powietrza nasyconego dwutlenkiem węgla. To tłumaczy wiele rzeczy związanych z tym miejscem. Wynurzyłeś się oddychając trzy razy na sekundę, właśnie pod wpływem dwutlenku węgla, który działa na ośrodki oddechowe mózgu i przyspiesza oddech. Wdychasz więcej tlenu, niż potrafisz zużyć, i „upijasz się” nim. A co widziałeś, zanim świat wydał ci się taki śmieszny?

– Ciebie. I niebo. To było tak, jakbym patrzył w górę z wody. Patrzyłem też w dół i rozglądałem się dookoła.

Trochę poniżej mnie rozciągało się coś jak dywan z bladozielonego oparu. Nic się przez niego nie dało zobaczyć. Było mi przyjemnie i bardzo ciepło, pachniało drzewami i kwiatami. To wszystko, co zdołałem spostrzec, zanim mnie wzięło. Och, tak, ta skała leci prosto w dół. Może damy radę dotrzeć do dna, chyba że się przedtem zarechoczemy na śmierć. Teraz się zanurzę w tym całym mirażu po szyję... Mój Boże, ależ jestem skostniały!

Przyjrzałem mu się z troską. Miał sine wargi i zęby mu szczękały. Oto skutki – bardzo niebezpieczne – gwałtownych zmian temperatury, od przyjemnego ciepła – do lodowatego zimna.

– No dobra – powiedziałem wstając. – Idę pierwszy. Oddychaj wolno, bierz długie, głębokie wdechy, tak wolno, jak tylko potrafisz. I wydychaj tak samo powoli. Niedługo nabierzesz wprawy. No, to jazda!

Zarzuciłem sobie nasz jedyny już toból na plecy i zsunąłem się tyłem po pochyłości głazu. Kiedy poczułem pod nogami stały grunt, pogrążyłem się w mirażu.

Było mi bardzo ciepło, prawie jak w tureckiej łaźni parowej. Spojrzałem w górę i zobaczyłem niebo jak błękitny, zamglony na brzegach okrąg. Potem dostrzegłem opadające koło mnie nogi Jima i jego ciało wygięte do tyłu pod zgoła nieprawdopodobnym kątem. Właściwie widziałem go z pozycji, z jakiej ryba musi patrzeć na brodzącego w wodzie wędkarza. Kiedy Jim kucnął koło mnie, jego tułów wydłużył się jak wysunięty teleskop.

– Jejku, ale fajnie!

– Nie gadaj – upomniałem go. – Siedź tu i ćwicz te powolne oddechy. Patrz na mnie.

Siedzieliśmy tam w milczeniu dobre pół godziny. Ani jeden dźwięk nie przerwał panującej wokoło ciszy. Pachniało jak w dżungli – bujną, żywiołowo rozwijającą się roślinnością, która szybko zaczynała gnić. Czuliśmy też i inne, nieuchwytnie jakieś, nieznanne zapachy. Wszystko, co byłem w stanie zobaczyć, to ten krąg błękitu nade mną i bladozielony opar, o którym mówił Jim, jakieś sto stóp pode mną. Przypominał dywan z chmury, przez który nie sposób się przebić wzrokiem. W nim niknęła nasza skała. Czulem się zupełnie nieźle, ale obaj ociekaliśmy potem. Obserwowałem z zadowoleniem, jak Jim spokojnie i głęboko oddycha.

– Wszystko gra? – spytałem w końcu.

– Raczej tak. Czasem muszę przyhamować. Ale daję sobie radę.



– W porządku. Zaraz się stąd zmywamy. Sądzę, że nie zaszkodziłoby pójść w dół.

– Mądrała z ciebie. Co właściwie myślisz o tym miejscu?

– To dość proste. Aczkolwiek taka kombinacja nie ma szansy się powtórzyć. Nawet jednej na milion. Oto rozległa, głęboka dolina, ciasno otoczona stromymi górami. Właściwie niecka. Na okolicznych skałach zalegają lodowce i ich odnogi, tak że nawet latem nad niecką wisi chłodna masa powietrza. Prawdopodobnie dno doliny znajduje się na terenie aktywnym wulkanicznie, mogą tam być gorące źródła i inne takie. Może to być miniatura Doliny Dziesięciu Tysięcy Dymów, która leży gdzieś na zachodzie. Wszystko to sprawia, że wytwarza się nadmiar dwutlenku węgla. Do tego przypuszczalnie dochodzi bujna wegetacja. Słowem mamy chyba do czynienia z pozostałością po karbonie, liczącą sobie około dziesięciu milionów lat. Ciepłe, gęste powietrze wypełniło nieckę aż do granicy warstwy chłodnej, z której się właśnie wydostaliśmy. W miejscu zetknięcia tych dwóch warstw powstał nasz miraż, z tych samych powodów, co każdy inny. Jak długo trwa – Bóg jeden wie. Na Alasce są tereny, które w ogóle nie zaznały ery lodowcowej.

– Z takich czy innych powodów lodowiec tam nie sięgnął.

– Kiedy miejsce zwane dziś Nowym Jorkiem pokrywała tysiącstopowa warstwa lodu, równiny Yukonu były oazami, na których kwitło życie zarówno roślinne, jak zwierzęce. Jeżeli ta dolina wtedy istniała, powinniśmy tu znaleźć trochę osobliwości. Jeśli natomiast powstała stosunkowo niedawno, natrafimy pewnie na parę interesujących skutków adaptacji. To chyba wszystko... no i jeszcze musi tu być jakieś ujście, mniej więcej na tym poziomie, bo inaczej ciepłe powietrze wypełniłoby całą dolinę aż do wierzchołków gór, tak, jak gaz wypełnia zbiornik. Lepiej już chodźmy.

– Zaczynam mieć nadzieję, że znajdziemy strzelby – rzekł Jim w zamyśleniu.

– Przecież uznałeś, że nie pomogą nam na Kalk'ru, jeśli takie coś w ogóle gdzieś istnieje – odparłem. – Natomiast mogą się przydać na ten jego diabelski orszak... Rozejrzyj się za nimi. To znaczy za strzelbami.

Ruszyliśmy w dół po piargu. Droga była niezbyt ciężka. Dotarliśmy do oparu, lecz nie widzieliśmy nigdzie ani strzelb, ani tobołu. Sam opar wyglądał jak gęsta mgła i kiedy znaleźliśmy się wewnątrz, okazało się, że jest nią naprawdę. Zamknęła się nad nami, gęsta i ciepła. Skały zrobiły się mokre i śliskie, trzeba było uważać na każdy krok. Dwa razy myślałem, że już po nas. Nie potrafiłbym określić grubości warstwy tej mgły – może dwieście, może trzysta stóp. Jej gęstość była wynikiem osobliwych warunków atmosferycznych, wskutek których powstał miraż. Opar zaczynał rzednąć. Zachował wprawdzie swój dziwny, zielony odcień, ale przyszło mi do głowy, że ta barwa powstała z odbicia tego, co znajduje się poniżej

niego. Nagle zupełnie się skończył. Wyszliśmy na miejsce, gdzie skalna lawina, napotkawszy widać jakąś przeszkodę, usypała wał ze trzy razy wyższy ode mnie. Wdrapaliśmy się tam.

Pod mirażem rozciągała się dolina. Leżała dobry tysiąc stóp pod nami. Wypełniało ją światło o zabarwieniu zbliżonym do głębokiej zieleni leśnej polany. Światło to, choć wydawało się przezroczyste tam, gdzie się znajdowaliśmy, okrywało odleglejsze miejsca mglistą, bladoszmaragdową zasłoną. W kierunku północnym i wszędzie, jak okiem sięgnąć, wtapiał się w nią niezmierny dywan lasu. Czułem na sobie pulsujący oddech, nasycony silną wonią dżungli i jeszcze innymi, nieznanymi zapachami. Zarówno po lewej, jak po prawej stronie do samej linii lasu schodziły strome urwiska. – Słuchaj! – Jim chwycił mnie za ramię.

Z początku słabutki stukot... potem coraz głośniejszy... Bębny! Gdzieś z oddali dobiegało nas bicie w bębny, dziesiątki bębnow dudniących dziwnym staccato, przenikliwym, prowokującym, szyderczym! Ale nie były to bębny Kalk'ru. Nie słyszało się w nich tego przerażającego tupotu udręczonych stóp tratujących jałową ziemię.

Umilkły. Jakby w odpowiedzi, z zupełnie innego kierunku, rozległy się dźwięki trąb, groźne, podobne do wojennych. Jeśli spiżowe tony potrafią przeklinać – to te przeklinały.

I znów zagrzmiały bębny, tak samo szydercze, urągliwe, wyzywające.

– To małe bębny – szepnął Jim. – To bę... W tym momencie spadł ze skały. Ja też. Wał ciągnął się na wschód i stale schodził w dół. Szliśmy u jego podstawy. Stanowił zaporę między nami a doliną, zasłaniał nam widok. Nie słyszeliśmy już bębnow. Pokonaliśmy co najmniej pięćset stóp, nim wał się skończył. Dalej był kolejny ześlizg skalny, podobny do tego, z którego spadły strzelby i toból.

Stanęliśmy, by mu się przyjrzeć. Opadał pod kątem czterdziestu pięciu stopni i mimo że nie był aż tak gładki jak tamten, dostrzegłem tylko kilka miejsc nadających się do oparcia stopy.

Robiło się coraz cieplej, chociaż nie męcząco upalnie. Wokół jakoś dziwnie pulsowało życie, czuło się wyziewy gęstego lasu albo samej doliny, jak wtedy myślałem. Zrodziło to we mnie uczucie rozpierającej, szaleńczej energii, uderzającego do głowy uniesienia. Toból zaczynał mi ciążyć. Jeśli mieliśmy się zmierzyć z ześlizgiem, a właściwie nie pozostawało nam nic innego, wolałem nic nie taszczyć. Odpiąłem rzemień.

– List polecający! – krzyknąłem spychając plecak w dół.

– Oddychaj powoli i głęboko, baranie roześmiał się Jim.

Oczy mu błyszczały. Wyglądał na zadowolonego, jak ktoś, kto wyzbył się wreszcie strachu i wątpliwości. Właściwie sprawiał wrażenie, że czuje się tak jak ja całkiem niedawno, kiedy zdecydowałem się przyjąć wyzwanie tego czegoś nieznanego. Byłem tym zdziwiony.

Toból zsunął się ze zbocza, podskoczył na jakiejś przeszkodzie i zniknął nam z oczu.

Najwyraźniej ześlizg nie sięgał dna doliny, chyba że w tym miejscu kąt nachylenia zmieniał się na ostrzejszy.

Przewróciłem się ostrożnie na brzuch i zacząłem się zsuwać. Jim za mną. Przebrnęliśmy jakieś trzy czwarte drogi, gdy usłyszałem jego krzyk. Spadł prosto na mnie. Złapałem go jedną ręką, ale straciłem przez to i tak niepewne oparcie. Stoczyliśmy się obaj ze zbocza i poleciliśmy w dół. Poczulem gwałtowny wstrząs i straciłem przytomność.

## Rozdział VII

### MALI LUDZIE

Kiedy przyszedłem do siebie, Jim robił mi właśnie sztuczne oddychanie. Leżałem na czymś miękkim. Poruszyłem niepewnie nogami i usiadłem, rozglądając się wokół. Znajdowaliśmy się na kopie z mchu, a raczej w środku tej kopy, gdyż mchy sięgały dobrą stopę ponad moją głowę. Cóż to za niezwykły, przerośnięty mech, myślałem, gapiąc się na niego jak głupi. Nigdy dotąd nie widziałem, by mech osiągał taką wysokość. A może to ja się skurczyłem? Nade mną wznosiło się ze sto stóp pionowej skały. -

- No to jesteśmy – odezwał się Jim.

- Skądżeśmy się tu wzięli?

- Spadliśmy stamtąd. Zarwał się występ. Pod tobą, ja byłem wyżej. Wyrzuciło nas razem prosto na ten sympatyczny materac z mchu. I znów znalazłem się na wierzchu. Tylko dlatego już od pięciu minut robię ci sztuczne oddychanie. Przykro mi, Leifie, ale gdyby nie to, musiałbyś dalej wędrować sam. Nie jestem taki elastyczny.

Roześmiał się. Wstałem i znów rozejrzałem się dokoła. Olbrzymie mchy, na których wylądowaliśmy, uformowały kopiec oddzielający nas od lasu. U podnóża urwiska leżały zwalone kamienie. Prawdopodobnie kiedyś się z niego stoczyły. Na ich widok przeszył mnie dreszcz. Gdybyśmy na nie spadli, zostałyby z nas rąbanka. Obmacałem się dokładnie. Nic mi nie było.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy, Indianinie – powiedziałem sentencjonalnie.

- Boże, Leifie! A już się o ciebie martwiłem... – Nagle się odwrócił. – Spójrz na las.

Kopiec z mchu miał kształt owalu, był wielki i obrzeżony prawie do podnóża urwiska olbrzymimi drzewami, które przypominały nieco kalifornijskie sekwoje, a w każdym razie dorównywały im wysokością. Miały strzeliste korony i pnie potężne niczym kolumny wyciosane przez tytanów. Niżej rosły piękne paprocie, wysokie jak palmy, i dziwne drzewa iglaste o cienkich pniach, pokrytych żółtymi i czerwonymi łuskami. Z pni i gałęzi zwieszały się pnącza i baldachy kwiatów o najprzeróżniejszych kształtach i kolorach. Były tam orchidee przypominające latarnie i „kandelabry” z lilii. Drzewa te miały symetrycznie rozłożone gałęzie, a na ich końcach zamiast liści wyrastały lilie odwrócone kielichami do góry. Wyglądało to właśnie jak kandelabry. Kwiatowe dzwony kołysały się łagodnie, zawieszane na konarach, widzieliśmy też girlandy z drobnych gwiazdzistych kwiatuszków, białych, szkarłatnych i we wszystkich odcieniach błękitu mórz południowych. Wśród nich uwijały się pszczoły, połyskiwały wielkie ważki o zielonych i purpurowych, „lakierowanych” pancierzach. Po lesie przesuwały się tajemnicze cienie, rzucane jakby przez skrzydła unoszących się w powietrzu niewidzialnych strażników.

Nie był to las z okresu karbońskiego, a w każdym razie nie taki, jaki widziałem kiedyś, odtworzony przez naukowców. Był to czarodziejski las ze świata baśni. Były zeń wonie uderzające do głowy. I pomimo tej całej obcości nie wyczuwało się w nim nic złowieszczonego, odpychającego. Samo piękno!

– To las bogów – stwierdził Jim. – Wszystko może żyć w takim miejscu. Wszystko, co piękne...

Ach, Tsantawu, mój bracie, żeby to była prawda! Ale odpowiedziałem tylko:

– Cholernie trudno będzie się przez to przebić.

– Myślałem o tym – odparł. – Może najlepiej iść pod samym urwiskiem. Szybciej dostaniemy się na drugą stronę, jeśli nawet nadłożymy drogi. Wolisz w prawo czy w lewo?

Rzuciliśmy monetę. Wyszło, że w prawo. Zobaczyłem nie opodał toból i podszedłem, by go zabrać. Mech uginał się pode mną jak gigantyczny materac. Zastanawiałem się nad jego pochodzeniem. Prawdopodobnie kilka z tych ogromnych drzew zostało podciętych przez oberwaną skałę i mech żywił się ich próchnem. Zrzuciłem toból na ramiona i ruszyliśmy w stronę ściany skalnej, brodząc po pas w gąbczastym poroście.

Szliśmy u podnóża skały około mili. Czasem las napierał na nas tak mocno, że brnęliśmy z trudem, przyciskając się do ściany. I nagle coś zaczęło się zmieniać. Olbrzymie drzewa zostały za nami. Wkroczyliśmy w las potężnych paproci. Oprócz rozbuchanej roślinności jedyny ślad życia stanowiły pszczoły i błyszczące ważki. Po przejściu przez paprocie znaleźliśmy się na osobliwej małej polance, która wyglądała jak utworzona sztucznie. Ze wszystkich stron otaczały ją paprocie. Z jednego końca las tworzył rodzaj palisady, na drugim czerniała lita skała, połyskująca tu i ówdzie białymi kielichami kwiatów. Zwieszały się one z pnączy zakorzenionych prawdopodobnie w rozpadlinach.

Na polance nie było ani drzew, ani paproci, ani w ogóle żadnych roślin poza dywanem jedwabistej trawy. Drobne błękitne kwiatuszki wieńczyły czubki poszczególnych źdźbeł. Od podnóża góry wznosił się wysoko cienki welon pary, nawadniającej białe kielichy.

Gorące źródło, pomyśleliśmy. Podeszliśmy bliżej, by mu się przyjrzeć,

Wtem usłyszeliśmy jęk... jęk bólu i rozpacz. Coś jakby lament nieszczęśliwego, torturowanego dziecka. A jednak nie był to odgłos całkowicie ludzki ani też zdecydowanie zwierzęcy. Wydobywał się z urwiska osłoniętego mgłą pary. Zatrzymaliśmy się na moment, nasłuchując. Jęczenie rozległo się znowu i nie milkło, poruszając w nas najgłębsze pokłady litości. Ruszyliśmy biegiem. Okrążyliśmy gęstą wodną kurtynę pod skałą i dotarliśmy do niej od drugiego końca.

Zobaczyliśmy długą, wąską sadzawkę, podobną do zamkniętego strumyka. Bulgotała w niej czarna woda. Właśnie z tworzących się na jej powierzchni baniek wydobywała się para. Od jednego do drugiego końca sadzawki, wzdłuż ściany skalnej, biegł występ szerokości jarda.

Ponad nim w skale wykute były nisze, małe jak kołyski, rozmieszczone w regularnych odstępach.

W dwóch takich niszach, na pół w środku, na pół na zewnątrz, leżało na plecach dwoje – na pierwszy rzut oka – dzieci. Ich drobne rączki przymocowane były do podłoża klamrami z brązu. Z obu stron zupełnie nagich ciał spływały długie włosy.

Teraz zauważyłem, że jednak nie były to dzieci, tylko osoby dorosłe: mały mężczyzna i mała kobieta. Kobieta wykręcała głowę, nie odrywając wzroku od drugiego karzełka. To ona jęczała. Jej oczy utkwione w towarzyszu nie widziały nas. On zaś leżał sztywno, z zamkniętymi powiekami. Na piersi, w okolicy serca ziała ciemna, jakby wyżarta przez kwas rana.

Nagle na skale, tuż za nim, coś się poruszyło. Był tam jeden z tych białych, kielichowatych kwiatów. Czyżby to on? Zwieszał się dość nisko nad klatką piersiową małego człowieczka. Ze szkarłatnych pręcików sączyła się kropla czegoś, co wziąłem za nektar.

Rzeczywiście, to poruszenie się kwiatu przyciągnęło mój wzrok. Czerwonawe pnącze zdrząło. Powolnym ruchem wijącej się glisty przesunęło się po skale odrobinę w dół. Kielich kwiatu drgnął jak rozwarte usta, które próbują strząsnąć niepotrzebną kroplę. Zwisał tuż nad czarną plamą na piersi karzełka.

Popędziłem tam wąską ścieżką. Chwyciłem pnącze i oderwałem je od ściany. Owinęło mi się wokół ręki. Korzenie przywarły do moich palców, kwiat podniósł się jak głowa węża szykującego się do ataku. Płatki miały gruby, mięsisty brzeg niczym rozwarte białe wargi. Kropla nektaru spadła mi na dłoń. Poczulem dotkliwy ból przesuwający się wzdłuż ręki w kierunku ramienia. Wrzuciłem paskudztwo do sadzawki.

Tuż nad małą kobietą zwieszało się inne pelzające pnącze. Oberwałem je tak jak tamto. Ono też usiłowało mnie zaatakować koroną kwiatu, lecz albo mnie nie trafiło, albo po prostu nie miało już nektaru. Wyrzuciłem je w ślad za poprzednim.

Pochyliłem się nad małym mężczyzną. Przyglądał mi się skośnymi oczmi, żółtymi jak jego skóra. Zdawało mi się, że nie miały źrenic, zresztą w ogóle nie wyglądały na całkowicie ludzkie. Wyzierał z nich ból i gorzka nienawiść. Mężczyzna przesunął wzrok na moje włosy – i zdumienie wzięło górę nad nienawiścią.

Piekący ból ręki stawał się nie do zniesienia. Dlatego rozumiałem cierpienia karzełka. Zerwałem klamry, podniosłem go i przekazałem Jimowi. Nie ważył więcej niż dziecko. Następnie uwolniłem kobietę. W jej oczach nie było nienawiści, tylko zaskoczenie i niewątpliwa wdzięczność. Posadziłem ją obok mężczyzny.

Obejrzałem się na ścianę skalną. Wszystko się tam ruszało. Czerwonawe łodygi pnączy skręcały się i wiły, białe kwiaty falowały, to wznosząc, to znów opuszczając swe kielichy. W sumie widok był dość obrzydliwy.

Mały człowieczek leżał spokojnie, wodząc żółtymi oczami ode mnie do Jima. Kobieta

mówiła coś, wyrzucając z siebie rozwibrowane, ćwierkające sylaby. Wreszcie rzuciła się do ucieczki. Przebiegła polankę i znikła w lesie.

Jim patrzył za nią jak urzeczony. Usłyszałem jego szept: – Yunwi Tsundsi’! Mali ludzie! A więc to prawda... Wszystko prawda!

Z gąszczu paproci wybiegła mała kobieta. Trzymała ogromne naręcze grubych, mocno pożyłkowanych liści. Posłała mi szybkie, przepraszające spojrzenie. Pochyliła się nad swoim mężczyzną i ścisnęła garść liści nad jego piersią. Spomiędzy jej palców trysnął mleczny sok i spływał na czarną ranę. Wkrótce pokrył cieniutką warstewką całe chore miejsce. Mężczyzna zeszytywniał, jęknął, po czym się uspokoił i umilkł.

Mała kobieta ujęła teraz moją rękę. Tam, gdzie spadły krople nektaru, skóra szerniała. Wycisnęła na te miejsca trochę soku. Przeszył mnie straszliwy ból, przy którym wszystko, co czułem poprzednio, było niczym. I nagle ustąpił.

Spojrzałem na małego człowieczka. Czarna plama na jego piersi znikła. Miał tylko zwykłą ranę, jakby wyżartą kwasem, o normalnym czerwonym zabarwieniu. Przeniosłem wzrok na swoją rękę. Oparzenia pozostały, ale nie były już czarne.

Mała kobieta skłoniła się przede mną. Mężczyzna wstał, spojrzał mi w oczy, po czym starał się ogarnąć wzrokiem ogrom mojej postaci. Zauważyłem, że narasta w nim podejrzliwość i znów ta sama zapiekła nienawiść. Powiedział coś do kobiety. Odpowiadała mu długo, wskazując na skałę, na moją chorą rękę, wreszcie na kostki i przeguby, własne i jego. Mężczyzna skinął na mnie, prosząc gestem, bym przykucnął. Kiedy to zrobiłem, dotknął moich włosów i zaczął przeczesywać je palcami. Przyłożył mi rękę do serca, a potem przysunął ucho słuchając jego bicia.

Trzasnął mnie małą rączką w usta. Wiedziałem jednak, że to nie atak, tylko pieśczoła.

Potem uśmiechnął się do mnie i coś zaćwierkał. Potrząsnąłem bezradnie głową, więc spojrzał na Jima i wyszczebiotał następne pytanie. Jim spróbował odpowiedzieć po czirokezku. Tym razem mały mężczyzna pokręcił głową i przemówił do kobiety. Wśród tych ptasich dźwięków uchwyciłem wyraźne słowo: e-va-li. Skinęła potakująco. Zachęciwszy nas gestem, byśmy udali się za nimi, poprowadzili nas przez polankę w paprociowy zagajnik. Jakże byli mali! Sięgali mi zaledwie do uda. Budowę jednak mieli proporcjonalną, a ich długie, kasztanowate, jedwabiste lśniące włosy rozwiewały się za nimi niczym płaszcz z pajęczych nitek.

Biegli chyżo jak sarenki. Ledwieśmy za nimi nadażali. Kiedy znaleźliśmy się wśród paproci, zwolnili, ale nie ustawali w marszu. Nie zauważyłem żadnej ścieżki, oni jednak wyraźnie znali drogę.

Wreszcie paprocie się skończyły. Mieliśmy przed sobą rozległą łąkę, usianą drobnymi kwiatuskami, ciągnącą się błękitnym dywanem aż do brzegu szerokiej rzeki. Na osobliwej,

mlecznobiałej powierzchni wody kłębiła się opalizująca mgła. Między jej skupiskami zdołałem dostrzec zieloną równinę na drugim brzegu i również zazielenione skarpy.

Mały mężczyzna przystanął. Przyłożył ucho do ziemi, po czym odskoczył w zarośla, kiwając, byśmy szli za nim. Po paru minutach dotarliśmy do na pół zrujnowanej kamiennej wieży obserwacyjnej. Karzełki weszły do środka, zachęcając nas do pójścia w ich ślady.

Po resztkach kamiennych stopni poprowadzili nas zwinnie na górę, do małego pomieszczenia. Przez szpary między kamieniami wpadało zielonkawe światło. Wyjrzałem przez jedną ze szczelin na błękitną od kwiatków łąkę i białą rzekę. Usłyszałem słaby tętent koni i cichy kobiecy śpiew, który wyraźnie się nasilał.

Jedna z kobiet jechała już przez łąkę na wielkiej karej kłaczy. Na szyi miała zarzucony jak kaptur łeb białego wilka, który okrywał jej ramiona i plecy. Na ten srebrzysty płaszcz opadały dwa płomienne, grube warkocze. Wysokie, krągłe piersi były nagie. Podtrzymywały je od spodu wilcze łapy, przylegające ciasno niczym przepaska. Spod niskiego czoła błyszczały szeroko rozstawione szafirowe oczy. Na mlecznobiałej twarzy wykwitał delikatny rumieniec. Pełne, purpurowe wargi obiecywały miłość, ale i okrucieństwo.

Jej rosła postać niemal dorównywała mi wzrostem. Przypominała walkirię. [postaci z teutońskiej mitologii, piękne dziewczęta stanowiące orszak przywódcy Ezyrów, Odyna. Dusze wybranych przez niego dzielnych rycerzy zabierały z pola walki i uwoziły do jego siedziby, Valhalli.] Niczym wysłanniczka Odyna wiozła przed sobą kogoś przerzuconego przez siodło. Lecz nie była to dusza poległego rycerza uwożona do Valhalli, tylko żywa dziewczyna. Dziewczyna o skrępowanych rzemieniach i przywiązanych do tułowia rękach, z opadającą bezradnie na piersi głową. Nie widziałem jej twarzy, zauważyłem tylko, że cerę miała tak samo jasną, a włosy rude jak jej prześladowczy ni.

Nad głową kobiety z wilczym łbem krążył śnieżnobiały sokół, wyraźnie trzymając się w pobliżu. Z tyłu jechało kilkadziesiąt kobiet, młodych, silnie umięśnionych, o zaróżowionych twarzach, niebieskich oczach i włosach we wszystkich odcieniach rudości – od miedzi do kasztana. Miały na sobie kaftany odsłaniające piersi i sznurowane do pół łydki sandały. W rękach trzymały długie, cienkie włócznie i małe okrągłe tarcze. Wszystkie przypominały walkirię, rycerskie córki Ezyrów. Jadąc śpiewały cicho, właściwie nuciły jakąś dziwnie brzmiącą pieśń.

Kobieta z wilczym łbem wraz ze swoją branką objechała polanę i znikła mi z oczu. Jej orszak podążył za nią.

Zalśniły jeszcze srebrem skrzydła białego sokoła to zataczającego kręgi, to znów pikującego w dół. Wreszcie i on zniknął.



## Rozdział VIII

### EVALIE

Złotoskóre karzełki zasyczały; z ich żółtych oczu wprost ziała nienawiść.

Mały mężczyzna dotknął mej ręki. Mówił coś do mnie pośpiesznie, rozwibrowanymi monosylabami, wskazując za białą rzekę. Wyraźnie chodziło mu o to, że trzeba się przez nią przeprawić. Nagle urwał i zamienił się w słuch. Mała kobieta zbiegła po zburzonych schodach. Mężczyzna świergotał coś gniewnie, popychając Jima i okładając jego nogi piąstkami, pewnie po to, by go ponaglić. Wreszcie dał za wygraną i popędził na dół.

– Spadaj, Indianinie – zawołałem niecierpliwie. – Widzisz, że zależy mu na pośpiechu.

Potrząsnął głową jak ktoś, kto próbuje wydostać się z oplatającej go pajęczej sieci snu.

Zbiegliśmy na dół, gdzie czekał na nas mały człowieczek, jeśli jego zachowanie można było nazwać czekaniem. Zataczał tanecznym krokiem małe kółka, wymachując rękami i zawodząc jakąś niesamowitą melodię złożoną z czterech nut. Powtarzał ją ciągle w różnych tonacjach. Kobieta znikła.

Zawył wilk. Odpowiedziały mu inne, gdzieś spoza ukwieconego lasu. Stado, którego przywódca zwietrzył zdobycz.

Mała kobieta wybiegła pędem z gęstwiny paproci. W obu rękach trzymała małe, ciemnofioletowe owoce przypominające winogrona. Mężczyzna przerwał swój taniec, wskazał ręką białą rzekę i razem z kobietą zagłębił się w paprocie. Podążyliśmy za nimi. Pokonawszy łąkę, stanęliśmy na brzegu rzeki.

Ponownie rozległo się wycie wilka i znów odpowiedziały mu inne. Były coraz bliżej.

Mężczyzna nagle wskoczył mi na plecy, nie przestając ćwierkać. Objął mnie nogami w pasie i próbował sięgnąć do koszuli. Kobieta mówiła coś do Jima wymachując gronami fioletowych owoców.

– Chcą, żebyśmy się rozebrali – rzekł Jim. – I to szybko.

Ściągnęliśmy ubrania. Znalazłem rozpadlinę, w którą wcisnąłem toból. Szybko zrolowaliśmy odzież wraz z butami i ścisnąwszy to wszystko paskami, zarzuciliśmy sobie na ramiona.

Kobieta podała swemu towarzyszowi garść owoców. Ruchem ręki nakłoniła Jima, by się pochylił. Zgniotła parę jagód nad jego głową, rękami, klatką piersiową, udami i stopami. Mężczyzna zrobił to samo nade mną. Owoce wydzielały dziwny, ostry zapach, od którego łzawiły oczy.

Wyprostowałem się i spojrzałem na rzekę. Z mlecznej powierzchni wychynał wąż. Po nim drugi. I jeszcze jeden. Miały głowy wielkie jak anakondy, pokryte szmaragdową łuską.

Jaskrawozielone pręgi na ich grzbietach połyskiwały w białej wodzie przy każdym ruchu. Zdecydowanie nie miałem ochoty na pływanie, aczkolwiek zrozumiałem w tym momencie cel naszego „pomazania”. Najwyraźniej karzełki chciały nas w ten sposób ochronić przed węzami. Upewniłem się teraz, że dobrze wiedziały, co robią.

I znów to wilcze wycie. Zwierzęta musiały znajdować się obecnie znacznie bliżej, gdzieś tam, gdzie zniknęły amazonki.

Mały mężczyzna wszedł do wody, kiwając na mnie ręką. Usłuchałem. Zaraz potem rozległ się cichy plusk – to skoczyła kobieta – i po chwili znacznie głośniejszy – to Jim. Mężczyzna obejrzał się na mnie, skinął głową i pomknął naprzód jak ryba, z szybkością, którą trudno byłoby mi osiągnąć.

Węże nas nie napastowały. Raz poczułem dotyk łuski na udzie, a kiedy otarłem oczy z wody, zobaczyłem, że jeden z nich płynie koło mnie, starając się mi dorównać, jakby mnie ścigał.

Woda była ciepła, tak ciepła jak mleko, z którym mi się kojarzyła, i zadziwiająco sprężysta. Rzeka mogła mieć w tym miejscu z tysiąc stóp szerokości. Przepląnąłem już połowę dystansu, kiedy usłyszałem dziwny skrzek i poczułem uderzenie skrzydłem w głowę. Zrobiłem zwrot i machając rękami próbowałem odpędzić to coś, co mnie zaatakowało.

Był to biały sokół Wilczycy – jak nazwałem w myślach kobietę z wilczym łbem. Krążył nade mną, wznosił się i opadał, bijąc mnie raz po raz końcami skrzydeł.

Z brzegu usłyszałem wołanie. Silny jak dzwon kontralt wzywał mnie w staroujgurskim języku:

– Wracaj, Żółtowołosy! Wracaj!

Odwróciłem się szybko. Sokół dał mi spokój. Na brzegu zobaczyłem Wilczycę na karej klaczy. Nadal trzymała przed sobą skępowaną dziewczynę. Oczy błyszczały jej jak dwie szafirowe gwiazdy, wolną rękę wzniosła w górę i machała przynaglająco. Wokół niej, z nisko pochylonymi łbami, w których płonęły oczy tak czystą zielenią jak u niej szafirem, kłębiło się stado śnieżnobiałych wilków.

– Wracaj! – krzyczała.

Bardzo była piękna ta Wilczyca. Co mi szkodziło jej posłuchać? Ale nie... To przecież nie żadna wilczyca! Tylko kto? Nagle przeleciało mi przez głowę ujgurskie słowo, stare... takie, o którym sam nie wiedziałem, że je znam. Salur'da – Czarownica. Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem gniew, że mnie tak bezczelnie nawołuje. Jak śmiała mi rozkazywać, ona, Salur'da – mnie! Mnie, Dwayanu, który w dawnych, zapomnianych już czasach kazałby ją wysmagać biczami za taką zuchwałość!

Wynurzyłem się na całą wysokość.

– Milczeć, Salur'da! – ryknąłem. – Odkąd to Dwyanu musi znosić twoje wrzaski? Bacz lepiej, byś się stawiała, kiedy ja wezwę ciebie!

Wytrzeszczyła oczy. Silne ramię, którym przytrzymała branke, rozluźniło uścisk do tego stopnia, że dziewczyna niemal ześliznęła się z wysokiego siodła. Ruszyłem przez wodę na drugi brzeg.

Usłyszałem gwizd. Sokół zataczający kręgi nad moją głową odleciał. Z gardeł białych wilków wydobywało się warczenie. Potem rozległ się tętent kopyt po łące. Dotarłem do brzegu i wyszedłem z wody. Dopiero teraz się odwróciłem. Czarownica, sokół, białe wilki – wszystko znikło.

Moim śladem płynęły szmaragdowogłowe węże, wijąc się i nurkując na przemian.

Złotoskóre karzelki wygramoliły się na brzeg.

– Co jej powiedziałeś? – spytał Jim.

– Czarownica ma słuchać mnie, a nie ja jej – odparłem, zastanawiając się, skąd mi się wzięły takie słowa.

– Wciąż siedzi w tobie... Dwyanu, prawda? Co tym razem odkręciło kurek?

– Sam nie wiem. – Nadal czułem silną, choć niewytłumaczalną niechęć do tej kobiety. A ponieważ nie rozumiałem, skąd się to we mnie bierze, byłem dość zdenerwowany. – Kazała mi wracać... i nagle w moim mózgu wystrzeliła raca. Wtedy... wtedy wydało mi się, że znam tę Wilczycę na tyle, iż muszę potraktować rozkaz jak bezczelne zuchwalstwo z jej strony. Co też zrobiłem. Nie była zdziwiona bardziej niż ja. Całkiem jakby kto inny mówił moimi ustami. Tak jak wtedy... – zawahałem się – jak wtedy, gdy zacząłem ten cholerny obrzęd i nie potrafiłem go przerwać.

Pokiwał głową i zaczął się ubierać. Ja również. Rzeczy przesiąkły wodą na wylot. Karzelki obserwowały nas ze szczerym rozbawieniem. Zauważyłem, że żywe zaczerwienienie wokół rany na piersi mężczyzny zbladło, sama zaś rana nie była zbyt głęboka i zaczynała się zablizniać. Spojrzałem na własną rękę; też wyglądała o wiele lepiej, pozostała tylko pewna wrażliwość na dotyk.

Kiedy zasznurowaliśmy buty, karzelki puściły się biegiem w stronę pasma skal odległych o jakąś milę. Skrywało je częściowo zielonkawe światło, to samo, które zasłaniało nam całkowicie widok na północ, gdy pierwszy raz ujrzeliśmy dolinę. Połowę dystansu pokrywała równa łąka z błękitnymi kwiatuškami. Dalej zaczynały się paprocie, stopniowo coraz wyższe. Posuwaliśmy się ścieżką niewiele szerszą od tych, które wydeptują jelenie. Wiodła wprost do zagajnika.

Od wczesnego rana nie mieliśmy nic w ustach. Pomyślałem tęsknie o pozostawionym tobole. Potrafię jednak obchodzić się bez jedzenia, mimo że na ogół jadam dużo i łapczywie. Zacisnąłem więc pasa i obejrzałem się na idącego za mną Jima.

- Jesteś głodny? – spytałem.
- Nie. Za bardzo pochłania mnie myślenie.
- Indianinie... Dlaczego ta ruda ślicznota wróciła?
- To przez wilki. Nie słyszałeś, jak za nią wyły?
- Zwietrzyły nas i dały jej znak.

– Też tak sędzę. Ale to niewiarygodne! Niech ją diabli, prawdziwa czarownica!

– To nie dlatego. Zapomniałeś o Mowglim i jego szarych braciach? Wilki są łatwe w tresurze. Ale ona i tak jest czarownicą. Nie powstrzymuj Dwayanu, kiedy będziesz miał z nią do czynienia.

Bębunki znów się odezwały. Początkowo pojedynczo, potem stopniowo było ich coraz więcej i więcej, aż stało się jasne, że jest ich mnóstwo. Tym razem kadencje brzmiały wesoło, niemal w tanecznym rytmie, porywającym, żywym. Musiały być gdzieś blisko, ale paprocie wyrastające wysoko ponad nasze głowy całkowicie zasłaniały widok. Ścieżka wiła się między nimi jak meandry strumyka.

Karły przyśpieszyły kroku i nagle dróżka wyprowadziła nas na szerszą przestrzeń. Zatrzymaliśmy się. Przed nami rozpościerał się pagórkowaty teren ze wzniesieniami sięgającymi trzystu, czterystu stóp. Zbocza, z wyjątkiem przecinających je ścieżek, pokrywała od podnóża po szczyt płatanina mięsistych, zielonych pnączy, z których na całej długości sterczały długie kolce, żywe chevaux-de-frise. [(fr.) – rodzaj zapory w postaci belki z długimi drewnianymi kolecami] Z pewnością żadne stworzenie nie zdołałoby się przez nie przedrzeć. Na końcu szlaku widniała przysadzista, kamienna wieża. Przy niej błyszczwały ostrza dzid.

Wewnątrz wieży przenikliwy jazgot bębnowy nieomylnie zwiastował stan alarmu. Małe, wesołe bębunki umilkły, natomiast ten ogłuszający łomot trwał nieustannie, przez co odległość wydawała się mniejsza. Teraz zauważyłem, że to, co wzięłem za zbocze, było w gruncie rzeczy potężną, najeżoną grubymi kolecami fortyfikacją, sięgającą długim łukiem w kierunku nieprzerwanej pali sady z gigantycznych paproci i znikającej daleko na prawo, gdzieś przy czarnym urwisku skalnym.

Mały mężczyzna zaszczebotał coś do swej kobiety i ruszył dróżką w stronę wieży, skąd wyległy mu na spotkanie inne karły. Kobieta została z nami. Kiwała uspokajająco głową, od czasu do czasu z uśmiechem poklepując nas po kolanach.

Znowu na wieży odezwał się bęben, właściwie trio bębnowe. Sądziłem tak, ponieważ dawały się rozróżnić trzy nuty, łagodne, pieszczotliwe, lecz donośne. Bębny wyśpiewywały jedno słowo, imię... tak wyraźnie, jakby umiały mówić. Imię to zapamiętałem z ćwierkania karłów: „E-va-lie... E-va-lie... E-va-lie...” Ciągle i ciągle to samo. Bębny na innych wieżach milczały.

Karzeł kiwnął na nas ręką. Ruszyliśmy za nim, starając się unikać kolców. Dotarliśmy wreszcie do małej wieży, gdzie kończyła się ścieżka. Naprzeciw nas wyszła grupa małych ludzi, zagradzając nam drogę. Żaden nie był wyższy od mężczyzny, którego uratowaliśmy od białych kwiatów. Mieli jednakowy złotawy odcień skóry i żółte, półzwierzęce oczy. Im także, podobnie jak tamtym, długie, jedwabiste włosy sięgały niemal do pięt. Na biodrach nosili przepaski z materiału przypominającego bawełnę, w talii zaś szerokie pasy ze srebrnego filigranu o skomplikowanym wzorze. Ich dzidy, mimo kruchego wyglądu, były straszliwą bronią. Miały długie trzonki z czarnego drewna, zakończone grubymi na stopę czubkami z czerwonego metalu, najeżonymi na całej długości potężnymi kolcami. Z pleców wojowników zwisały czarne łuki z długimi strzałami, uzbrojonymi podobnie jak dzidy. Za srebrnymi pasami tkwiły wąskie, zakrzywione noże z czerwonego metalu, przypominające szabelki krasnoludków.

Stali i gapili się na nas jak dzieci. Teraz wiedziałem, co czuł Guliwer wśród liliputów. Jednocześnie było w ich postawie coś, co sprawiało, że nie miałem ochoty prowokować ich do użycia broni. Na Jima patrzyli z ciekawością, w której nie dostrzegałem śladu nieprzyjaznych uczuć, natomiast małe twarzyczki zwrócone do mnie stawały się coraz bardziej srogie i zawzięte. Tylko moje jasne włosy budziły w żółtych oczach zainteresowanie i lekką niepewność, ale mali ludzie ani na moment nie opuszczali ostrzy skierowanych na mnie dzid.

„E-va-lie... E-va-lie... E-va-lie...” – wyśpiewywały bębny. Z oddali odezwały się w odpowiedzi inne, po czym pierwsze umilkły.

Z drugiej strony wieży rozlegnie melodyjny, niski głos, w którego ptasim trylowaniu brzmiały sylaby z języka karzełek.

I wtedy ujrzałem Evalie.

Czy widzieliście kiedy gałązkę wierzbową pochylającą się wiosną nad przejrzystym, leśnym jeziorkiem? Albo smukłą brzoźkę roztańczoną na wietrze w sekretnym uroczysku? Albo pomykające przez gęstwinę lasu zielone cienie driad, niepewnych, czy mają się ukazać? To wszystko nasunęło mi się na myśl, kiedy zobaczyłem idącą dziewczynę.

Była wysoką panną o lśniących, granatowoczarnych włosach, upiętych nad czołem w koronę. Spod długich rzęs patrzyły oczy brązowe jak górski strumyk jesienią. Twarz miała małą, o rysach na pewno ani nie klasycznych, ani w ogóle zbyt regularnych. Nad prostym nosem brwi niemal zrastały się w jedną poziomą kreskę. Usta miała duże, lecz pięknie wykrojone i zmysłowe. Jej skóra... to był czysty bursztyn. Najpiękniejszy, wypolerowany do połysku bursztyn, wylaniający się spod sięgającej kolan, luźnej, lecz ukazującej kształty szaty, srebrzystej, cienkiej jak pajęczyna. Wokół bioder dziewczyna nosiła białą przepaskę, taką jak mali ludzie. W przeciwieństwie do nich, na nogach miała sandały.

Tym jednak, co sprawiało, że na jej widok dech zapierało w piersiach – była gracja.

Wysmukła, opływowa linia ciała od kostek nóg aż po ramiona, delikatne i ruchliwe jak fale muskające gładką pierś skały, płynne, powabne kontury zmieniające się przy każdym poruszeniu...

Tak, to właśnie to... i jeszcze ta żywość rozpalająca ją jak zielony płomień w dziewiczym lesie, kiedy pocałunki wiosny ustępują śmielszym pieszczotom lata. Teraz zrozumiałem, czemu starożytni Grecy wierzyli w driady, rusalki, nereidy... w kobiece dusze drzew, strumieni, kaskad i źródeł...

Nie potrafiłbym określić, ile miała lat. Było w niej pogańskie piękno, które nie zna wieku...

Obserwowała mnie, moją odzież i buty z wyraźnym niepokojem. Zerknąwszy przelotnie na Jima, skinęła tylko głową, jakby chciała powiedzieć, że nie widzi w nim nic podejrzanego, po czym znowu utkwiała wzrok we mnie. Mali wojownicy otaczali ją pierścieniem, z dzidami w pogotowiu.

Znajoma para karzełków wystąpiła do przodu. Mówili coś szybko, jedno przez drugie, pokazując na jego pierś i moją rękę, a także na moje jasne włosy. Dziewczyna roześmiała się. Przyciągnęła kobietę do siebie i zakryła jej usta ręką. Mężczyzna dalej szczebiotał po swojemu.

Ilekróć Evalie odpowiadała, Jim słuchał jej w dziwnym napięciu. Wreszcie złapał mnie za ramię.

– Mówią po czirokezku! Albo jakoś podobnie... Słuchaj... Padło takie słowo... brzmiało jak Yun'wini'gisld... To znaczy „pożeracze ludzi”, dosłownie: „one zjadają ludzi” i patrz! Pokazuje, jak pnące pełzło w dół po skale...

Teraz odezwała się dziewczyna. Nasłuchiwałem uważnie. Szybkość wypowiedzi zniekształcanej trylowaniem utrudniała zrozumienie, ale wyłapałem parę znajomych dźwięków... i wreszcie usłyszałem coś, co na pewno znałem.

– To jakaś odmiana mongolskiego. Uchwyciłem słowo, które w dwunastu różnych dialektach znaczy „wąż-woda”.

– Wiem, powiedziała na węża aha'nada. Czirokezi mówią inadu... ale to po indiańsku, nie po mongolsku. – Może być w obu tych językach. Indiańskie dialekty przypominają mongolski, nawet sędzę, że mongolski się z nich wywodzi. Gdyby tylko dało się jej wytłumaczyć, by mówiła wolniej i stonowała trochę te tryle...

– To całkiem możliwe. Czirokezi nazywają siebie „najstarszymi ludźmi”, a swój język „pierwszą mową”.

Zaraz...

Wysunął się naprzód z podniesioną ręką. Wymówił słowo, które po czirokezku znaczy „przyjaciół” albo w ogóle „ten, który przybywa w dobrych zamiarach”. Powtórzył je kilka razy. W oczach dziewczyny pojawił się błysk zdziwienia... i zrozumienia. Powtórzyła wyraz tak, jak

on wymawiał, a potem przekazała je małym ludziom. Teraz usłyszałem słowo wyraźnie, bez tryłów i ćwierkania. Karły podeszły bliżej, wpatrując się w Jima.

Powiedział wolno:

– Przybywamy z zewnątrz. Nic o tym miejscu nie wiemy. Nikogo tu nie znamy.

Musiał powtórzyć to kilka razy, nim wreszcie zrozumiała. Spojrzała na niego z powagą, na mnie zaś z powątpiewaniem, lecz widać było, że ma wielką chęć uwierzyć. Wreszcie przemówiła wolno i dobitnie:

– Tri – wskazała na małego mężczyznę – powiada, że on w wodzie mówił językiem złych.

– On zna wiele języków – odparł Jim, po czym zwrócił się do mnie: – Mów do niej. Nie gap się jak cielę na malowane wrota. Ta dziewczyna ma rozum, a my jesteśmy w opałach. Krasnale nie nabiorą się na piękne oczy, czekają, co zrobisz.

– Evalie, czy to takie podejrzane, że znam tamten język, skoro teraz mówię twoim? – spytałem i powtórzyłem to pytanie w dwóch najstarszych mongolskich dialektach, jakie znałem.

Spojrzała na mnie z namysłem.

– Nie – odparła w końcu. – Nie, bo ja też znam trochę tamten język, a jednak nie jestem zła.

I nagle się uśmiechnęła, po czym wydała rozkaz swej gwardii. Opuścili dzidy, przyglądając mi się z życzliwym zainteresowaniem, takim samym, jakie okazywali Jimowi. Bębny ze środka wieży zanosły się radosnym staccato. I jakby na dany sygnał, te inne, niewidoczne, które przedtem tak ogłuszająco biły na alarm, podjęły ten sam melodyjny rytm.

Dziewczyna kiwnęła na nas ręką. Poszliśmy za nią. W drodze od osłony z cierni do wieży otaczał nas kordon małych wojowników.

W ten sposób przekroczyliśmy progi Kraju Małych Ludzi. I Evalie.

## **KSIĘGA EVALIE**



## **Rozdział IX**

### **MIESZKAŃCY MIRAŻU**

Zielone światło wypełniające Krainę Cienia przygasło jak las o zmierzchu. Słońce musiało już dawno zejść za szczyty otaczające tę iluzoryczną ziemię, która dla Krainy Cienia była niebem. Ciemność zapadała tu powoli, jakby nie zależała całkowicie od słońca, jakby istniało tu jakieś inne źródło światła.

Siedzieliśmy koło namiotu Evalie. Stał on na pagórku, niedaleko wejścia do jej jaskini. Na całej długości podnóża skały ciągnął się rząd niewielkich nisz – norek małych ludzi, z wejściami, przez które nikt większy od liliputa nie mógłby wpełznąć do środka. Domy, pracownie, warsztaty, magazyny, spichlerze – wszystko to było niedostępnymi fortecami.

Minęły godziny od czasu, gdy szliśmy za Evalie przez równinę odgradzącą wieżę strażniczą od namiotu. Wówczas roilo się wokół nas od złotoskórych karzełek, ciekawych jak dzieci, rozgadanych, wypytujących Evalie o wszystko świergotliwymi głosikami. Ci, którzy słyszeli jej odpowiedzi, przekazywali je innym, znajdującym się w dalszej odległości. Teraz też stali wokół, otaczając ciasno pagórek. Dziesiątki małych mężczyzn i kobiet gapiło się na nas żółtymi oczami, szczebiocząc coś między sobą wśród chichotów. Kobiety trzymały w ramionach niemowlęta jak malutkie laleczki, starsze dzieci przyciskały się do kolan matek.

I podobnie jak to bywa z dziećmi, po zaspokojeniu ciekawości odchodzili do swoich zajęć i zabaw, ustępując miejsca innym.

Obserwowałem ich tańce na gładkiej murawie. Obracali się rytmicznie do taktu wystukiwanego przez bębny. Na równinie było więcej takich okrągłych, foremnych pagórków jak ten, na którym siedzieliśmy. Na wszystkich tańczyły przy swoich bębenkach złotoskóre karzełki.

Przyniesiono nam parę bocheneczków chleba, słodkawe, ale smaczne mleko i ser, jakieś nieznanne, pyszne owoce i melony. Wstydzilem się okazałej liczby opróżnionych naczyń. Mali ludzie patrzyli z boku, śmiejąc się i ponaglając kobiety, by przynosiły jeszcze więcej.

– To jedzenie Yunwi Tsundsi – rzekł ze śmiechem Jim. – Uważaj, Leifie, jest zaczarowane. Już nigdy nie weźmiesz do ust pożywienia śmiertelnych.

Patrzyłem na Evalie, piękną pannę o bursztynowej skórze. O tak, nie trudno było uwierzyć, że wykarmiono ją czymś lepszym niż pożywienie śmiertelników.

Po raz setny chyba przyglądałem się równinie. Zbocze, na którym wznosiła się przysadzista wieża, miało kształt ogromnego półkola, przylegającego do czarnego urwiska. Musiało zajmować powierzchnię jakichś dwudziestu mil kwadratowych. Za kolczastymi pnączami znajdowały się zagajniki paproci, a jeszcze dalej, po drugiej stronie rzeki majaczyły wielkie drzewa. Trudno powiedzieć, czy na naszym brzegu były jakieś lasy. Albo też żywe stworzenia.

Musiało jednak być coś, czego mali ludzie się obawiali, bo inaczej po co te wszystkie fortyfikacje i inne środki obrony? Jeśli nawet miałem rację, to i tak cała ta pilnie strzeżona kraina liliputów była małym rajem, z uprawnymi polami, sadami, winnicami, jagodami i zielenią łąk.

Przemyślałem sobie wszystko, co Evalie opowiedziała nam o sobie, powoli i starannie dostosowując świergotliwe głoski języka małych ludzi do takich, które mogliśmy zrozumieć. Język był zdecydowanie archaiczny, jego korzenie sięgały tak zamierzchłych czasów jak żadnego ze znanych mi języków, mógł to być nawet staroujgurski w czystej postaci. Z minuty na minutę przyswajałem go sobie z coraz większą łatwością, nie tak szybko jednak jak Jim. Udało mu się nawet, ku zachwytowi karzełków, wydać z siebie kilka „tryli”. Oni rozumieli go jeszcze lepiej. Natomiast nam obu o wiele łatwiej przychodziło zrozumienie Evalie niż jej nas.

Skąd mali ludzie przybyli do Krainy Cienia? Gdzie nauczyli się archaicznego języka? Doszedłem do wniosku, że równie dobrze mógłbym zapytać, dlaczego Sumerowie, którzy zamieszkiwali wielkie chaldejskie miasto, zwane przez Biblię Ur, mówili po mongolsku. Ci znani mistrzowie magii, badacze gwiazd też należeli do karłowatej rasy. I nikt nie wie, skąd się wzięli w Mezopotamii wraz ze swą nauką w pełnym rozkwicie. Nie wiadomo, ile ras wydała na świat Azja, ta wielka matka antycznego świata, nie wiadomo też, ile z nich na jej oczach dawno rozpadło się w proch... Myślę, że udało mi się zrozumieć przyczyny transformacji ludzkiego języka w ten niemal ptasi świergot karzełków. Oczywiście, im mniejsze gardło, tym wyższe tony głosu się z niego wydobywają. Prawdopodobnie z tego samego powodu dzieci nie potrafią mówić basem. Najwyższy z małych ludzi miał wzrost sześciolatniego dziecka. Nie będąc w stanie wypowiedzieć gardłowych, niskich dźwięków, zastępowali je innymi. To naturalne, że jeśli się nie może zaśpiewać nuty z niższej oktawy, śpiewa się ją w wyższej. Tak samo robili mali ludzie, a po dłuższym czasie dźwięki te rozwinęły się w system tryłów i popiskiwań, przy czym zasadnicza struktura języka została zachowana.

Evalie przypominała sobie – jak nam powiedziała – wielki, kamienny budynek. Sądziła też, że pamięta wielką wodę. I porośłą drzewami ziemię, która stała się „biała i zimna”. Byli tam mężczyzna i kobieta... potem już tylko mężczyzna... Wszystko to jak we mgle. Jedyne, co pamięta naprawdę – to mali ludzie. Zapomniała, że mogą być jeszcze jacyś inni, dopóki myśmy się nie zjawili. Pamięta, że kiedyś nie była większa od nich... i jak się wystraszyła, gdy spostrzegła, że zaczyna ich przerastać. Mali ludzie – Rrlyya – to słowo najbardziej zbliżone do trylu – kochali ją, spełniali jej życzenia. Karmili ją, ubierali, uczyli... zwłaszcza matka Tri, którego uratowałem od śmierci. Czego ją uczyli? Spojrzała na nas dziwnie i powtórzyła tylko: „Uczyli.” Czasem tańczyła z nimi, czasem dla nich... i znów to dziwne, tajemnicze, jakby ukradkowe spojrzenie. To wszystko. Jak dawno temu była tak mała jak oni? Nie wiedziała.

Dawno, i już. Kto nadał jej imię „Evalie”? Też nie wiedziała.

Przyglądałem się jej ukradkiem. Nie mogłem jednak znaleźć żadnego śladu świadczącego o przynależności do jakiegó rasy. Musiała być znajdą, a ta nieokreślona para ludzi jej rodzicami. Ale kim byli i z jakiego pochodzili kraju? Odpowiedzi na to pytanie nie sposób odczytać ani z jej ust, ani też oczu, włosów, koloru skóry.

Była odmieńcem – w jeszcze większym stopniu niż ja. Odmieniec z mirażu! Wykarmiony pożywieniem elfów!

Zastanawiałem się, czy mogłaby się stać na powrót normalną kobietą, gdybym ją zabrał z Krainy Cienia?

Poczułem, że pierścień na mojej piersi lodowacieje.

Zabrać ją! Najpierw trzeba zmierzyć się z Kalk’ru... I z Czarownicą.

Zielony mrok zgęstniał. Wielkie świetliki zaczęły zapalać swe latarenki z białego topazu wśród kwitnących drzew, lekki wietrzyk pomykał chyłkiem nad paprociowymi zagajnikami, niosąc z sobą zapach dalekich lasów. Evalie westchnęła.

– Nie opuścisz mnie, Tsantawu? – spytała.

Nawet jeśli zrozumiał, nie odpowiedział. Zwróciła się teraz do mnie:

– Nie opuścisz mnie... Leifie?

– Nie – odparłem i zaraz mi się wydało, że słyszę bębny Kalk’ru zagłuszające szyderczym śmiechem melodyjne tamburyny małych ludzi.

Zielony mrok powoli przechodził w ciemność, ale nie całkowitą. Miało się wrażenie, że za zasłoną z chmur świeci księżyc w pełni. Wesole bębni umilkły, karzełki pozniwały w swych skalnych legowiskach. Z dalekich wież dobiegało tylko głucho bum-bum-bum bębnow wartowniczych szepczących coś do siebie przez porośnięte cierniami wzgórze. Tu i ówdzie błyskały świetliki jak latarki chochlików, wielkie ómy o lśniących srebrzystych skrzydełkach przypominały samolociki elfów.

– Evalie – odezwał się Jim – od jak dawna mieszkają tu Yunwi Tsundsi’, ci mali ludzie?

– Od zawsze, Tsantawu... W każdym razie tak mówią.

– A inni? Te rudowłose kobiety?

Pytaliśmy o nie już przedtem, ale nie odpowiadała, spokojnie ignorując temat. Teraz odparła bez wahania:

– One są z Ayjirów... Przewodzi im Lur-Czarodziejka, odziana w wilczą skórę, wraz Yodinem Arcykapłanem i Tiburem, którego nazywają Tibur Śmiacz albo Tybur Kowal. Nie jest taki wysoki jak ty, Leifie, ale za to szerszy w ramionach i w pasie, no i ma ogromną siłę, ogromną!

Opowiem wam o Ayjirach. Przedtem jakby czyjaś ręka zaciskała mi usta, a może serce? Ale już zniknęła.

Mali ludzie mówią, że Ayjirowie przybyli tu na koniach bardzo, bardzo dawno temu. Wówczas Rrllya władali całą doliną po obu stronach rzeki. Wielu było tych Ayjirów, och, wielu. Znacznie więcej niż teraz, mnóstwo mężczyzn i kobiet, nie tak jak dziś – dużo kobiet i zaledwie paru mężczyzn. Przybyli hen, z daleka, w wielkim pośpiechu, w każdym razie mali ludzie twierdzą, że tak mówili ich ojcowie. Przewodziło im... przewodziło... brakuje mi słowa! To ma nazwę, ale jej nie wymówię... nie, za nic! Ma kształt... Widziałam to na sztandarach powiewających na wieżach Karaku... i jeszcze na piersiach Lur i Tibura, kiedy... – Zadrżała i umilkła. Srebrzysta ćma przysiadła na jej ręce, poruszając błyszczącymi skrzydełkami. Evalie podniosła rękę do ust i łagodnie ją zdmuchnęła. – Wszystkiego tego Rrllya – których nazywacie małymi ludźmi – wtedy nie wiedzieli – mówiła dalej. – Ayjirowie zostali. Zaczęli budować Karak i wykuwać w skałach świątynie dla tego... tego, który ich tu przywiódł. Początkowo śpieszyli się z budową, jakby obawiali się pościgu, ale kiedy poczuli się bezpiecznie, zwolnili tempo. Z tych moich maleństw zrobili sobie służących, niewolników, a oni na to nie mogli się zgodzić. Wybuchła wojna. Mali ludzie zaczęli się wokół Karaku i gdy Ayjirowie wylegli, pozabijali ich. Karły, które wiedzą wszystko o roślinach, potrafiły tak przygotować swe dzidy, że uśmiercały nawet przy lekkim draśnięciu. Więc wielu Ayjirów straciło życie.

W końcu nastąpił rozejm, zresztą bynajmniej nie dlatego, że malcy się ugięli. Nie ugięli się. Chodziło o co innego. Chytrzy Ayjirowie pozastawiali pułapki i złapali w nie sporo małych. Potem zrobili z nich... zabrali ich do świątyni i tam ofiarowali temu... temu, który ich przywiódł. Ustawiali ich siódemkami. Z każdej siódemki wybierali jednego, któremu kazali patrzeć, jak się dokonuje ofiara z jego braci. Potem odsyłali go z powrotem do Rrllya, żeby o tym opowiedział.

Z początku nie chcieli wierzyć... tak przerażająca wydawała się ta historia, ale oto wrócił drugi wysłaniec z następnej siódemki, potem z trzeciej... Na małych ludzi padł okropny strach. Ogarnęła ich zgroza i obrzydzenie. Zawarli umowę. Oni pozostaną po tej stronie rzeki, Ayjirowie zajmą drugą. W zamian Ayjirowie zaprzysięgną na tego, który ich przywiódł, że żaden z małych ludzi nie będzie nigdy więcej złożony w ofierze. Jeśli któryś z nich zostanie złapany na ziemi Ayjirów – wolno go zabić, ale nie jako krwawą ofiarę. Natomiast gdy któryś z Ayjirów ucieknie z Karaku i poszuka schronienia wśród Rrllya, mają oni takiego uciekiniera zabić. Mali ludzie przejęci grozą musieli przystać na taki układ. Zburzono Nansur, tak aby nikt się nie przedostał... Nansur to most na Nanbu, tej białej rzece. Zniszczono wszystkie łodzie, zarówno Ayjirów, jak Rrllya, i zgodzono się, że nikt ich więcej nie będzie budował. Później, jako dodatkowe zabezpieczenie, mali ludzie wzięli dalan'usa i wrzucili je do Nanbu, aby nikt nie mógł jej przepłynąć. I tak już zostało... na długo, długo.

– Dalan'usa... masz na myśli węże?

– Tlanu'si – pijawki – rzekł Jim.

– Węże... one są nieszkodliwe. Nie sędzę, żebyś mógł się zatrzymać na pogawędkę z Lur,

gdybyś spotkał na swej drodze dalan'usa – dodała z pewną złośliwością Evalie.

Zostawiłem sobie tę zagadkę na później.

– A ta para, którą znaleźliśmy pod kwiatami śmierci... – zmieniłem temat. – Czy oni złamali układ?

– Nie złamali. Wiedzieli, co ich czeka, gdyby ich złapano, i gotowi byli tę cenę zapłacić. Po drugiej stronie białej Nanbu są rośliny... i inne potrzebne rzeczy, których nie ma tutaj. Więc przepłynęli Nanbu... dalariusza są ich przyjaciółmi... rzadko się zdarza, by Ayjirowie ich złapali. Ale tego dnia Lur ściagała uciekinierkę, która próbowała przedostać się do Sirku. Trafiła na ślad karłów, ujęła ich i położyła pod kwiatami śmierci.

– A co zrobiła ta dziewczyna? To jedna z nich?

– Została wybrana na ofiarę. Nie widzieliście? Była taluli... dziecko... rosnące w niej, żeby...  
– Zawiesiła głos, a mnie zrobiło się zimno. – Ale wy oczywiście nie macie o tym pojęcia – podjęła po chwili. – Ja też wam nie powiem... Nie teraz. Gdyby Tri i Trą znaleźli dziewczynę, nim ją doścignęto, przeprowadziliby ją koło dalan'usa tak jak was. I mogłaby sobie tutaj żyć, aż nadszedłby dla niej czas odejścia. Odeszłaby we śnie, w spokoju, bez bólu... A kiedy by się zbudziła, znalazłaby się daleko stąd... wolna... Może nawet nic by nie pamiętała? Mali ludzie kochają życie. Jeśli kogoś muszą odesłać, robią to właśnie tak.

Mówiła ze spokojem, patrząc nam w oczy bez zakłopotania.

– A czy wiele zostało już tak... odesłanych?

– Niezbyt wiele, bo mało której udaje się przejść koło dalan'usi. Ale dużo próbowało.

– Mężczyźni i kobiety?

– Czy mężczyźni noszą w sobie dzieci?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem ostro. W jej pytaniu było coś, co z jakiegoś powodu dotknęło mnie do żywego.

– Nie teraz – ucieła. – Poza tym w Karaku jest tylko kilku mężczyzn. Mówiłam wam. Z narodzonych dzieci najwyżej jedna dwudziesta to chłopcy. Nie pytaj, dlaczego, bo nie wiem.

Podniosła się i rzuciła nam senne spojrzenie.

– Dość na dziś. Będziecie spali w moim namiocie.

Jutro dostaniecie swój, a mali ludzie wykują wam kolebę blisko mojej. I obejrzyście sobie Karak ze zburzonego Nansuru... a także Tibura Śmiacza, bo on zawsze stoi na drugim końcu mostu, kiedy ja jestem na brzegu. Wszystko to zobaczycie... jutro... pojutrze... popojutrze... Zresztą, czy to ważne, przecież teraz każde jutro będzie należeć do nas. Prawda?

Jim znów nie odpowiedział. – Prawda, Evalie – odparłem.

Uśmiechnęła się sennie, potem odwróciła się i odeszła tam, gdzie w cieniu skały było

wejście do jej groty. Wtopiła się w ciemność i znikła nam z oczu.

## Rozdział X

### GDYBY TAK WYKORZYSTAĆ CAŁY MÓZG...

Bębny karzełków-wartowników stukotały łagodnie, pogadując ze sobą na całej długości półkolistej skarpy. Nagle ogarnęła mnie rozpaczliwa tęsknota za Gobi. Nie wiem dlaczego, ale ta naga, rozpalona słońcem, mieciona wiatrem i piaskiem pustynia stała mi się bardziej upragniona niż ciało jakiegokolwiek kobiety. Czułem coś w rodzaju silnej nostalgii. Nie mogłem się z niej otrząsnąć. W końcu, w skrajnej rozpacz, powiedziałem:

- Zachowywałeś się cholernie dziwnie, Indianinie.
- Tsi’Tsa’lagi... Mówiłem ci. Jestem Czirokezem z krwi i kości.

– Tsantawu, to ja, Degataga...

– Przeszedłem na czirokezki. Wtedy Jim zapytał:

– Co pragnie wiedzieć mój brat?

– Co szeptały ci głosy zmarłych tamtej nocy pod świerkami? Po trzech znakach, które ci dali, poznałeś, że mówili prawdę. Co to było? Ja, bracie, ich nie słyszałem, a przecież przez rytuał krwi są tak samo moimi przodkami, jak twoimi. Mam prawo wiedzieć.

– Czy nie lepiej zaczekać, co przyszłość pokaże? Po co przejmować się słabymi głosami umarłych? Skąd można wiedzieć, czy mówią prawdę?

Tsantawu wykręcał kota ogonem. Kiedyś porównał mnie do psa przy nodze myśliwego. A więc wciąż myśli, że ja...

– Nie, nie, Leifie – przerwał moje rozmyślenia, porzucając indiański ton. – Wszystko dlatego, że nie wiem, czy to prawda. Wiem jednak, jak nazwałby to Barr: naturalne obawy wyrażające się podświadomie w przesądach rasowych. Te – powiedzmy – „głosy” mówiły o wielkim niebezpieczeństwie na północy. Duch, który tam mieszka, zniszczy je na wiele wieków, jeśli wpadnę w jego łapy. I będzie tak, „jakby nas nigdy nie było”, ani ich, ani mnie. Jest kolosalna różnica między zwykłą śmiercią a tą jakąś osobliwą, której nie rozumiem. Ale „głosy” rozumieją. Trzy znaki wskażą mi, że mówią prawdę: Ataga’hi, Usunhi’yi i Yunwi Tsundsi’.

Po dwóch pierwszych mogę jeszcze zawrócić. Jeśli jednak napotkam trzeci, będzie za późno. Błagali mnie, bym – to szczególnie interesujące – nie dopuścił, aby się rozplynęli.

– Rozplynęli! – wykrzyknąłem. – Ależ ja użyłem tego samego słowa! I to wiele godzin później!

– Właśnie, i dlatego skóra mi ścierpła. Nie możesz mieć do mnie pretensji. Kiedy forsowaliśmy tę kamienistą równinę, która okazała się Ataga’hi, byłem ździebko zajęty,

a bardziej, kiedy dotarliśmy do Krainy Cienia.

– I okazało się, że jest to ni mniej ni więcej tylko Usunhi'yi, czyli Mroczna Ziemia. Dlatego właśnie powiedziałem, że jeśli bieg wypadków mnie przekona – miałem tu na myśli trzeci znak, Yunwi Tsundsi' – wybiorę raczej twoją interpretację niż Barra. No i proszę. Ale jeśli uważasz, że to wszystko razem nie jest wystarczającym powodem, by zachowywać się „cholernie dziwnie”, jak to określiłeś... może sam wymyślisz coś lepszego.

Jim zakuty w złote łańcuchy... Macki Ciemnej Siły pełznące ku niemu... coraz bliżej... Moje wargi suche, spierzchnięte...

– Czemuś mi tego wcześniej nie powiedział – wybuchnąłem. – Za skarby nie pozwoliłbym ci iść!

– Wiem. A ty, stary kumplu, zawróciłbyś na moim miejscu?

Nie odpowiedziałem. Roześmiał się.

– Jak mogłem mieć pewność, dopóki nie zobaczyłem wszystkich znaków?

– Ale oni nie powiedzieli, że ty się... rozpląniesz – uchwyciłem się słomki. – Mówili tylko o niebezpieczeństwie.

– Rzeczywiście.

– I co ja teraz pocznę? Jim... prędzej uduszę cię gołymi rękami, niż dopuszczę, by spotkało cię to, co widziałem na Gobi!

– Jeśli potrafisz...

Zauważyłem, że natychmiast ugryzł się w język.

– Jeśli ja potrafię? Co ci cholerni przodkowie mówili o mnie?

– Nic, do diabła! – zawołał wesoło. – Przecież nie powiedziałem, że mówili o tobie! Wykombinowałem po prostu, że jeśli pójdziemy razem i ja znajdę się w niebezpieczeństwie, to obejmuje ono i ciebie. To wszystko.

– Jim... wcale nie wszystko. Co jeszcze ukrywasz?

Podniósł się i stał przyglądając mi się z góry.

– No dobrze. Powiedzieli, że nawet gdy Duch mnie nie dorwie, to i tak się stąd nie wydostanę. Teraz masz pełne wydanie.

– Och! – Kamień spadł mi z serca. – To wcale nie musi być takie złe. Jedno jest pewne: jeśli zostaniesz, to razem ze mną.

Pokiwał machinalnie głową. Mnie zaś interesowało jeszcze jedno.

– Yunwi Tsundsi', Jim. Co to za plemię? Nigdy mi o nich nie wspominałeś, w każdym razie nic takiego nie pamiętam. Co mówią legendy?

– Och... Mali ludzie. – Zachichotał i przykucnął przy mnie, wróciwszy do rzeczywistości. –



Kiedy Czirokezi przybyli do swojego kraju, oni już tam byli. To rasa liliputów, taka jak pigmeje w Afryce czy Australii.

Poza tym, że tamci są czarni, Yunwi Tsundsi' odpowiadają zupełnie ich opisowi. Oczywiście są drobne różnice między plemionami. Jedni mają skórę w kolorze miedzi i tylko dwie stopy wzrostu, inni są złotawi i wyrastają przeważnie do trzech stóp. Niektórzy są trochę wyżsi albo grubszy, ale na ogół opisy się zgadzają: długie włosy, harmonijna budowa ciała, bębny i tak dalej.

Pochłonęła go opowieść o małych ludziach. Podobno mieszkali w jaskiniach na terenie dzisiejszego stanu Tennessee i Kentucky. Byli ludźmi z krwi i kości, żyli pełnią życia, czasem nawet wręcz po rabelaisowsku. Do Czirokezów odnosili się przyjaźnie, ale przebywali we własnym kręgu i rzadko się pokazywali. Czasem pomagali zagubionym w górach, zwłaszcza dzieciom. Jeśli zdarzyło się, że wzięli kogoś do jednej z grot, przestrzegali go, by nie mówił nikomu o tym miejscu. Inaczej umrze. Gdy ktoś spróbował ich jedzenia, musiał potem z wielką ostrożnością i stopniowo wracać do dawnego sposobu odżywiania. Zaniechanie tego też groziło śmiercią.

Mali ludzie byli drażliwi. Jeśli w lesie ktoś ich śledził, rzucali na niego urok. Potem przez wiele dni taki ktoś był pozbawiony zmysłu orientacji. Znakomicie znali się na obróbce drewna i metalu. Myśliwy, który znalazł w lesie porzucony nóż, grot strzały czy jakieś świecidełko, musiał – zanim wziął je do ręki – wypowiedzieć słowa: „Mały Ludku, chcę to wziąć”. Jeśli nie poprosił – nie upolował już nigdy żadnej zwierzyny i spotykało go w dodatku jeszcze inne nieszczęście. Takie, które mogło zmartwić jego żonę.

Lubili się weselić, pół życia spędzali na tańcach i przy bębenkach. Mieli ich dużo, najprzeróżniejszych. Były takie, które swoim hukiem potrafiły zwalić drzewo, inne umiały usypiać, jeszcze inne doprowadzały do szaleństwa i wreszcie bębny „gromowe”. Ich dźwięk przypominał uderzenie pioruna. Kiedy uderzali w te instrumenty, zaraz potem nadciągała prawdziwa burza. Brzmiały tak łudząco podobnie, że potrafiły ją wywołać. Pewno niejedna burza krążyła w pobliżu, by sobie poplotkować ze zbłąkanym krewniakiem... Tu przypomniałem sobie huk gromu zaraz po śpiewie. Ciekawe, czy mali ludzie bronili się w ten sposób przed Kalk'ru?

– Leifie, chcę cię o coś zapytać – rzekł Jim po chwili.

– Wal.

– Co ty naprawdę pamiętasz o Dwayanu?

Nie odpowiedziałem od razu. Tego pytania obawiałem się od momentu, gdy się wydarłem na Czarownicę.

– Jeśli zastanawiasz się nad tym – w porządku. Jeśli kombinujesz, jak się wymigać –

fatalnie. Żądam wyraźnej odpowiedzi.

– Chodzi ci po głowie, że jestem wcieleniem starożytnego Ujgura? Więc może masz jakiś pomysł, gdzie się podziewałem przez te tysiące lat?

– Ach więc i ciebie to gnębi? Nie, nie myślałem o reinkarnacji. Chociaż wiemy o niej tak cholernie mało, że trudno ją wykluczyć. Może jednak znajdzie się bardziej racjonalne wyjaśnienie? Dlatego właśnie pytam: co naprawdę zapamiętałeś o Dwayanu?

Postanowiłem wreszcie to z siebie wyrzucić.

– W porządku, Jim. Ten problem, podobnie jak sprawa Kalk’ru, kołacze mi się po głowie już trzeci rok. I jeśli nie znajdę odpowiedzi tutaj, wrócę po nią na Gobi – oczywiście przyjąwszy, że się stąd wydostanę. Kiedy tam, w oazie, czekałem w komnacie na wezwanie starego arcykapłana, wiedziałem doskonale, że mieszkał tam Dwayanu. Posłanie, zbroja, broń... wszystko było znajome. Patrząc na jeden z hełmów, przypomniałem sobie, że Dwayanu – czy też ja – oberwał kiedyś w niego maczugą. Wziąłem go do rąk – i rzeczywiście zobaczyłem wklęśnięcie dokładnie w zapamiętanym miejscu. Przyglądałem się mieczom – i wiedziałem, że Dwayanu miał zwyczaj brać cięższy do lewej ręki, a lżejszy do prawej. Cóż... jeden z nich był znacznie cięższy. Ja też sprawniej walczę lewą ręką. Każde z tych przypomnień, czy jak je tam nazwać, to dosłownie błysk. Przez ułamek sekundy byłem jednocześnie i sobą, i Dwayanu, który przyglądał się z rozbawieniem, ale i zainteresowaniem, starym, znajomym przedmiotom. A potem znów stałem się tylko sobą i zastanawiałem się, bynajmniej nie rozbawiony, co to wszystko znaczy.

– I co jeszcze?

– Cóż... Nie byłem do końca szczery w sprawie tego rytuału – wyznałem z przygnębieniem. – Mówiłem ci, że czułem się, jakby ktoś obcy opanował mój umysł i działał zamiast mnie. Do pewnego stopnia to prawda, ale... mój Boże, cały czas wiedziałem, że ten drugi – to ja! To coś takiego, jakbym był jednocześnie dwiema osobami i jedną! Trudno to wyjaśnić... wiesz, jak to jest, kiedy się mówi jedno, a myśli drugie. Więc przypuśćmy, że możesz mówić jedno, a myśleć o dwóch rzeczach naraz. Tak to wyglądało. Jedna część mojej jaźni buntowała się, czuła lęk, grozę. Druga – nic z tych rzeczy – wiedziała, że ma moc, władzę i cieszyła się jej sprawowaniem. Ta właśnie część opanowała moją wolę. Ale każda z nich była mną. Niedwuznacznie, nieomylnie – mną. Do diabła, człowieku, przecież gdybym naprawdę wierzył, że to coś lub ktoś mną nie jest, czy miałbym aż takie wyrzuty sumienia? Nie, musiałem być o tym przekonany! A właściwie przekonana była ta sarna część mnie, która rozpoznała hełm i miecze, która wiedziała, że dostałem po łbie! – Jeszcze coś?

– Tak. Sny.

– Jakie sny?

– O bitwach... O różnych obchodach... Sen o wojnie z żółtymi ludźmi, o polu bitewnym nad

rzeką, strzałach świszczących nad głowami, znikającymi w chmurach...

– O walkach wręcz, w których się posługiwałem olbrzymim młotem i biłem z roslymi, jasnowłosymi mężczyznami, o których wiedziałem, że są do mnie podobni...

– Sny o miastach ze sterczącymi w górę wieżami... Przejeżdżałem przez nie, a białe, niebieskookie kobiety rzucały wieńce pod kopyta mojego konia... Po przebudzeniu wszystko się rozwiewało, potem w ogóle zapomniałem. A jednak cały czas mam przed oczami wyrazistość tych snów, ich realność, jakbym przeżywał to naprawdę...

– I właśnie z tych snów wiedziałeś, że kobieta z wilczą skórą jest czarownicą?

– Jeśli nawet, to nie pamiętam. Wiem tylko, że ją nagle rozpoznałem... albo rozpoznał ją ten drugi, co we mnie siedzi.

Milczał przez chwilę, potem spytał:

– Leifie, czy w tych snach brałeś kiedyś udział w obrzędach Kalk’ru? Czy w ogóle miałeś do czynienia z jego kultem?

– Na pewno nie. Pamiętałbym, na Boga! Nawet ta świątynia na Gobi nigdy mi się nie śniła.

Skinął głową, jakby moja odpowiedź potwierdzała jego myśli, potem zapadł w milczenie tak długie, że aż mnie coś tknęło.

– No, stary doktorze z Tsa’lagi, pora na diagnozę!

Reinkarnacja, nawiedzenie przez demony czy zwykła schizofrenia?

– Słuchaj, Leifie, nie miałeś chyba takich snów przed Gobi?

– Nie.

– Cóż... Próbowałem się przestawić na sposób myślenia Barra i ogarnąć to wszystko mózgownicą. Oto wynik. Uważam, że cała ta historia jest robotą starego arcykapłana. Zawładnął tobą wtedy, gdy miałeś wizję.

– Pamiętasz – że jedziesz do świątyni Kalk’ru, ale do niej nie wchodzisz. Nie wiadomo, co jeszcze ci zasugerował, bo pewnie kazał ci zapomnieć wszystko po przebudzeniu. To zwykła rzecz w hipnozie. I miał jeszcze kolejną sposobność. W czasie twego snu. Skąd wiesz, że nie wszedł wtedy do ciebie i nie wmówił ci innych rzeczy?

– Oczywiście, zależało mu, byś uwierzył, że jesteś Dwayanu. Chciał, żebyś „pamiętał”, ale – nauczony doświadczeniem – nie to, co się wiązało z Kalk’ru. To by tłumaczyło, dlaczego śniłeś tylko o sławie, przepychu i innych przyjemnych rzeczach. Mądry z niego gość, sam mówiłeś. Znał twoją psychikę na tyle, by przewidzieć, że na obrzęd będziesz się krzywił. I tak się stało, ale miał cię już w garści. Natychmiast zadziałał posthipnotyczny nakaz wydany podświadomości. Nie mogłeś temu zapobiec. Chociaż część twojej jaźni była rozbudzona i w pełni świadoma, nie miało to wpływu na wolę. Sądzę, że tak właśnie powiedziałby Barr. A ja bym się z nim zgodził. Do diabła, to sprawka narkotyku, a nie wędrowki dusz czy demonów ani

żadnych innych środków rodem ze średniowiecza.

– Tak – odpowiedziałem z nadzieją, ale i pewnym powątpiewaniem. – A co powiesz o Czarownicy?

– Ktoś podobny do niej pojawił się w twoim śnie, ale o tym zapomniałeś. Myślę, że wyjaśnienie jest takie, jak mówiłem. A jeśli tak... to niedobrze.

– Teraz cię nie rozumiem.

– Nie? Spróbuj pomyśleć. Skoro te wszystkie rzeczy, które tak cię zdumiewały, są wynikiem sugestii arcykapłana, to co jeszcze ci zasugerował? Wyraźnie wiedział o tym miejscu. Mógł przewidzieć, że je odnajdziesz. Więc czego się teraz po tobie spodziewa? Cokolwiek ma na myśli, możesz się założyć o szansę wydostania się z tego miejsca, że zaszczepił to głęboko w twojej podświadomości. Zresztą dobrze, to tylko spekulacje, ale co zrobisz, kiedy nawiądziesz bliższy kontakt z tymi rudymi damami i paroma szczęściarzami, którzy dzielą z nimi ich raj? Nie mam bladego pojęcia – i ty też nie. I jeżeli to nie jest powód do zmartwienia – podaj mi inny. Daj spokój, chodźmy spać.

Weszliśmy do namiotu. Byliśmy w nim już wcześniej z Evalie. Leżał tam wtedy stos skór przykryty jedwabnym materiałem. Teraz przybył drugi taki sam. Zrzuciliśmy odzież pod osłoną zielonkawej ciemności i położyliśmy się. Spojrzałem na zegarek.

– Dziesiąta – oznajmiłem. – Ile to miesięcy od rana?

– Co najmniej sześć. Jak mi nie dasz spać, to cię zamorduję. Ależ jestem wykończony!

Ja też byłem wykończony, ale długo jeszcze leżałem pogrążony w rozmyślaniach. Argumenty Jima, choć brzmiały przekonująco, niespecjalnie do mnie przemawiały. Nie wierzyłem, że przez całe wieki tkwiłem gdzieś w przestrzeni jako śpiący rycerz. Albo że bym był naprawdę tym mitycznym Dwayanu. Istniało trzecie wytłumaczenie, aczkolwiek nie mógłbym powiedzieć, że choć trochę lepsze niż reinkarnacja. I niosło z sobą tyleż nieprzyjemnych możliwości, co rozumowanie Jima.

Nie tak dawno temu wybitny amerykański lekarz i psycholog odkrył, że przeciętny człowiek wykorzystuje zaledwie jedną dziesiątą swego mózgu. Większość naukowców zgodziła się z jego teorią. Najtęższe umysły, uznani geniusze, tacy jak Leonardo da Vinci czy Michał Anioł wykorzystywali może o jedną dziesiątą więcej.

Ten, który zaprzęgałby do pracy cały mózg, mógłby zapanować nad światem, ale prawdopodobnie by nie zechciał. W ludzkiej czaszce zamknięto świat odkryty zaledwie w jednej piątej.

Co z mózgową terra incognita! Z niezbadanymi ośmioma dziesiątymi?

Cóż, po pierwsze, może to być magazyn dziedzicznych zapisów pamięciowych, sięgających

aż do owłosionych, podobnych do małpy przodków rodzaju ludzkiego czy jeszcze dalej, do tych płetwonogich stworzeń, które wypłynęły ongiś z bezmiarów wód, by rozpocząć swój pochod w kierunku człowieczeństwa, wreszcie do ich poprzedników, toczących walkę o życie i rozmnażających się w parujących wodach oceanów, gdy kontynenty dopiero powstawały.

Miliony, miliony lat pamięci! Cóż za kopalnia wiedzy! Gdyby tylko ludzka świadomość potrafiła dobrać się do tego zbiornika...

Nic bardziej wiarygodnego jak fakt, że fizyczny kod rasy może być zawarty w dwóch pojedynczych komórkach, od których zaczyna się zwykle cykl rozwoju człowieka. Są w nich wszystkie elementy ludzkiego organizmu: mózg, nerwy, mięśnie, kość i krew. Również i to, co nazywamy cechami dziedzicznymi: rodzinne podobieństwa dotyczące nie tylko twarzy i ciała, ale myśli, zwyczajów, uczuć, oddziaływania na środowisko. Na przykład nos dziadka, oczy prababki, ale także wybuchowość prapradziadka, skłonność do wpadania w zły nastrój i co tam jeszcze. Jeśli to wszystko da się przekazać za pomocą tych dwudziestu siedmiu czy ośmiu mikroskopijnych pałeczek, maciupeńkich bożków zwanych przez biologów chromosomami, wpływających na ostateczny skład mieszaniny cech przydzielanych chłopcu czy dziewczynce – czemuż nie można by tą samą drogą przekazywać zakumulowanych doświadczeń, zawartości pamięci ich przodków?

Gdzieś w ludzkim mózgu musi znajdować się sekcja utrwalania, gdzie materiał starannie wpisany w rowki pamięci czeka tylko, na odtworzenie przez igłę świadomości.

Może świadomość rzeczywiście odczytuje czasem te zapisy. Może istnieje przynajmniej paru ludzi, którzy z nie wyjaśnionych przyczyn posiadają moc dobierania się do tych informacji.

Gdyby tak było naprawdę, mogłoby to tłumaczyć wiele tajemnic. Na przykład głosy duchów, które słyszał Jim. Albo moje niesamowite zdolności językowe.

Przypuśćmy, że pochodzę w linii prostej od tego Dwayanu. I że moje obecne „ja”, moja świadomość, potrafi się poruszać w nieznanym świecie mojego mózgu, docierając do pokładów pamięci Dwayanu... Albo jeszcze inaczej, że te zapisy, wskutek jakiegoś bodźca, opanowały moją świadomość. Gdy to się stało, Dwayanu zbudził się i ożył. A ja mogę być jednocześnie i nim, i sobą – Leifem Langdonem.

Czy stary arcykapłan wiedział coś na ten temat? Czy słowami, rytualnymi gestami i sugestią przedostał się do terra incognita i obudził pamięć Dwayanu?

Jakże ta pamięć głęboko we mnie tkwiła! Nie mogła być całkiem uśpiona, bo czyż inaczej nauczyłbym się tak szybko ujugurskiego? Albo czy doświadczyłbym tych dziwnych, nieprzyjemnych błysków rozpoznania jeszcze przed spotkaniem z arcykapłanem?

Tak, Dwayanu był silny. A także – jak skądś wiedziałem – bezwzględny. Bałem się go, bałem się tych pokładów pamięci, które się z nim wiązały. Nie posiadałem mocy wzbudzania ich

ani nie potrafiłem nad nimi panować. Dwa razy zawładnęły moją wolą, odpychając mnie samego na bok.

Co będzie, jeśli staną się jeszcze silniejsze? Jeśli opanują mnie całego? Staną się mną?

## **Rozdział XI**

### **BĘBNI MAŁYCH LUDZI**

Jo raz szósty już zielone światło nad Krainą Cienia przemieniło się w blady mrok, uważany tutaj za noc, a ja nadal nic nie słyszałem o Czarownicy i innych mieszkańcach tamtego brzegu. Minione dni i noce były nadzwyczaj interesujące. Chodziliśmy z Evalie, otoczeni złotoskórymi karzełkami, po całej pilnie strzeżonej równinie, sami też mogliśmy wędrować bez przeszkód.

Obserwowaliśmy małych ludzi przy pracy i zabawie, słuchaliśmy ich bębnow, patrzyliśmy z ciekawością na tańce, tak skomplikowane, tak niezwykle, że przypominały raczej zawiłą kompozycję chorałową niż kroki i gesty. Czasem tańczyli w niewielkich, mniej więcej dwunastoosobowych grupach i wtedy taniec można było porównać z prostą piosenką. Ale innym razem na zielonej murawie pojawiały się ich setki – i wówczas powstawała symfonia wyrażana środkami choreograficznymi.

Tańczyli zawsze przy dźwięku bębnow, innej muzyki nie znali ani nie potrzebowali. Bębny miały najrozmaitsze kształty i rozmiary, ustawione rzędem obejmowały dziesięć oktaw. Potrafiły wydawać nie tylko znane nam półtony, ale ćwierć – i oktoton, a nawet jeszcze subtelniejsze dźwięki, które na słuchacza, przynajmniej na mnie, wywierały dziwne wrażenie. Ich wysokość była zróżnicowana – od najniższego basu piszczałki organowej do wysokiego sopranu. Z jednych instrumentów mali ludzie wydobywali dźwięk tylko palcami, z innych całymi dłońmi, do jeszcze innych używali pałeczek. Były wśród tych bębnow takie, które szeptały, nuciły, śmiały się i śpiewały.

Tańce i bębny, zwłaszcza te ostatnie, przywoływały osobliwe myśli, osobliwe obrazy. Dobijały się do drzwi innego świata i co jakiś czas otwierały je na tyle szeroko, że przez moment migąło coś ulotnego, niezmiernie pięknego, budzącego dziwny niepokój.

Na urodzajnej, zagospodarowanej równinie wielkości około dwudziestu mil kwadratowych mieszkało jakieś pięć tysięcy małych ludzi. Ilu poza nią – nie miałem pojęcia. Evalie mówiła, że było mniej więcej dwadzieścia niewielkich kolonii. Tutejsi mieszkańcy zajmowali się myślistwem i wydobywaniem minerałów, stąd mieli skóry, metale i mnóstwo innych surowców, które przerabiali stosownie do swych potrzeb. Na moście Nansur wystawiano posterunek silnie obsadzony przez wojowników. Udawało im się jakoś zachowywać równowagę biologiczną, tak w każdym razie twierdziła Evalie. Szybko osiągnęli dojrzałość, ale żyli stosunkowo krótko.

Opowiadała nam o Sirku, mieście tych, które uciekły przed ofiarą. Z opisu zrozumieliśmy, że było to niedostępne, ukryte wśród skał miejsce. U podnóża fortyfikacji tryskały gorące źródła, tworząc nieprzebytą fosę. Trwała ustawiczna walka między ludźmi z Sirku a białymi wilkami Lur, czającymi się w gęstwinie lasów, gotowymi w każdej chwili do ataku na uciekinierki z Karaku. Miałem wrażenie, że Sirk łączyły z karzełkami jakieś potajemne stosunki. Ich źródłem

mógł być paniczny lęk przed ofiarą, odczuwany przez obie strony, a także bunt mieszkanek Sirku przeciwko wyznawcom Kalk'ru. Mali ludzie pomagali im, jak mogli, a nawet łączyli z nimi swe siły. Czyż nie działo się tak z powodu głęboko zakorzenionego, odwiecznego strachu przed tym, co może nastąpić, jeśli złamią układ z Ajjirami zawarty jeszcze przez przodków? Ta myśl przyszła mi do głowy po tym, jak Evalie powiedziała:

– Gdybyś wybrał inną drogę, Leifie... i gdybyś zdołał uciec wilkom Lur, trafiłbyś do Sirku. I mogłaby z tego wynikać wielka zmiana, gdyż Sirk powitałby cię z otwartymi ramionami, a gdybyś stanął na jego czele, kto wie, do czego by doszło... A wtedy ani mali ludzie...

Nie dokończyła. Nie pomogły żadne prośby. Więc powiedziałem jej, że za dużo tych „gdyby” i że jestem zupełnie zadowolony z tego, jak kości się potoczyły. To ją ucieszyło.

Jedno doświadczenie przeżyłem sam, bez Jima, a z wagi tego zdarzenia nie od razu zdałem sobie sprawę. Mali ludzie, jak już mówiłem, byli czcicielami życia. Ono stanowiło całą ich wiarę. Tu i ówdzie na równinie wznosiły się małe kopczyki, właściwie ołtarze, na których ustawiono antyczne symbole witalności wyrzeźbione w drewnie, kamieniu lub kości. Czasem występowały pojedynczo, czasem parami, a czasem tworzyły formę dziwnie przypominającą taki sam symbol spotykany u starożytnych Egipcjan: krzyż utworzony z pętli, tzw. crux ansata, który Ozyrys, bóg zmartwychwstania, trzymał w ręku i którym dotykał w krainie zmarłych te dusze, które pomyślnie przeszły próby i zasłużyły na nieśmiertelność.

Zdarzyło się to trzeciego dnia. Evalie kazała mi iść ze sobą – samemu. Poszliśmy dobrze utrzymaną ścieżką u podnóża skał, w których karzelki miały swe legowiska. Małeńkie złotookie kobiety wyglądały za nami ciekawie, ćwierkając coś do swych przypominających laleczki dzieci. Grupy starszych, zarówno kobiet, jak mężczyzn, wyszły nam tanecznym krokiem na spotkanie i przepuściwszy nas przodem, ustawiły się z tyłu. W rękach trzymali bębny nie znanego mi jeszcze rodzaju. Nie bili w nie jednak i sami zachowywali milczenie. W ciszy, grupa za grupą, posuwali się naszym śladem.

Wkrótce jaskinie karzelków zostały za nami. Po pół godzinie okrążyliśmy bastion skalny i znaleźliśmy się na skraju małej łączki porośniętej mchem miękkim i delikatnym jak jedwabisty dywan. Łączka miała jakieś pięćset stóp szerokości i tyleż długości. Naprzeciw nas znajdował się drugi bastion. Wyglądał, jakby ktoś wbił w ziemię zaokrąglone dłuto i wyciosał regularne półkole. Po drugiej stronie stał – jak sądziłem z początku – kopulasty budynek. Potem okazało się, że to po prostu wypukła skała.

Było w niej owalne wejście, niewiele większe od przeciętnych drzwi. Przystanąłem, zastanawiając się, co robić, ale Evalie ujęła mnie za rękę i wprowadziła do środka.

Góra była wydrążona, a w jej wnętrzu – jak się od razu domyśliłem – urządzono świątynię. Wysoko sklepione kamienne ściany miały kolor chłodnej zieleni. Nie było tam zupełnie ciemno. Kopuła wyglądała jak poprzekłuwana szydłem i przez setki otworków sączyło się światło, które



załamywało się i rozpraszało w tysiącach osadzonych tam kryształków. Podłogę tworzył gruby dywan miękkiego, lekko błyszczącego mchu, wielkości około dwóch akrów. Evalie pociągnęła mnie dalej. W samym środku jaskini znajdowało się zagłębienie w kształcie olbrzymiej niecki. Przed nią stał jeden z tych utworzonych z pętli symboli w kształcie krzyża, trzy razy wyższy od wysokiego mężczyzny. Był wypolerowany i błyszczał, jakby go wykuto w gigantycznym kryształcie ametystu. Obejrzałem się przez ramię. Przez owalne wrota wlewała się rzesza karłów.

Ustawili się ciasno za nami. Evalie znów ujęła moją rękę i podprowadziła mnie do krzyża. Coś mi wskazała. Posłusznie zająrzałem do niecki.

Zobaczyłem Krakena!

Rozwalał się na dnie, wysuwając z niekształtnego cielska czarne macki. Ogromne, czarne ślepia w zagadkowy sposób utkwione były prosto we mnie!

Stary koszmar powrócił. Odskokczyłem, wykrzykując jakieś przekleństwo. Karzełki tłoczyły się wokół mych kolan, przyglądając mi się w napięciu. Ogarnęła mnie zgroza i wiedziałem, że odbija się na mojej twarzy. Mali ludzie zaczęli coś ćwierkać w podnieceniu, gestykulując między sobą zawzięcie. Evalie obserwowała ich z ponurą miną, lecz nagle zobaczyłem, że się rozchmurza, jakby jej kamień spadł z serca.

Uśmiechnęła się do mnie i ponownie wskazała nieckę. Zmusiłem się, by do niej zajrzeć. Teraz zauważyłem, że leżący tam kształt jest przemyślnie wyczyszczony. Paskudne, nieprzeniknione ślepia okazały się kawałkami gagatu. Końce każdej z długich na jakieś pięćdziesiąt stóp macek przebijał jak szpikulcem crux ansata, a w monstualnym korpusie tkwił jeszcze jeden taki krzyż.

Zrozumiałem. Oto życie spętało swojego wroga. Pozbawiło go mocy. Zniewoliło za pomocą starożytnego, tajemnego, świętego symbolu tej właśnie rzeczy, którą zawzięto się zniszczyć za wszelką cenę. A ponad tym – wielki zapętlony krzyż. Ustawiony na straży – jak bóg życia.

Teraz uderzono w bębny. Dźwięk narastał od cichego szmeru do gwałtownego huku rwącej rzeki. Tempo też rosło z każdą chwilą. Niosło za sobą triumf napierających, zwycięskich fal, triumf porywów nieokiełznanego wichru – a jednocześnie pokój i poczucie bezpieczeństwa, małych kaskad wyśpiewujących szemrzeniem wody wiarę w wieczne trwanie czy drobnych fal szepczących cicho przy brzegu rzek, czy wreszcie szmeru deszczu, który tchnie życie we wszystko, co zielone.

Evalie zaczęła tańczyć wokół ametystowego krzyża, okrążając go z wolna w takt bębnow. Była duszą ich pieśni, duszą wszystkiego, o czym śpiewały.

Trzy razy okrążyła krzyż. Potem, również tanecznym krokiem, podeszła do mnie, wzięła za rękę i wyprowadziła ze świątyni. Kiedy przekraczaliśmy próg, słyszeliśmy za sobą nieustanny łoskot bębnow. Teraz już nie można go było porównać do szmeru czy szeptu, dźwięczały

wyzywająco i triumfalnie.

Evalie ani słowem nie wspomniała później o tej ceremonii, jej przyczynach ani też o samej świątyni, choć ze wszystkich sił próbowałem coś z niej wyciągnąć.

Nadal nie mogliśmy się doczekać, kiedy staniemy na Nansurze i obejrzymy sobie wieże Karaku.

– Jutro – mówiła ciągle, a kiedy „jutro” nadchodziło, znów miała dla nas tylko to jedno słowo. Patrzyła na mnie dziwnie spod swych długich rzęs ocieniających brązowe oczy albo dotykała mych włosów, mówiąc, że mamy przed sobą wiele dni, więc czy to ważne, kiedy pójdziemy? Nansur nie ucieknie. Była w tym jakaś niechęć, której nie pojmowałem. I tak dzień za dniem jej piękność i słodycz oplątywały pajęczą siecią me serce, aż zacząłem się zastanawiać, czy Evalie mogłaby stać się tarczą ochronną przed dotykiem tego, co nosiłem na piersi.

Mali ludzie ciągle nie mogli się do mnie przekonać. Ceremonia w świątyni ani trochę nie zmieniła ich niechętnego nastawienia, to było oczywiste. Jima natomiast uznali za swego, szczebiotali razem wśród śmiechów, jakby był jednym z nich. Mnie traktowali uprzejmie i życzliwie, ale zachowywali czujność. Jimowi pozwalali brać na ręce dzieci i bawić się z nimi. Kiedy ja próbowałem – matki wyraźnie okazywały niezadowolenie.

Jawne potwierdzenie ich stosunku do mnie uzyskałem tego ranka.

– Opuszczam cię na dwa, trzy dni, Leifie – oznajmił po śniadaniu Jim. Evalie bawiła gdzieś ze swoim małym ludkiem.

– Opuszczasz? – zdumiałem się. – Co ty kombinujesz? Dokąd się wybierasz?

Roześmiał się.

– Chcę się przyjrzeć tlanu’si, jak Evalie nazywa dalan’usa, te wielkie pijawki. Wiesz, tych strażników rzecznych, co to je karzełki wpuściły do wody po zburzeniu mostu.

Evalie nie wracała do tego tematu, a ja też zupełnie o nich zapomniałem.

– Jakie one są, Indianinie?

– Właśnie chcę się przekonać. Mam wrażenie, że to wielkie pijawki tlanusa. Moi ziomkowie twierdzą, że są czerwone w białe prążki i wielkie jak dom. Mali ludzie nie posuwają się tak daleko. Mówią, że są takie duże jak ty.

– Słuchaj no, Indianinie, idę z tobą.

– O, co to, to nie.

– A to dlaczego?

– Bo mali ludzie ci nie pozwolą. Teraz ty posłuchaj, staruszk. Fakt, że nie za bardzo im się podobasz. Zachowują się uprzejmie i za skarby nie zraniliby uczuć – Evalie, ale... woleliby obejść się bez ciebie.

– To dla mnie nic nowego.

– Wiem, ale posłuchaj. Wczoraj wróciła grupa, która polowała ostatnio na drugim końcu doliny. Jeden z myśliwych przypomniał sobie, co opowiadał mu dziadek.

– Podobno kiedy Ayjirowie przybyli tu na koniach, wszyscy mieli jasne włosy, takie jak twoje, a nie rude jak teraz. To ich zaniepokoiło.

– Rzeczywiście, przez ostatnią dobę nie spuszczałaś ze mnie tych diabelskich ślepiów. Więc to dlatego!

– Dlatego. Są niespokojni. Stąd także ta ekspedycja do tlanu'si. Chcą wzmocnić straż na rzece. Zdaje się, że wiąże się z tym pewna ceremonia. Proszę, żebym poszedł z nimi sam. Lepiej ich posłucham.

– Czy Evalie wie?

– Jasne. I nie pozwoliłaby ci iść, nawet gdyby oni się zgodzili.

Okolo południa Jim wymaszerował razem z setką karzełków. Pomachałem mu wesoło na pożegnanie. Jeśli nawet Evalie dziwiła się, że przyjmuję to z takim spokojem i nie zadaję żadnych pytań, nie okazała zaskoczenia. Tego dnia zachowywała się bardzo cicho, odpowiadała mi prawie wyłącznie monosylabami i z roztargnieniem. Parę razy przyłapałem ją, jak przyglądała mi się z jakimś zagadkowym wyrazem w oczach. A raz, kiedy wziąłem ją za rękę, zadrżała, pochyliła się ku mnie – i nagle wyszarpnęła się, jakby z gniewem. Potem, gdy zły humor jej minął, oparła się na moim ramieniu, a ja z trudem powstrzymałem się od pochwylenia jej w objęcia.

Najgorsze, że nie mogłem znaleźć przeciwko temu żadnego argumentu. Jakiś wewnętrzny głos mi szeptał, że skoro tego pragnę, to czemu nie? Poza tym podszeptem mój opór podkopywało jeszcze co innego. Tego osobliwego – nawet w tym miejscu – dnia powietrze było duszne jak przed burzą, silniej przesycone aromatami odległych lasów, oblepiające nas miłośnie, niepokojąco. Welony mgieł osłaniające dalsze widoki zgęstniały, na północy przybierając nawet kolor dymu, i zdawały się napierać na nas wolno, lecz nieustannie.

Siedzieliśmy z Evalie przy jej namiocie. Po dłuższym czasie zdecydowała się przerwać milczenie. – Martwisz się, Leifie. Dlaczegoż to?

– Nie martwię się... po prostu się zastanawiam.

– Ja też się zastanawiam. Ciekawe, czy nad tym samym?

– Skąd mogę wiedzieć... Przecież w ogóle nic nie wiem o twoich myślach... Poderwała się gwałtownie.

– Lubisz patrzeć na pracę kowali. Chodźmy do nich.

Uderzył mnie gniewny ton jej głosu. Patrzyła na mnie, ściągając brwi niemal w równą

kreskę nad błyszczącymi oczami, w których dostrzegłem coś w rodzaju pogardy.

– Czemu jesteś zła, Evalie? Co takiego zrobiłem?

– Nie jestem zła. A ty nic nie zrobiłeś. – Tupnęła nogą.

– Nic, nic nie zrobiłeś, rozumiesz? Chodźmy do kowali.

I nie czekając na mnie, odeszła. Zerwałem się i poszedłem za nią. Co jej było? Na pewno nie zrobiłem nic, co by ją mogło zdenerwować. Więc? Cóż, prędzej czy później się dowiem. I naprawdę lubiłem obserwować kowali. Przy swoich małych kowadełkach wykuwali sierpy, dzidy i groty strzał, wykonywali ze złota kolczyki i bransoletki dla swych małych kobietek.

Kling-kling, kling-klang, kling-a-kling – niosło się spod małych młoteczków.

Stali przy swoich kowadłach jak krasnoludki, od których różnili się tylko foremną budową. Chociaż miniaturowi, prezentowali się znakomicie, połyskując złotawą skórą w zapadającym mroku. Długie włosy nosili owinięte wokół głów, żółte oczy utkwili w swych warsztatach. Zapomniałem o Evalie i jej gniewie. Obserwowałem ich, zafascynowany.

Klin-kling! Kling-klang! Kling...

Nagle młoteczki zatrzymały się w powietrzu. Mali kowale znieruchomieli. Z północy odezwał się wielki gong. Jego spizowy dźwięk zdawał się walić wprost na nasze głowy. Wkrótce rozległ się następny. I jeszcze jeden. I jeszcze. Nad równiną zawodził wiatr. Nastąpiła jeszcze większa ciemność. Dymne mgły drgnęły i przybliżyły się.

Odgłosy gongów ustąpiły śpiewowi. Rozbrzmiał silny, wielogłosowy chór, który to wzmacniał się, to słabł, podnosił się i opadał zgodnie z porywami wiatru, w rytmicznym pulsowaniu. Ze wszystkich murów strażę uderzyły na alarm.

Mali kowale zostawili młotki i popędzili do swych legowisk. Nad całą równiną słychać było zgiełk i gwałtowne poruszenie karzełek biegących ze wszystkich stron do swych jaskiń, a także do półkulistego wzgórza, by zasilić szeregi wojowników.

Przez donośny głos chóru przebijały się bębny. Znałem ten dźwięk... to dudnienie ujugurskich kotłów, bębnów wojennych. I znałem tę pieśń... wojenną, bitewną pieśń Ujgurów. Nie tych Ujgurów, których wiodłem przez oazę, nie, nie tych wynędzniałych obszarpańców! Wojenna pieśń starożytnej rasy! Wielkiej rasy... Ajjirów! Starej rasy! Mojej!

Znałem tę pieśń... O, jak dobrze ją znałem! Jak często słuchałem jej za dawnych czasów... kiedy szedłem w bój... Na Zardę Żądnych Krwi Dzid! Na Zardę boga rycerzy! Zaiste, ta pieśń jest niczym napój dla zaschniętego gardła...

Krew waliła mi w uszach jak bęben... Moje gardło sposobilo się do wyrzucenia z siebie tej pieśni w potężnym ryku...

– Leifie, Leifie, co się z tobą dzieje? Ręce Evalie na moich ramionach. Potrzęsają mną. Spoglądam na nią szklanym wzrokiem, przez chwilę nic nie rozumiejąc. Kim jest ta czarnowłosa dziewczka, która czepia się mnie, gdy ruszam w bój?... I nagle obłęd minał. Trząsałem się, jakby

przez mój umysł przetoczyła się raptem jakaś krótka, lecz dziko gwałtowna burza. Położyłem ręce na dłoniach przytrzymujących moje ramiona, by poczuć realność ich dotyku. Zobaczyłem w oczach Evalie rozbawienie połączone z pewną obawą. Mali ludzie otaczali nas pierścieniem, nie spuszczać ani na moment czujnych oczu.

Potrząsałem głową, z trudem łapiąc powietrze. – Leifie! Co z tobą?

Nim zdołałem odpowiedzieć, śpiew i bębnienie utonęły w huku gromu. Nad równiną rozlegał się jeden grzmot za drugim, powracając echem, odpierając dźwięki z północy, głuszac je, przetaczając się nad nimi.

Rozglądałem się wokół błędnym wzrokiem. Wzdłuż podnóża skał roilo się od karzełków, setek karzełków, walących w wielkie bębny sięgające im do pasa. To one były źródłem tych przeraźliwych grzmotów, ogłuszającego dudnienia i huku, jakby z nieba padał w błyskawicznym tempie jeden piorun za drugim.

Gromowe bębny małych ludzi!

Huk bębnów trwał i trwał, a jednak przez ich rozkołysany diapazon przebijała się wciąż bojowa pieśń i odgłos tych innych bębnów... jak pchnięcia lanc... jak tętent koni i tupot nóg maszerujących mężczyzn... Na Zarde, jakaż moc w tej starej rasie!

Mali ludzie tańczyli otaczając mnie kołem, najpierw pojedynczym, potem podwójnym. Za tym pierścieniem zobaczyłem szeroko otwarte, zdumione oczy Evalie. Ją też otaczali ciasno mali wojownicy ze strzałami w pogotowiu i zakrzywionymi nożami w rękach.

Czemu mnie tak obserwuje... czemu broń małych ludzi zwrócona jest w moją stronę? Czemu oni tańczą? To jakiś dziwny taniec... przyprawia człowieka o senność... Co za letarg mnie ogarnia? Boże, ależ jestem śpiący! Tak śpiący, że nawet głos gromowych bębnów słabo do mnie dociera... Spać... nic już nie słyszę... spać...

Pamiętam jak przez mgłę, że opadłem na kolana, zwałem się na miękką murawę... wreszcie zasnąłem.

Obudziłem się. Wszystkie moje zmysły były wyczulone do granic możliwości. Wszędzie wokół mnie nadal bito w bębny, ale już nie te gromowe, tylko śpiewające, pulsujące rytmicznie jakąś dziwnie wesołą pieśnią, która przyśpieszała krążenie krwi i niosła radość. Te żywe, rozśpiewane dźwięki były jak ciepłe, życiodajne podmuchy, które sprawiają, że człowiek zachłystuje się życiem. Zerwałem się na nogi. Stałem na wysokim kopcu, zaokrąglonym jak kobieca pierś. Na równinie, jak okiem sięgnąć, płonęły ogniska otaczające małe ołtarzyki. Wokół tych ognisk płąsali w rytm bębnów mali ludzie. Tańczyli i podskakiwali jak małe złote, zbudzone do życia płomyczki.

Mój pagórek otaczał potrójny pierścień karzełków, mężczyzn i kobiet, podrygujących w tańcu, przeplatających się, rozkołysanych.

Stanowili jedność – oni i ten rytm. Nad pagórkami powiewał łagodny, przesycony

aromatami wietrzyk. Jego szum wtórował tańczącym karzełkom i muzyce bębnów.

W przód i w tył... I raz dokoła... W przód i w tył... I znów od początku... Złotoskóre karzełki nie ustawały w swym wirowaniu wokół wzgórza. Raz dokoła, raz dokoła... i jeszcze raz wokół ognistych pierścieni ołtarzyków...

Wtem usłyszałem cichy, melodyjny śpiew... kadencję powielającą ton bębnów. Wyśpiewującą taniec małych ludzi. Blisko wzgórzka, na którym stałem, był drugi, podobny. Jak druga strzelista pierś górująca nad równiną. Również otoczona tańczącymi karzełkami. Pośrodku tańczyła i śpiewała Evalie. Jej śpiew był duszą pieśni bębnów i tańca... Jej taniec – sublimacją jednego i drugiego. Tańczyła na szczycie, odrzuciwszy pajęczą zasłonę i przepaskę, okryta tylko jedwabistym płaszczem granatowoczarnych włosów.

Przyzywała mnie gestem dłoni, nawoływała wysokim, melodyjnym głosem.

Zbiegłem ze wzgórza, popychany ku niej porywem wonnego wiatru.

Mali ludzie rozstąpili się przede mną. Bębny uderzyły szybszymi rytmami. Melodia skoczyła o oktawę wyżej.

Evalie tanecznym krokiem wyszła mi naprzeciw. Była przy mnie, jej ramiona oplatały mi szyję, usta szukały moich...

Bębny przyśpieszyły jeszcze bardziej. Dorównywał im mój puls.

Dwa pierścienie złotych płomyków życia połączyły się w jedno wirujące koło posuwające nas do przodu. Dookoła, dookoła, wciąż dookoła, z nami w środku, w rytm bębnów. Nie myślałem już o niczym... Pochłonał mnie łoskot bębnów, ich pieśń, taniec...

A jednak zdawałem sobie sprawę, że ten wonny wiatr popycha nas ciągle i ciągle naprzód, pieszczotliwy, szepczący, rozchichotany...

Zatrzymaliśmy się przy owalnych wrotach. Jedwabiste, pachnące włosy Evalie całowały mnie, rozwiewane na wietrze. Zewsząd dudniły bębny. Łoskot bębnów i wiatr gnały nas naprzód, aż znaleźliśmy się w świątyni małych ludzi.

Błysnęły zielenią miękkie mchy... Zalśnił w mroku ametystowy krzyż...

Jej ręce na mojej szyi... Evalie w mych ramionach... Dotyk jej warg na moich, jak słodki, sekretny ogień życia...

W świątyni małych ludzi zalegała cisza. Bębny umilkły. Nad niecką Krakena połyskiwał słabo zapętlony krzyż.

Evalie poruszyła się przez sen i krzyknęła. Dotknąłem jej warg i obudziła się.

– Co się stało, Evalie?

– Leifie... Ukochany... Śniło mi się, że biały sokół próbuje ugodzić mnie w serce...

To tylko sen, Evalie.

Zadrżała. Podniosła się na łokciu i pochyliła nade mną, tak że jej włosy okryły nas oboje.

– Odpędziłeś sokoła... Ale wtedy pojawił się biały wilk... Rzucił się na mnie...

– To tylko sen, Evalie, jasny płomieniu mego serca!

Pochyliła się niżej. Jej usta pod namiotem z włosów znalazły się tuż przy moich.

– Wilka też odpędziłeś. I... chciałam cię pocałować, ale rozdzieliła nas twarz...

– Twarz?

– Twarz Lur! Drwiła ze mnie! – wyszeptwała. – A potem... odszedłeś... z nią! I zostałam sama...

– Co za kłamliwy sen! Śpij, ukochana!

Westchnęła. Nastąpiła długa cisza. Wreszcie odezwała się sennym głosem:

– Co takiego nosisz na szyi, Leifie? Czy to pamiątka po jakiejś kobiecie?

– Po żadnej kobiecie. Naprawdę.

Pocałowała mnie i usnęła.

Jakiż głupiec ze mnie, że nie powiedziałam jej prawdy wtedy, pod osłoną starożytnego symbolu... Głupiec! Skończony głupiec!

## Rozdział XII NA MOŚCIE NANSUR

Kiedy rankiem wyszliśmy ze świątyni, okazało się, że tłumek dorosłych mężczyzn i kobiet czeka cierpliwie na nasze pojawienie. Pomyślałem, że to ci sami, którzy odprowadzali mnie, kiedy udawałem się tam za pierwszym razem.

Małe kobietki otoczyły Evalie. Przyniosły z sobą jakieś woale i owinęły ją od stóp do głów. Odeszła, zagarnięta przez swój orszak, nie obdarzywszy mnie ani jednym spojrzeniem czy słowem. Wyglądało to jak swego rodzaju ceremonia: oblubienica prowadzona przez orszak miniaturowych, lecz dojrzałych kobiet.

Mną zajęli się mężczyźni. Był wśród nich i Tri. Ucieszyłem się, gdyż wiedziałem, że w przeciwieństwie do innych, on na pewno nie ma co do mnie wątpliwości. Kazali mi pójść ze sobą i usłuchałem bez wahania.

Padał deszcz i było parno niczym w dżungli, choć wiatr znowu dał w regularnych, rytmicznych porywach. Zresztą nie tyle może padało, co po prostu para zawieszona w powietrzu spływała na ziemię grubymi kroplami. Chyba że akurat wiatr silniej dmuchnął – wówczas krople tworzyły długie, równe strugi. Powietrze upajało jak mocne wino. Miałem chęć śpiewać i tańczyć. W pobliżu krążyła burza, waliły tym razem nie bębny, lecz prawdziwe pioruny.

Miałem na sobie tylko koszulę i spodnie. Wysokie do kolan buty zmieniłem na sandały. Po paru minutach przemokłem na wylot. Doszliśmy do parującego stawku i stanęliśmy. Tri kazał mi się rozebrać i zanurzyć w wodzie.

Kąpiel była gorąca i ożywcza. Czuję się z każdą chwilą lepiej. Pomyślałem, że cokolwiek mali tubylcy mieli na myśli, prowadząc Evalie i mnie do świątyni – ich obawy co do mojej osoby ustąpiły, niczym po egzorcyzmach. W każdym razie na jakiś czas. Ale chyba wiedziałem, o co im mogło chodzić. Podejrzewali, że Kalk'ru ma nade mną jakąś władzę, podobnie jak nad ludźmi, których im przypominałem. Niekoniecznie dużą władzę – ale przynajmniej taką, z którą należało się liczyć. No i dobrze. Ponieważ nie mogli mnie zabić, nie raniąc uczuć Evalie, uznali, że powinni unieszkodliwić mnie tak, jak to uczynili z Krakenem, symbolem Kalk'ru. Zrobili to przy pomocy Evalie.

Wyszedłem z sadzawki bardziej zamyślony, niż kiedy do niej wchodziłem.

Owinęli mi wokół bioder kawał materiału ułożonego w jakieś dziwaczne fałdy i węzły. Potem zaczęli coś ćwierkać, śmiali się i tańczyli.

Tri miał moją odzież i pas. Nie chciałem ich stracić, więc gdy wyruszyliśmy, trzymałem się blisko niego. Wkrótce stanęliśmy u wejścia do jaskini Evalie.

Po chwili zauważyłem wielkie poruszenie, rozległy się śpiewy i bicie w bębny. Otoczona tłumem płaszących kobiet nadchodziła Evalie. Podprowadziły ją do mnie – i odeszły, cały czas



wykonując taneczne ruchy.

No i tyle tego. Ceremonia, jeśli można to tak określić, dobiegła końca. Ale z jakiegoś powodu czułem się bardzo, bardzo żonaty.

Spojrzałem Evalie w oczy. Odwzajemniła mi się poważnym spojrzeniem. Nie miała już rozpuszczonych włosów, tylko splecione w warkocz i przemyślnie upięte wokół głowy, uszu i na karku. Tkanina, w którą była owinięta, zniknęła. Nosiła teraz mały fartuszek, jak tutejsze matrony, i srebrzysty, cieniutki woal. Roześmiała się – i chwyciwszy mnie za rękę, wprowadziła do jaskini.

Wczesnym popołudniem następnego dnia usłyszeliśmy głos trąb dobiegający z dość bliskiej odległości. Rozbrzmiewały donośnie i długo, jakby kogoś przyzywały. Wyszliśmy na deszcz, by lepiej słyszeć. Zauważyłem, że wiatr zmienił się z północnego na zachodni. Wiał teraz silnie i nie ustawał ani na chwilę. Wiedziałem już, że akustyka tutaj jest szczególna i nie ma sposobu, by określić dokładnie, jak daleko od nas znajdują się trąby. Oczywiście, musiało to być na tamtym brzegu, ale jaka odległość dzieliła od rzeki warowne wzgórze karzełeków, nie wiedziałem. Na murach dało się zauważyć pewne poruszenie, ale niezbyt duże.

Trąby ryknęły po raz ostatni, ochryple, urągliwie. Zaraz potem rozległ się gromki śmiech, jeszcze bardziej szyderczy z powodu swego ludzkiego brzmienia. Aż mnie poderwało. Przed oczyma miałem czerwoną mgłę.

– To Tibur – odezwała się Evalie. – Przypuszczam, że polował razem z Lur. Chyba śmiał się z... ciebie.

Skrzywiła się lekceważąco, ale w kącikach warg czaił się uśmiech. Widziała, że jeszcze trochę, a szlag mnie trafi.

– Słuchaj no, Evalie. Kto to jest ten Tibur?

– Mówiłam ci. Tibur Kowal. Panuje nad Ayjirami z Lur. Zawsze przychodzi, kiedy tylko znajdę się na Nansurze. Gawędzimy sobie... często. Jest silny... och, jaki silny!

– Taak? – Wściekłem się jeszcze bardziej. – I czemuż to Tibur się zjawia, gdy ty tam jesteś?

– Cóż... Ponieważ oczywiście mnie pożąda – odparła ze spokojem.

Moja niechęć do Tibura Śmiacza wzrosła jeszcze bardziej. – Wątpię, czy będzie się śmiał, kiedy go po swojemu przywitam – wycodziłem przez zęby.

– Coś ty powiedział?

Wytłumaczyłem najlepiej, jak umiałem. Kiwnęła głową i zaczęła mówić... i nagle zobaczyłem, jak jej oczy rozszerzają się z przerażenia. Usłyszałem nad głową szum skrzydeł.

Prosto z mgły wyfrunął wielki ptak i zawisł w powietrzu jakieś pięćdziesiąt stóp nad nami, wbijając w nas złowieszcze, żółte ślepia. Wielki ptak... biały sokół! Biały sokół Czarownicy!

Wepchnąłem Evalie do jaskini i przyjrzałem się ptakowi. Zatoczył nade mną trzy kręgi, po czym z krzykiem wzleciał w mgłę i zniknął.

Poszedłem do Evalie. Siedziała w kucki na legowisku ze skór. Rozpuściła włosy. Okrywały ją teraz jak płaszcz.

Pochyliłem się i rozgarnąłem je. Płakała. Zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się mocno, z całej siły. Czułem, jak jej serce wali tuż przy moim.

– Evalie, ukochana... nie ma się czego bać!

– Bia... biały sokół!

– To tylko ptak.

– Nie... Lur go nasłatała...

– Nonsens, czarnulko. Ptaki fruują, gdzie chcą. Było polowanie. Mógł się zagubić we mgle...

Potrząsnęła głową.

– Ale, Leifie... przecież śnił mi się biały sokół...

Trzymałem ją w ciasnym uścisku. Po chwili odepchnęła mnie z uśmiechem. Lecz tego dnia nie zazналиśmy już wesołości. W nocy rzucała się przez sen, przyciskała do mnie, to znów krzyczała, mamrocząc coś niewyraźnie.

Następnego dnia wrócił Jim. Czułem się w związku z tym odrobinę nieswojo. Co sobie o mnie pomyśli? Nie musiałem jednak się martwić. Kiedy wyłożyłem karty na stół, nie okazał żadnego zdziwienia.

Nagle uświadomiłem sobie, że mali ludzie przekazywali sobie wiadomości za pomocą bębnow. Pewnie mu już wszystko opowiedzieli.

– No i dobrze – zauważył, kiedy skończyłem. – Skoro masz tu zostać, tak będzie najlepiej dla was obojga. Jeśli się wydostaniesz, zabierzesz Evalie ze sobą... a może nie?

Ubodły mnie te słowa.

– Słuchaj, Indianinie, nie podoba mi się ten ton. Ja ją kocham.

– W porządku, ujmę to inaczej. Czy kocha ją także Dwayanu?

Jakby mnie wyrznął w pysk. Już miałem mu się odciąć, kiedy wbiegła Evalie. Podeszła prosto do Jima i go ucałowała. Poklepał ją po ramieniu i objął jak starszy brat. Zerknęła w moją stronę, po czym mnie też pocałowała, ale niezupełnie tak jak Jima.

Spojrzałem na niego ponad jej głową. Nagle spostrzegłem, że jest mizerny i wyczerpany.

– Dobrze się czujesz, Jim?

– Jasne! Tylko trochę zmęczony. Widziałem... różne rzeczy.

– Co masz na myśli?

– Cóż... – zawahał się. – Po pierwsze tlanu'si, te duże pijawki. Gdybym nie zobaczył na własne oczy, nigdy bym nie uwierzył, że coś takiego istnieje. A gdyby się to stało, zanim

zanurziliśmy się w rzece, mógłbym uznać wilki za gruchające gołąbki.

Podobno rozbili tamtej nocy obóz na drugim końcu równiny.

To miejsce jest większe, niż nam się zdawało, Leifie. Na pewno. Zrobiłem więcej mil, niż gdyby równina miała rzeczywiście taką powierzchnię, jak myśleliśmy przechodząc przez miraż. On ją ukazywał w skrócie perspektywicznym, zmylił nas.

Następnego dnia przedzierali się przez knieje i dżungłę, gaje bambusowe i moczary. Wreszcie znaleźli się nad oparzeliskiem. Biegła przez nie grobla prowadząca do drugiej, położonej prostopadle. W miejscu ich przecięcia wznosił się nad bagnem szeroki, okrągły kopiec. Tu się zatrzymali i rozniecili ognisko z suchych gałęzi i chrustu. Po całym trzęsawisku rozszedł się powoli gęsty, aromatyczny dym. Przy buzującym ogniu karzełki uderzyły w bębny, wydobywając z nich dziwne, synkopowane rytmy. Nie minęło wiele czasu, gdy w bagnie koło kopca coś się poruszyło.

– Między mną a skrajem grzęzawiska stał kordon karzełków – opowiadał Jim. – Pogratulowałem sobie tego, gdy ujrzałem, co wypełzło na brzeg. Najpierw błoto spęczniało tworząc wypukłość. Potem zobaczyłem grzbiet czegoś, co z początku wziąłem za olbrzymiego, czerwonego ślimaka. Wylazł z błota i wyczołgał się na ląd. Rzeczywiście była to pijawka i nic więcej, ale rzygać mi się chciało, kiedy na nią patrzyłem. Wszystko przez jej rozmiary. Musiała mieć ze siedem stóp długości. Leżała tam, ślepa, trzęsąca się, z rozchylonym pyskiem, wsłuchując się w odgłos bębnów i rozkoszując tym wonnym dymem. Potem zjawiła się następna i jeszcze jedna, aż wreszcie było ich koło setki, ułożonych w półkole, zwróconych w naszą stronę głowami bez oczu. Wdychały chciwie dym i podrygiwały w takt bębnów.

Część karzełków wstała. Wyciągnęli z ognia płonące patyki i ruszyli przez groblę, bijąc po drodze w bębny. Inni gasili ogień. Pijawki popęzły wijąc się za tymi, którzy nieśli żagwie. Reszta małych ludzi zaganiała je w stado jak trzodę. Ja trzymałem się z tyłu. Szliśmy tak aż do brzegu rzeki. Ci z przodu przestali wtedy bębnić. Wrzucili do wody tłące się patyki, a w ślad za nimi pełne garście rozgniecionych jagód, ale nie tych, którymi Tri i Trą nas nacierali. Te były czerwone. Pijawy popęzły zaraz do rzeki, jak przypuszczam, za tym dymem i zapachem jagód. W każdym razie wszystkie wlały do wody. My ruszyliśmy z powrotem. Zostawiliśmy za sobą bagno. Nocowaliśmy na jego obrzeżu. Całą noc mali ludzie porozumiewali się za pomocą bębnów. Zresztą poprzedniej nocy też. Byli niespokojni, ale myślałem, że trapiło ich to samo co przed tą wyprawą. Musieli wiedzieć, co się dzieje, ale jeszcze mi nic nie mówili. Jednakże rano zauważyłem, że są weseli i radośni. Wiedziałem, że coś się musiało wydarzyć, że w ciągu nocy otrzymali dobre wieści. Są tak prostoduszni, że mi powiedzieli, może nie takimi słowami jak ty, ale sens był ten sam. – Odkasznął. – Rankiem przypędziliśmy jeszcze ze dwie setki tlanu'si i wpuściliśmy je tam, gdzie jak sądzą mali ludzie, mogą się najbardziej przydać. Potem wyruszyliśmy w powrotną drogę – no i jestem.

– Tak. I to wszystko? – spytałem podejrzliwie.

– W każdym razie na dziś – odparł. – Spać mi się chce. Idę się wyciągnąć. Zabierz Evalie i zostaw mnie w spokoju aż do rana.

Pozwoliłem mu zasnąć, zdecydowany, że rano wycisnę z niego wszystko, co jeszcze miał w zanadrzu. Naprawdę nie sądziłem, by jego zmęczenie spowodowały tylko trudy marszu i pijawki.

Rano jednak wszystko wyleciało mi z głowy.

Po pierwsze, kiedy się zbudziłem, nie było przy mnie Evalie.

Poszedłem do namiotu w poszukiwaniu Jima. Jego też nie było. Mali ludzie dawno opuścili swe legowiska i zajęli się pracą. Zawsze pracowali rankami, natomiast popołudnia i wieczory spędzali na biciu w bębny i tańcach. Oznajmili mi, że Evalie i Tsantawu udali się na naradę ze starszyzną. Wróciłem do namiotu.

Niedługo się pojawili. Evalie była blada i miała podkrążone oczy. I w dodatku wilgotne od łez. Poza tym była wściekła jak sto diabłów. Jim robił, co mógł, by ją rozweselić.

– Co jest? – spytałem.

– Czeka cię mała podróż – rzekł Jim. – Podobno chciałeś zobaczyć Nansur?

– Chciałem.

– To dobrze. Właśnie tam idziemy. Lepiej włóż coś praktycznego i dobre buty. Jeśli nasza trasa jest choć w części taka jak ta, którą przebyłem, będą ci potrzebne.

Małym ludziom łatwo się prześliznąć przez różne miejsca, my jesteśmy inaczej zbudowani.

Przyglądałem się im, zaintrygowany. Oczywiście, chciałem zobaczyć ten most, ale dlaczego fakt, że tam idziemy, tak dziwnie wpłynął na ich zachowanie? Ująłem Evalie pod brodę.

– Płakałaś. Dlaczego?

Potrząsnęła głową. Wysunęła się z mych ramion i weszła do jaskini. Poszedłem za nią. Pochylona nad skrzynią, wyciągała z niej całe zwoje przejrzystej materii. Złapałem moją panią i podniosłem tak wysoko, że nasze oczy znalazły się na tym samym poziomie. – Co się stało, Evalie? Poraziła mnie nagła myśl. Opuściłem Evalie na ziemię.

– Kto zaproponował tę wyprawę?

– Mali ludzie. Starszyzna. Walczyłam. Nie chcę, żebyś tam szedł, ale powiedzieli, że musisz.

– Ja? Muszę? – Zaczynałem rozumieć. – Wobec tego ty nie potrzebujesz iść z nami. Ani Tsantawu. Chyba że chcecie?

– Niech spróbują mnie powstrzymać! – Tupnęła nogą ze złością.

Wszystko było jasne jak słońce. Zaczynali mnie denerwować ci mali ludzie. Dokładni do przesady! Doskonale teraz wiedziałem, po co mam tam iść. Karzełki nie były pewne, czy do

końca podziały na mnie ich czary – łącznie z Evalie. Wobec tego chcieli, bym popatrzył sobie na siedzibę wroga, a oni obserwowaliby moją reakcję. Cóż, jak dotąd – w porządku. Może będzie tam Czarownica. Może Tibur... Tibur, który pożąda Evalie... Który się ze mnie wyśmiewał...

Nabrałem ochoty na tę wyprawę.

Zacząłem się ubierać w stare ciuchy. Sznurując buty, spojrzałem kątem oka na Evalie. Zdażyła już upiąć włosy, przykryć je czepkiem i zawinąć się cała w cienką jak mgiełka tkaninę. Teraz sznurowała sandały zakrywające jej stopy i łydki tak dokładnie jak buty. Na moje zdziwione spojrzenie odpowiedziała słabym uśmiechem. – Nie lubię, jak Tibur mi się przygląda... Nie teraz!

Wziąłem ją w ramiona. Jej pocałunek niemal rozgniółł mi wargi.

Przed wyjściem czekał Jim i może z pół setki karzełek.

Ruszyliśmy przez równinę na przełaj, zostawiając za sobą skały. Kierowaliśmy się na północ, do rzeki. Pokonaliśmy zbocze mijając jedną z wież i znaleźliśmy się na wąskiej ścieżce, jak ta, którą po raz pierwszy zdążyliśmy do kraju małych ludzi. Wiodła dokładnie przez taki sam gąszcz paproci. Szliśmy gęsiego i przeważnie w milczeniu. Wreszcie dotarliśmy do dróżki wijącej się przez gęsty, świerkowy las. Wędrowaliśmy nią godzinę lub dłużej, bez odpoczynku. Karzełki były niezmordowane. W pewnym momencie spojrzałem na zegarek. Wyruszyliśmy przed czterema godzinami i przebyliśmy jakieś dwanaście mil. Nie natrafiliśmy na ślad jakichkolwiek ptaków czy zwierząt.

Evalie wydawała się pogrążona w rozmyślaniach. Jim popadł w jeden ze swych indiańskich nastrojów i nie odzywał się. Ja też nie miałem ochoty na gadanie. Tak więc wyprawa odbywała się w milczeniu, nawet mali ludzie nie szczebiotali jak zwykle. Zatrzymaliśmy się przy źródle, by napić się wody. Jeden z karzełek wyciągnął mały, cylindryczny bębenek i zaczął wystukiwać jakąś wiadomość. Wkrótce doczekał się odpowiedzi.

I znów podjęliśmy wędrowkę. Las zaczynał rzednąć. Po lewej stronie, głęboko w dole prze błysk i wała już rzeka. Na drugim brzegu widać było gęsty las. Wreszcie wyszliśmy spośród świerków na skalisty grunt. Przed sobą mieliśmy występ skalny, który zasłaniał nam dalszy widok na białą rzekę. Karzełki zatrzymały się i wysłały kolejną wiadomość. Odpowiedź dobiegła z zaskakująco bliskiej odległości. Nagle wokół urwiska załśniły czubki wysuniętych do połowy dzid. Grupka małych wojowników przyglądała się nam bacznie. Na ich sygnał ruszyliśmy naprzód.

Zboczem urwiska wiodła w górę szeroka droga, która z łatwością pomieściłaby jadących obok siebie sześciu konnych. Wspięliśmy się nią na szczyt. W tym momencie ujrzałem most Nansur i wieże Karaku.

Ongiś, przed setkami tysięcy lat, była tu zapewne nieduża góra stercząca z dna doliny.

Nanbu, ta biała rzeka, przebiła się przez nią, zostawiając tylko na samym szczycie żyłę czarnej, litej skały.

Nanbu płynęła sobie i płynęła, wgryzając się coraz mocniej w bardziej ustepliwe kamienne podłoże, aż wreszcie jej brzegi spiął gagatowy łuk. Nad otchłanią wód zawisł gigantyczny naturalny most w kształcie łukowatego toru strzały.

Podstawą mostu po obu stronach rzeki były płaskowzgórza wyrzeźbione tak jak Nansur z oryginalnej góry. Na szczycie wzgórza po przeciwnej stronie wznosił się olbrzymi, czworograniasty słupek z tej samej czarnej skały co Nansur, prawdopodobnie wykuty z niej w całości. Zajmował, jak sądziłem, około pół mili kwadratowej. Sterczały z niego rozmaite wieże i wieżyczki, zarówno czworościenne, jak okrągłe. Otaczały go mury.

W tej niebosiężnej, czarnej cytadeli było coś, co poraziło mnie tym samym przecuciem, jakiego doświadczyłem przy wjeździe do zrujnowanej oazy na Gobi. Twierdza kojarzyła mi się z miastem Dis, które Dante na moment zobaczył w Hadesie. Starożytność spowijała ją jak żalobny welon.

Wtem zauważyłem, że Nansur jest przerwany. Między częściami łuków wyrastających po obu brzegach ziała dziura. Wyglądało to na robotę jakiegoś gigantycznego młota, który spadł na środek mostu i go zgruchotał. Przypomnił mi się Bifrost, [W mitologii skandynawskiej: most z tęczy, łączący ziemię z Asgardem, siedzibą Ezyrów.] po którym galopowały walkirie, uwożąc rycerskie dusze do Valhali. Pomyślałem, że zburzenie Nansuru jest tak wielkim bluźnierstwem, jakim byłoby zburzenie Bifrostu.

Wokół twierdzy, na zewnątrz murów, stały setki innych budynków z szarego i brązowego kamienia, otoczone dużymi ogrodami. Za miastem we wszystkich kierunkach widać było pola uprawne i mnóstwo kwitnącej roślinności. Widziałem też szeroką drogę, ciągnącą się daleko, aż do skał ginących w zielonej mgle. Zdawało mi się, że na jej końcu dostrzegłem czarny otwór jaskini. – Karak! – szepnęła Evalie. – I Nansur! I... och, Leifie, mój ukochany... jakże mi ciężko na sercu... jak ciężko...

Ledwie ją słyszałem, cały pochłonięty widokiem Karaku. Poruszyły się we mnie tajemne wspomnienia. Zdusiłem je i objąłem Evalie ramieniem. Kiedy podeszliśmy bliżej, zrozumiałem, czemu Karak zbudowano właśnie w tym miejscu. Forteca na drugim brzegu kontrolowała obydwie wyloty doliny, a kiedy Nansur był cały, również dojście do niego.

Nagle poczułem gwałtowny impuls, by wbiec na most i popatrzeć na Karak ze zburzonego końca. Denerwowała mnie powolność karzełków. Wysunąłem się do przodu i zaraz oddział zacieśnił krąg. Szepotali coś między sobą, wpatrując się we mnie żółtymi oczami. Odezwały się bębny. Z cytadeli odpowiedziały im trąby. Przyśpieszyłem kroku. Kierowałem się prosto na Nansur. Ogarnął mnie gorączkowy zapach. Miałem ochotę biec. Odepchnąłem karzełki z drogi. Usłyszałem ostrzegawczy głos Jima:

– Spokojnie, Leifie, spokojnie! Nie zważałem na niego. Wpadłem na most. Jak przez mgłę zauważyłem, że jest dość szeroki, że ma brzegi zabezpieczone niskimi parapetami, a środek przystosowany dla jeźdźców i pieszych. Jeśli nawet był wytworem natury, dzieła dokończyły ręce Judzi.

Dotarłem do miejsca przerwania mostu. Sto stóp pode mną biała rzeka gładko toczyła swe wody. Węży nie widziałem. Z mleczej toni wynurzyło się nagle czerwone, monstualne cielsko z otwartym okrągłym pyskiem. Po nim następne... i następne... Pijawki małych ludzi trwały na swych stanowiskach.

Mury fortecy oddzielał od podstawy mostu szeroki, pusty plac. W murze osadzono wielkie spiżowe wrota. Czułem w sercu jakiś dziwny skurcz. Suchość w gardle... Zapomniałem o Evalie. O Jimie też. Zapomniałem o wszystkim. Liczyły się tylko te wrota.

Ryknęły trąby. Z wnętrza dobiegł dźwięk odsuwanych zasuw. Otwarto wrota. Wypadła przez nie galopem drużyna prowadzona przez dwoje jeźdźców – na karym i na siwym koniu. Przemknęli przez plac, zsiadli z koni i podeszli do mostu. Stanęliśmy twarzą w twarz nad pięćdziesięciostopową wyrwą.

Okazało się, że na karym koniu jechała Czarownica, na siwym zaś ten, który, jak wiedziałem, nazywał się Tibur Kowal, Tibur Śmiacz. Nie obchodziła mnie wówczas Czarownica i jej orszak. Widziałem tylko Tibura.

Był ode mnie niższy o głowę, lecz sądząc z potężnych barów i masywnej budowy, silny jak ja albo i silniejszy. Proste, rude włosy sięgały mu ramion, nosił też brodę. Jego fiołkowe oczy otaczała siateczka zmarszczek, które podobnie jak pełne, rozchylone wargi świadczyły, że rzeczywiście musiał się często śmiać. Ale śmiech, który naznaczył charakterystycznymi kreseczkami oblicze Tibura, nie należał raczej do gatunku świadczącego o dobroduszości.

Miał na sobie kolczugę. Z lewej strony zwisał mu olbrzymi, wojenny młot. Obrzucił mnie z góry na dół szyderczym spojrzeniem przymrużonych oczu. Jeśli nienawidziłem Tibura, nim się z nim zetknąłem, było to nic w porównaniu z tym, co czułem teraz.

Przeniósłem wzrok na Czarownicę. Dosłownie pożerała mnie szafirowymi oczami. Malowała się w nich ciekawość, ale i rozbawienie. Ona też nosiła kolczugę, na którą opadały rude warkocze. Orszak nie wyróżniał się niczym szczególnym i mnie nie interesował.

Tibur wysunął się do przodu.

– Witaj, Dwayanu! – zawołał drwiąco. – Cóż to cię wywabiło z jamy? Może moje wyzwanie?

– Więc to twoje ujadania słyszałem wczoraj? Hai, – przynajmniej szczekałeś z bezpiecznej odległości, rudy psie!

W orszaku Czarownicy rozległy się śmiechy. Zorientowałem się, że otaczają ją kobiety, blondynki i rudowłose jak ona. Tiburowi towarzyszyło dwóch mężczyzn. Sama Czarownica nie

reagowała, tylko nadal wpatrywała się we mnie dziwnym, pełnym namysłu wzrokiem.

Tibur posiniał na twarzy. Jeden z jego ludzi pochylił się do niego i coś szepnął. Tibur skinął głową i zawołał buńczucznie:

– Czyżbyś sflaczał podczas swych wędrówek? Trzeba cię prastarym obyczajem poddać próbie naszych przodków, nim uznamy w tobie wielkiego Dwayanu. Stawaj!

Ujął młot i cisnął nim w moją stronę.

Leciał na mnie ze świstem i prędkością pocisku, wydało mi się jednak, że nie dość szybko. Mogłem nawet dostrzec rzemień, którym był przymocowany do Tiburowego ramienia.

W moim mózgu zaczęły się uchylać małe drzwiczki... Próba przodków... Hai! Znałem tę zabawę. Czekałem nieruchomo, jak nakazywał stary obyczaj. Przecież powinni mi dać tarczę... Nieważne... Jak wolno leci ten młot... I chyba moja ręka, wysunięta, by go złapać, porusza się tak samo wolno...

Złapałem. Musiał ważyć ze dwadzieścia funtów, a jednak złapałem go fachowo, bez wysiłku, za metalowy trzonek. Hai! Ale czyż nie znałem tej sztuczki? Drzwiczki otwierały się coraz szerzej... Wiedziałem, co mam teraz zrobić. Chwyciłem drugą ręką za rzemień i szarpnąłem do siebie.

Tibur zachwiał się nad wyrwą w Nansurze. Śmiech zamarł mu na ustach. Z tyłu dobiegały mnie piskliwe krzyki karzełków.

Czarownica machnęła nożem i odcięła rzemień. Odepchnęła Tibura od krawędzi. Zawrzałem gniewem. Nie takie były reguły gry. Według starego obyczaju powinni brać w niej udział tylko wyzywający i wyzywany. Nikt poza tym.

Zakręciłem młotem młynka nad głową i cisnąłem w Tibura. Poleciał ze świstem, z wyprostowanym rzemieniem. Śmiacz rzucił się w bok, ale nie dość szybko. Młot trafił go w ramię. Ześliznął się, ale dosięgnął celu. Teraz ja się roześmiałem na całe gardło. Czarownica wychyliła się do przodu. Chłodny namysł w jej oczach ustąpił niedowierzaniu. Nie była już rozbawiona, o, nie! Natomiast Tibur poderwał się na jedno kolano i utkwiał we mnie wzrok. Kreseczki wokół jego oczu skurczyły się. Nie kojarzyły się już wcale z wesołością.

Kolejne drzwiczki otworzyły mi się w głowie. Nie wierzą, że jestem Dwayanu?... Ha! Ja im pokażę! Sięgnąłem do kieszonki przy pasie. Wyszarpnąłem woreczek z kozłej skóry i wydobyłem pierścień Krakena. Podniosłem go w górę. Lśniący zielonkawym blaskiem żółty kamień zdawał się rozszerzać wraz z czarną ośmiornicą...

– I co? Jestem Dwayanu czy nie? Spójrzcie tylko!

Jestem?

Rozległ się kobiecy krzyk... Poznałem ten głos. Potem krzyczał mężczyzna, krzyczał coś do mnie – i ten głos też był mi znajomy. Drzwiczki się zatrzasnęły, wspomnienia, które się przez



nie wymknęły, zdołały się w ostatniej chwili cofnąć...

Zaraz... przecież to był krzyk Evalie! A potem Jima! Co im się stało? Evalie stała przede mną, wyciągając ręce. W brązowych, utkwionych we mnie oczach zobaczyłem niedowierzenie, grozę... i wstręt. Kilka szeregów małych ludzi utworzyło kordon wokół niej i Jima. Dzidy i strzały skierowali prosto we mnie. Syczeli przy tym jak stado złotych węży. Twarze wykrzywiały im nienawiść. Wpatrywali się w pierścień Kalk'ru, który wciąż trzymałem nad głową.

Teraz tę samą nienawiść ujrzałem na twarzy Evalie.

– Evalie! – krzyknąłem i rzuciłem się ku niej.

W tej samej chwili karzełki cofnęły się, napinając łuki na cięciwach drżały już strzały.

– Nie ruszaj się, Leifie! Idę do ciebie!

Jim skoczył naprzód. Wokół mnie natychmiast zaroilo się od karzełków. Jim się pod nimi przepchnął.

– Evalie! – krzyknąłem jeszcze raz.

Odraza w jej oczach zaczęła ustępować, natomiast pojawił się rozziewający serce żal. Wydała jakieś rozkazy.

Kilkunastu karzełków ruszyło pędem z obu jej stron. Wycelowali we mnie łuki i dzidy. Stałem, ogłupiały, i patrzyłem, jak się zbliżali. Był wśród nich Tri.

Rzucili się na mnie jak żywe tarany. Popchnęli mnie do tyłu. Nagle moja noga znalazła się w powietrzu...

Karzełki przywarły do moich nóg, nękać mnie jak sfora psów myśliwskich. Runąłem z Nansuru do rzeki.

# **KSIĘGA CZAROWNICY**

## Rozdział XIII

### KARAK

Ostatnim wysiłkiem zdołałem wyrzucić ręce ponad głowę. Dzięki temu spadłem na nogi. Zawdzięczałem to również czepiającym się mnie karzełkom. Kiedy dotknąłem powierzchni wody, od razu zanurzyłem się bardzo głęboko. Istnieje stare wierzenie, że kiedy człowiek ginie, widzi w ciągu paru sekund całe swoje życie jakby na ekranie. Trudno mi się do tego ustosunkować. Wiem jedno: kiedy leciałem w otchłań Nanbu i gdy się później wynurzałem, umysł mój pracował w takim tempie, jak nigdy dotąd w całym życiu.

Przede wszystkim uświadomiłem sobie, że to Evalie kazała mnie zrzucić z mostu. Fakt ten doprowadził mnie do białej gorączki. Czemu nie zaczekała, czemu nie dała mi szansy wytłumaczenia, skąd mam pierścień? Potem przyszło mi do głowy, że przecież miałem niejedną okazję i z niej nie skorzystałem. A także, że mali ludzie nie chcieli czekać. Evalie i tak powstrzymała ich dzidy i strzały, pozwalając mi uciec, choć co prawda nie na długo. Wreszcie pomyślałem sobie o absolutnym szaleństwie, jakim było błyskanie pierścieniem akurat w takiej chwili. Doprawdy trudno się dziwić, że mali ludzie wzięli mnie za emisariusza Kalk'ru. A kiedy przypomniałem sobie ból w oczach Evalie, gniew w mgnieniu oka stopniał pod wpływem żalu.

Natomiast Tiburowa zabawa młotem nasunęła mi czysto teoretyczne skojarzenie ze starożytnym bogiem Thorem i jego młotem Mjólnirem-Rozgniataczem, który po użyciu zawsze wracał do ręki właściciela. Skaldowie pominęli milczeniem drobny szczegół dotyczący rzemienia – zapewne dlatego, by wyglądało to na cud. Oto kolejne ogniwo łańcucha wiążącego Ujgurów z Ajjirami i Ezyrami. Chętnie pogadałbym o tym z Jimem... I w tym momencie uświadomiłem sobie, że nie pogadam już z Jimem ani o tym, ani o niczym innym, ponieważ karzełki tylko czekają, by rzucić mnie na pastwę pijawek, nawet gdyby jakimś cudem udało mi się przedostać na tamten brzeg Nanbu. Jeżeli człowiek całkowicie zanurzony w wodzie może się oblać zimnym potem – to sama myśl o pijawkach sprawiła, że dokonałem tej sztuki. Wolałbym już sto razy zmierzyć się z dzidami i łukami małych ludzi, a choćby i z młotem Tibura, niż pozwolić tym paskudom wysssać całą moją krew.

W tym momencie wynurzyłem się z wody i przetarłszy oczy zobaczyłem, że nie dalej niż dwadzieścia stóp ode mnie połyskuje czerwony, prążkowany grzbiet pijawki. Rozejrzałem się desperacko dookoła. Nurt był bystry i szybko zniósł mnie ze sto jardów od mostu, popychając w stronę oddalonego o jakieś pięćset stóp Karaku. Odwróciłem się twarzą do pijawki. Zbliżała się powoli, jakby pewna łupu. Miałem zamiar dać nurka i spróbować dopłynąć do brzegu. Był to niezły plan... gdyby nie pojawiło się ich więcej.

Usłyszałem przeraźliwy wrzask i nagle znalazł się przy mnie Tri. Podniesioną ręką wskazywał Karak. Wyraźnie nakazywał mi, bym starał się tam dostać najszybciej, jak potrafię.

Muszę przyznać, że zupełnie o nim zapomniałem, z wyjątkiem krótkiej chwili złości, kiedy stwierdziłem, że przyłączył się do moich prześladowców. Teraz widziałem jasno, jak niesprawiedliwie go potraktowałem. Popłynął prosto do pijawki i trzasnął ją w pysk. Stworzenie zgięło się i zaczęło go obwachiwać. Nie czekałem dłużej, tylko z szybkością, na jaką pozwalały mi nasiąknięte wodą buty, pomknąłem do brzegu.

Nie mogę powiedzieć, by płynęło mi się przyjemnie. Wokół było aż gęsto od czerwonych grzbietów. Tri mnie uratował – to nie podlegało dyskusji. Torował mi drogę, odsuwając pijawki, aż wreszcie zdołał je przepędzić.

Zanurkowałem aż do dna i klucząc między skałami, dobrnąłem bezpiecznie do brzegu. Złotoskóry karzełek po raz ostatni coś do mnie krzyknął, nie dosłyszałem go jednak. Obserwowałem już z brzegu, jak podobny do złotej rybki śmigał przez białą rzekę, a za nim z pół tuzina pijawek.

Spojrzałem na Nansur. Po stronie małych ludzi tłoczyły się tłumy, bacznie mnie obserwując. Po drugiej było pusto. Znajdowałem się w cieniu murów czarnej cytadeli. Wznosiły się wysoko na jakieś sto stóp, gładkie, nieprzeniknione. Oddzielał je ode mnie rozległy plac, podobny do tego, na który z za spizowych wrót wyjechali Tibur i Czarownica. Wokół stały parterowe, kamienne domki, otoczone mnóstwem małych, kwitnących drzewek. Za pierwszym rzędem domków wznosiły się inne, znacznie większe, bardziej pretensjonalne, bardziej oddalone od rzeki. W pobliżu był też bazar, zajmujący zresztą znaczną część placu.

Z otaczających plac domów, a także z bazaru szła ku mnie spieszenie, lecz w milczeniu kilkudziesięciosobowa grupa ludzi. Nie nawoływali się nawzajem, nie dawali sobie żadnych znaków – całkowicie pochłonięci widokiem mojej osoby. Sięgnąłem odruchowo do boku i zakląłem, gdyż przecież od dawna nie nosiłem broni. Coś błysnęło mi na palcu...

Pierścień Kalk'ru! Musiałem nasunąć go na kciuk, kiedy mali ludzie mnie gonili. No cóż... Znalazłem się tu przez niego. Z pewnością na tych ludziach wywrze nie mniejsze wrażenie niż na tamtych, którzy przyglądali mi się teraz z drugiej strony przerwanego mostu. Zresztą nic więcej nie miałem. Obróciłem pierścień tak, by skryć kamień we wnętrzu dłoni.

Zbliżali się coraz bardziej. Zauważyłem, że przeważały wśród nich kobiety, dziewczyny i małe dziewczynki. Wszystkie nosiły jednakowe, sięgające kolan koszule, odsłaniające prawą pierś. Wszystkie też bez wyjątku miały rude włosy, niebieskie oczy i jasną, lekko zaróżowioną cerę. Były wysokie, zgrabne, mocno zbudowane. Mogły śmiało uchodzić za narzeczone i matki wikingów, które wyszły na powitanie załogi jakiegoś pirackiego statku, wracającego z łupami do macierzystego portu. Dzieci przypominały błękitnookie aniołki. Przyjrzałem się uważnie nielicznym mężczyznom. Było ich najwyżej tuzin, też rudowłosych i niebieskookich. Starsi mieli krótkie brody, młodsi byli gładko wygoleni. Kobiety lekko przewyższały ich wzrostem, lecz

nawet najwyższym brakowało do mnie pół głowy. Nikt nie nosił broni.

Zatrzymali się o parę kroków ode mnie i przypatrywali mi się w milczeniu. Kiedy zauważyli moje jasne włosy, nie mogli oderwać od nich wzroku.

Nagle tłum zafalował. Ze dwanaście kobiet przepchnęło się naprzód i podeszło do mnie. Nosiły krótkie kaftany, za pas miały zatknięte nieduże mieczyki, w rękach trzymały oszczepy. W przeciwieństwie do tamtych – piersi miały zakryte. Otoczyły mnie tak ciasno, że czułem dotyk koniuszków ich oszczepów.

Zuchwałe, jasnoniebieskie oczy przywódczyni miały wyraz raczej wojownika niż kobiety.

– Przybysz o złotych włosach! Zaiste Luka uśmiechnęła się dziś do nas!

Jej towarzyszka pochyliła się ku niej i zaczęła szeptać, ale i tak usłyszałem:

– Tibur da nam za niego więcej niż Lur.

Przywódczyni pokręciła głową.

– Zbyt niebezpieczne. Zresztą nagrodą Lur będziemy się dłużej cieszyć. – Obrzuciła mnie bez ceregieli taksującym spojrzeniem. – Wstyd byłoby go zmarnować – dodała.

– Lur sobie poradzi – odparła cynicznie druga.

Przywódczyni dźgnęła mnie oszczepem, zapraszając w ten sposób, bym udał się w stronę cytadeli.

– Jazda, Żółtowłoso! – rzekła. – Jaka szkoda, że mnie nie rozumiesz. Powiedziałabym ci coś... dla twego dobra. Oczywiście za odpowiednią cenę.

Uśmiechnęła się i znów mnie dźgnęła. Miałem ochotę odwzajemnić ten uśmiech. Tak bardzo przypominała mi srogiego sierżanta z czasów wojny. Zamiast tego odezwałem się surowo:

– Sprowadź tu Lur z odpowiednim orszakiem, o kobieto z pałeczką do bębna zamiast języka!

Zatkało ją. Oszczep jej wypadł z ręki. Mimo że wyraźnie ogłoszono alarm w sprawie mojej osoby, nikt, jak widać, nie wspomniał, że mówię po ujugursku.

– Sprowadź natychmiast Lur! – ryknąłem. – Albo na Kalk’ru...

Nie dokończyłem. Zamiast tego przekręciłem pierścień i podniosłem rękę.

W tłumie rozległ się szmer zgrozy. Padli na kolana i pochylili głowy. Wojowniczką zbladła i wraz z innymi rzuciła się na ziemię. W tym momencie zgrzytnęły zasuwę. W murze twierdzy odsunął się jeden z potężnych bloków.

Jakby na moje wezwanie, z otworu wyjechała Czarownica z Tiburem u boku i niewielką świtą, tą samą, która obserwowała mnie z Nansuru.

Na widok klęczącego tłumy zatrzymali się. Nagle Tibur spiął konia ostrogą, ale Czarownica powstrzymała go i zaczęli coś do siebie mówić. Wojowniczką dotknęła mojej stopy.

– Pozwól nam wstać, panie – poprosiła.

Skinąłem głową, więc zerwała się, dając znak swoim kobietom. Znow ścieśniły się wokół mnie. Dostrzegłem w oczach przywódczyni strach i niemą prośbę. Uśmiechnąłem się.

– Nie bój się. Nic nie słyszałem.

– Więc masz w Darze przyjaciółkę – szepnęła. – Na Lukę... ugotowaliby nas żywcem!

– Nic nie słyszałem – powtórzyłem.

– Przysługa za przysługę – szepnęła jeszcze ciszej.

– Gdybyś kiedy walczył z Tiburem, to uważaj na jego lewą rękę.

Orszak Lur ruszył z miejsca i wolno posuwał się ku mnie. Kiedy podjechali bliżej, spostrzegłem, że Tibur jest siny z gniewu i z największym wysiłkiem powstrzymuje się od wybuchu. Zatrzymał konia przy klęczącym tłumie i wyładował na nim całą złość. Przez moment myślałem, że ich strątuje.

– Na nogi, świnie! – ryknął. – Od kiedy lud Karaku klęka przed byle kim?

Podnieśli się, wystraszeni, i zrobili miejsce jadącym. Znalazłem się twarzą w twarz z Czarownicą i Śmiaczem. Tibur patrzył na mnie groźnie, bawiąc się od niechcenia młotem. Towarzyszyło mu dwóch osiłków z długimi mieczami, tych samych co wtedy na moście. Czarownica milczała, przypatrując mi się intensywnie z pewną cyniczną obojętnością, która mnie trochę zaniepokoiła; wyraźnie nie zdecydowała jeszcze, jak ma mnie traktować, i czekała na jakiś krok z mojej strony. Nie podobało mi się to. Gdyby doszło do starcia, słabo wyglądałyby moje szanse wobec trzech mężczyzn na koniach, nie mówiąc już o kobietach. Wydawało się, że Czarownica nie chce, by mnie tak zaraz uśmiercono, tylko że na ratunek było już trochę za późno. Co do mnie, nie miałem najmniejszej ochoty zostać pobity, związany i powleczony do Karaku jako więzień.

Nagle poczułem, że budzi się we mnie jakaś nieuzasadniona, gwałtowna złość na tych, którzy ośmielają się stać na mojej drodze i nakazywać mi cokolwiek... że rośnie we mnie agresja... mieszanina tajemniczych wspomnień, będących moim przekleństwem, odkąd nosiłem pierścień Kalk'ru...

Cóż... te wspomnienia nieźle mi się przysłużyły na Nansurze, kiedy Tibur rzucił we mnie młotem... i – co to mówił Jim? Żeby nie powstrzymywać Dwayanu, kiedy dojdzie do spotkania z Czarownicą... Cóż... No to niech się stanie, jeśli to jedyna droga... droga śmiałków... droga moich przodków...

Jakbym to słyszał na własne uszy!

Otworzyłem na oścież mój umysł na cisnące się wspomnienia. Albo też – otworzyłem go przed Dwayanu.

Poczułem pod czaszką leciutkie mrowienie – i nagle świadomość Leifa Langdona przykryła jakąś falą. Próbowiałem ją odepchnąć, zanim pochłonie Leifa Langdona całkowicie. Udało mi

się, ale pozostała w pobliżu, przyczajona. Nieważne, póki mną zupełnie nie zawładnie... Odsunąłem na bok żołnierzy i podszedłem do Tibura. Coś z tej przemiany, jaka się we mnie dokonała, musiało się odbić na mojej twarzy. W oczach Czarownicy zauważyłem wahanie. Przytrzymująca młot ręka Tibura opadła. Cofnął konia. Przemówiłem. Ten nowy, gniewny głos brzmiał obco nawet dla mnie.

– Gdzie mój koń? Gdzie moje wojska? Sztandary? Włócznicy? Czemu milczą bębny i fanfary? To tak miasto Ayjirów wita Dwayanu? Na Zardę, lepiej się było nie narodzić!

Teraz odezwała się Czarownica. Mówiła donośnym, dobrze modulowanym głosem, w którym dźwięczało szyderstwo. Poczułem, że jeśli zdobyłem nad nią jakąś przewagę, teraz jakby mi się wymknęła.

– Wstrzymaj swą dłoń”, Tiburze! Chcę mówić do... Dwayanu. A ty, jeśli naprawdę nim jesteś, nie masz o co nas winić. Wszak upłynęło wiele, bardzo wiele dni, odkąd spoczęło na tobie ludzkie oko... I nie miało to miejsca w tym kraju. Skąd więc mielibyśmy cię znać? Kiedy c;? pierwszy raz ujrzałam, byłeś z tymi małymi żółtymi psami, które cię stąd uprowadziły. Przy naszym drugim spotkaniu żółte psy rzuciły cię na naszą pastwę. Jeśli prawdą jest, że nie zgotowaliśmy ci takiego przyjęcia, jakie od ayjirskiego miasta należy się Dwayanu, to jest prawdą i to, że Dwayanu nie odwiedził dotąd żadnego ayjirskiego miasta!

Cóż, nic dodać, nic ująć, prawdziwie logiczne rozumowanie! Przyznawała to część mojej osoby, która była Leifem Langdonem, zaangażowanym w dość beznadziejną walkę o odzyskanie kontroli nad sytuacją. A jednak ten absurdalny gniew wciąż narastał. Podniosłem wysoko pierścień Kalk’ru.

– Może nie znacie Dwayanu, ale to przecież znacie!

– Wiem, że masz ten pierścień – odparła spokojnie.

– Ale nie wiem skąd. To żaden dowód.

Tibur wychylił się do przodu z krzywym uśmiechem. – Powiedz nam, skąd pochodzisz. Może jesteś wypierdkiem z Sirku?

Szmer przeszedł przez tłum. Czarownica zmarszczyła brwi. Usłyszałem, jak na poły pogardliwie mruczy pod nosem:

– Rozum nigdy nie był twoją mocną stroną, Tiburze!

– Odpowiedziałem lodowatym głosem:

– Pochodzę z ojczystego kraju Ayjirów. Z kraju, który wyrzygał twoich tchórzliwych przodków, ryżykudło!

Zerknąłem na Czarownicę. Chyba przeżyła wstrząs. Zauważyłem, że zeszywniała. Jej szafirowe oczy ściemniały, czerwone wargi rozchyliły się. Inne kobiety zaczęły szeptać między

sobą. Pomruk tłumu stawał się coraz głośniejszy.

– Łziesz jak pies! – wrzasnął Tibur. – W ojczystym kraju nie ma życia! Życie jest tylko tutaj! Kalk’ru wysłał je z całej ziemi! Zostało tylko to miejsce. Kłamiesz!

I opuścił rękę na młot.

W tym momencie czerwona mgła przesłoniła mi cały świat. Koń najbliższego jeźdźca był szlachetnym zwierzęciem, które obserwowałem od dłuższego czasu. Dereszowaty ogier, silny jak czarny rumak z Gobi. Chwyciłem go za uzdę i zmusiłem, by ukląkł. Zaskoczony jeździec poleciał do przodu, przekoziółkował i upadł tuż przy mnie. W ułamku sekundy był z powrotem na nogach i celował ostrzem miecza w mój brzuch. Złapałem go za ramię i zamachnąłem się lewą pięścią. Trafiła go prosto w szczękę. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Padł na ziemię. Chwyciłem miecz i wskoczyłem na grzbiet podnoszącego się konia. Nim Tibur zdążył się poruszyć, już miał koniec miecza przy gardle.

– Stój! Uznaję cię za Dwayanu! Wstrzymaj się!

To był głos Czarownicy, znizony niemal do granicy szeptu.

Roześmiałem się głośno. Przycisnąłem mocniej koniec miecza do Tiburowego gardła.

– Dwayanu – czy wypierdek z Sirku?

– Dwayanu... – wyrzeźił.

– Roześmiałem się znowu.

– Więc jednak Dwayanu! No, to prowadź mnie do Karaku i staraj się naprawić swe zuchwalstwo!

Odsunąłem miecz.

Tak, odsunąłem... Ale klnę się na wszystkie rozszałale bóstwa panoszące się w moim rozszałalym umyśle, że marzyłem w tym momencie tylko o jednym: wepchnąć mu ten miecz w gardło aż po rękojeść, tak żeby przeszedł na wylot!

Nie zrobiłem tego – i straciłem szansę. Czarownicy powiedziałam:

– Jedź z mojej prawej strony. On niech jedzie przodem.

Człowiek, którego uderzyłem, stał już na nogach, choć nieco się chwiał. Lur powiedziała coś do jednej z kobiet. Ta zsiadła z konia i wraz z drugim towarzyszem Tibura pomogła poszkodowanemu wsiąść.

Przejechaliśmy przez plac i znaleźliśmy się za murami czarnej twierdzy.



## Rozdział XIV W CZARNEJ TWIERDZY

Sztaby zabezpieczające wrota opadły za nami z hukiem. Przejście między murami było długie, szerokie i obstawione przez żołnierzy, przeważnie kobiety, które nie odrywały ode mnie oczu. Musiały być dobrze wyszkolone, gdyż stały w milczeniu, salutując nam podniesionymi mieczami.

Wyjechaliśmy na olbrzymi, brukowany dziedziniec ograniczony niebotycznymi, czarnymi ścianami twierdzy. Stało tam około pięciuset żołnierzy, też głównie kobiet, podobnie jak wszystkie rudowłosych, niebieskookich, postawnych. Ich oddział zajmował pełne ćwierć mili z boku placu. W ścianie na wprost bramy, którą wjechaliśmy, znajdował się portal następnej. Tłoczyła się tam grupa ludzi na koniach. Jak przypuszczałem, należeli do tej samej klasy co towarzyszący nam jeźdźcy. Skierowaliśmy się właśnie do nich.

Mniej więcej na jednej trzeciej drogi mineliśmy okrągłe, szerokie na sto stóp zagłębienie, w którym wrzała woda. Na jej powierzchni pękały banieczki powietrza, w górze unosił się obłok pary. Gorące źródło, pomyślałem, czując bijące w twarz ciepło. Otaczały je wysokie kamienne słupy, z których sterczały poprzeczki jak w szubienicy. Z końców tych poprzeczek zwieszały się cienkie łańcuchy. Było to zdecydowanie nieprzyjemne, wręcz odpychające miejsce. W ogóle nie podobało mi się to wszystko. Coś z tych uczuć musiało się odbić na mojej twarzy, bo Tibur odezwał się ironicznie: – To nasz kociołek do gotowania.

– Chyba niełatwo nalewać z tego rosół – odparłem, myśląc, że żartuje.

– Och, ależ mięsko, które tu gotujemy, nie jest do jedzenia – zauważył z jeszcze większą ironią, po czym zaniósł się głośnym rechotem.

Dopiero teraz zrozumiałem, co miał na myśli. Poczułem falę mdłości. Łańcuchy służyły do przytrzymywania udręczonych ludzi. Zniżano ich powoli, cal po calu, do tego diabelskiego kotła. Pokiwałem głową w milczeniu.

Czarownica nie zwracała na nas uwagi. Jechała z pochyloną rdzawą głową, pogrążona w rozmyślaniach, choć od czasu do czasu zezowała na mnie. Podjechaliśmy bliżej portalu, gdzie czekało na nas ze dwadzieścia dziewcząt i kobiet oraz sześciu mężczyzn. Czarownica dała im znak, by zsiadli z koni. Potem pochyliła się ku mnie i szepnęła:

– Obróć pierścień kamieniem do środka. Usłuchałem bez słowa.

Przyjrzałem się oczekującej nas grupie. Kobiety nosiły wierzchnie okrycia odsłaniające pierś oraz luźne spodnie ściągnięte w kostkach. Za szerokie pasy zatknięte miały po dwa miecze: krótki i długi. Mężczyźni odziani byli w luźne bluzy, takie same spodnie, a oprócz mieczy z ich pasów zwieszały się młoty, takie jak Tibura, tylko mniejsze. Już kiedy wyszedłem z rzeki, zauważyłem, że otaczające mnie kobiety są urodziwe, lecz te tutaj były znacznie piękniejsze.

Miały w sobie coś, co można by określić jako piętno wysokiego urodzenia. Innym tego brakowało. Patrzyły na mnie z tak wyraźnym podziwem, jak tylko sierżant-kobieta może patrzeć na swego pułkownika. Przyglądały się, zafascynowane, moim jasnym włosom, nie mogły wprost oderwać od nich oczu. Ich twarze kryły w sobie coś okrutnego, coś, co czaiło się także w kącikach rozkosznych warg Lur.

– Zsiądziemy tu z koni – rzekła Czarownica – i pójdziemy tam, gdzie będziemy mogli... lepiej się poznać.

Tak jak poprzednio obojętnie skinąłem głową. Zaczynałem sobie uświadamiać, że wciskanie się w pojedynkę między tych ludzi było prawdziwie wariackim posunięciem. Doszedłem jednak do wniosku, że nic nie mogłem na to poradzić, najwyżej uciec do Sirku, tylko że nie miałem pojęcia, gdzie to jest. Zresztą gdybym spróbował, stałbym się wyjętym spod prawa wyrzutkiem zarówno po tej stronie rzeki, jak po tamtej. Tak myślał Leif Langdon, Dwayanu był całkiem innego zdania. Cały czas podsycił we mnie ogień brawury, dumę, która jak dotąd pomagała mi wydestawać się z opresji. Podszeptował, że żaden Ayjir nie ma prawa mnie wypytywać, czy stać na mojej drodze. Podszeptował coraz głośniejszym, z coraz większym naciskiem, że powinni wyjść mi naprzeciw z pochylonymi sztandarami, przy dźwiękach bębnów i powitalnych fanfar. Leif Langdon argumentował, że zrobił wszystko, co w jego mocy. Że trzeba było podjąć tę grę i iść dalej tą samą, jedyną drogą. Jednocześnie druga moja połowa – czy to ta starodawna pamięć, czy budzący się Dwayanu, czy też posthipnotyczna sugestia starego arcykapłana z Gobi – przekonywała mnie na gwałt, że nie powinienem stawiać żadnych pytań, nawet sobie samemu, że to nie żadna gra, tylko szczerą prawdą! I jeszcze, że ma już wyżej uszu znoszenia obelg tych zdegenerowanych psów wielkiej rasy, a także mojego tchórzostwa!

Tak więc zeskoczyłem z konia i spojrzałem z góry w ich zwrócone ku mnie twarze. Dosłownie: z góry, gdyż najwyższego z nich przerastałem o parę cali. Lur dotknęła mojego ramienia. Mając po jednej stronie ją, a po drugiej Tibura, przekroczyłem portal czarnej twierdzy.

Znaleźliśmy się w przestronnym westybulu, do którego nagle światło dnia wpadało poprzez szczeliny w górnej części gładkich ścian. Przechodziliśmy obok grupki kobiet-żołnierzy, salutujących nam w milczeniu, mijaliśmy wiele wylotów poprzecznych korytarzy. Doszliśmy wreszcie do wielkich drzwi pilnowanych przez straż. Tutaj Lur i Tibur odprawili eskortę. Drzwi otworzyły się z wolna i natychmiast się za nami zamknęły.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to Kraken.

Zajmował całą ścianę komnaty. Kiedy go ujrzałem, serce we mnie zamarło. Poczulem nieprzemyślany impuls, by odwrócić się i uciec. Po chwili przekonałem się, że to, co wzięłem za Krakena, było tylko mozaiką osadzoną w czarnym kamieniu. Albo raczej mozaiką było żółte tło, a czarną ośmiornicę wykuto wprost w ścianie. Jej pozbawione źrenic gagatowe oczy przyglądały mi się z tą samą utajoną złośliwością, którą i małym ludziom udało się tak dobrze oddać

w unieszkodliwionym symbolu w skalnej świątyni.

Pod ścianą z Krakenem coś się poruszyło. Spod czarnego kaptura wyjrzała czyjaś twarz. W pierwszej chwili wziąłem tego człowieka za samego arcykapłana z Gobi, ale okazało się, że był stosunkowo młody. Miał szafirowe oczy i twarz bez zmarszczek, białą, chłodną, pozbawioną wyrazu, jakby wykutą z marmuru. W tym momencie przypomniałem sobie, co opowiadała Evalie. To musiał być arcykapłan Yodin. Siedział w wysokim, podobnym do tronu krześle, za długim, niskim stołem, zarzuconym zwojami, przypominającymi egipskie papirusy. Leżały tam też tuby z czerwonego metalu, prawdopodobnie futerały. Po obu stronach arcykapłana stały identyczne trony.

Skinął na mnie wychudłą, białą ręką.

– Podejdz do mnie... ty, który uważasz się za Dwayanu – odezwał się głosem tak samo chłodnym i beznamiętnym jak jego twarz, choć niewątpliwie uprzejmym.

I znów jakbym słyszał starego arcykapłana, wzywającego mnie do siebie. Spełniłem żądanie, kierując się raczej pobłażliwością w stosunku do kogoś niżej postawionego niż posłuszeństwem. Musiał chyba czytać w moich myślach, bo na jego twarzy dostrzegłem cień gniewu. Świdrował mnie przez chwilę oczami, wreszcie rzekł:

– Podobno posiadasz pewien pierścień.

Z tym samym co poprzednio uczuciem pobłażania przekręciłem klejnot i wyciągnąłem rękę. Spojrzał – i jego twarz straciła nagle obojętny wyraz. Sięgnął do pasa i wyciągnął puzderko, z niego zaś drugi pierścień, który przyłożył do mojego. Zauważyłem, że nie był tak duży i różnił się nieco oprawą. Kapłan obejrzał uważnie oba pierścienie, po czym wciągając ze świstem powietrze, złapał mnie za obie ręce i obrócił je wnętrzem dłoni do góry. Przez chwilę badał ich linie, wreszcie puścił je i osunął się ciężko na oparcie.

– Dlaczego do nas przybyłeś? – zapytał.

Rozgniewałem się.

– Czemuż to Dwayanu jest przesłuchiwany jak pospolity poseł? – spytałem przez zaciśnięte gardło. Obszedłem stół i opadłem na krzesło obok niego. – Pić mi się chce. Niech przyniosą napitki. Póki nie ugaszę pragnienia – nic nie powiem.

Białą twarz ożywił słaby rumieniec. Tibur wydał z siebie gniewny pomruk. Poczzerwieniał mocno i łypał na mnie groźnie. Czarownica utkwiała we mnie oczy, których szyderczy wyraz gdzieś się ulotnił, wzmogło się natomiast chłodne zainteresowanie. Uświadomiłem sobie, że zająłem Tiburowi miejsce, i wybuchnąłem śmiechem.

– Strzeż się, Tiburze! – zawołałem wesoło. – To może być omen.

Arcykapłan zdecydował się na interwencję dyplomatyczną.

– Jeśli on rzeczywiście jest Dwayanu, należą mu się wszelkie honory. Każ przynieść wina.

Spojrzenie, jakim Kowal obdarzył Yodina, zdawało się zawierać jakieś pytanie. Być może Czarownica też je zrozumiała w ten sposób. Odezwała się pośpiesznie:

– Zajmę się tym.

Podeszła do drzwi, otworzyła je i wydała rozkaz straży. Pozostała tam w oczekiwaniu. Zapadła cisza. Myślałem o wielu sprawach. Na przykład – że nie podobała mi się wymiana spojrzeń między Yodinem a Tiburem, a także o tym, że choć w danej chwili mogę zaufać Lur, ona pierwsza musi spróbować wina, kiedy je przyniosą. Postanowiłem, że udzielę im bardzo skąpych informacji o tym, jak trafiłem do Krainy Cienia. I jeszcze myślałem o Jimie. Oraz o Evalie. Ta ostatnia myśl napełniła moje serce takim bólem, że poczułem się nagle jak ktoś pozostawiony samotnie w samym środku sennego koszmaru... W tym momencie obudziło się we mnie gwałtowne uczucie wzdąrdy dla tamtej połowy siebie. I zapragnąłem zerwać narzucone więzy.

Wniesiono wino.

Czarownica postawiła przede mną dzban i puchar. Nalała złotawego wina i podała mi kielich. Uśmiechnąłem się do niej.

– Częstujący pije pierwszy – powiedziałem. – Jak za dawnych dni, Lur. Cenię sobie odwieczne obyczaje.

Tibur przygryzł wargę i schował usta w brodzie, ale Lur wzięła puchar i wysączyła do dna. Napełniłem go ponownie i wzniosłem w górę, patrząc przy tym na Tibura. Coś mnie złośliwie kusiło, by go sprowokować.

– Czy zrobiłbyś to samo, Tiburze, gdybyś ty podawał wino? – spytałem i nie czekając na odpowiedź, wypilem.

Było dobre! Poczulem, że przenika mnie dreszcz i jednocześnie przemożna ochota na jakieś szaleństwo. Znów napełniłem kielich, ale go odsunąłem.

– Chodź tutaj, Lur – powiedziałem. – Siadaj z nami. Chodź i ty, Tiburze!

Czarownica bez słowa siadła na trzecim tronie. Tibur mi się przyglądał. Dostrzegłem w jego oczach coś nowego, coś z tego ukradkowego namysłu, który tak zaskoczył mnie u Lur. Białolicy kapłan przebywał duchem gdzieś daleko. Zauważyłem, że całą trójkę zupełnie pochłaniały jakieś własne kalkulacje i że przynajmniej Tibur zaczynał się trochę niepokoić. Jego głos stracił całą wojowniczość.

– Bardzo pięknie... Dwayanu! – zawołał.

Podniósł ławę, przystawił ją do stołu i siadł naprzeciw nas.

– Odpowiem na twoje pytanie – zwróciłem się do Yodina. – Przybyłem tu na wezwanie Kalk'ru.

– To ciekawe – odparł. – Mnie, jego arcykapłanowi, nic nie wiadomo o żadnych

wezwaniach.

– Nie wiem, dlaczego – odpowiedziałem ostrożnie.

– Może zapytasz o powody tego, któremu służysz.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Dwayanu żył dawno, dawno temu – rzekł wreszcie. – Przed...

– Przed świętokradztwem. Rzeczywiście. – Dołałem sobie wina. – A jednak... jestem tutaj.

Po raz pierwszy jego głos utracił pewność siebie:

– Wiesz... wiesz o świętokradztwie! – Złapał mnie kurczowo za rękę. – Człowieku... kimkolwiek jesteś... skąd do nas przybywasz?

– Przybywam z ziemi ojców.

Zacisnął mocniej palce. Powtórzył słowo w słowo to samo, co wcześniej mówił Tibur.

– Ziemia ojców jest martwa. Kalk'ru w gniewie zniszczył tam życie. Nie ma życia poza tym miejscem, gdzie Kalk'ru słucha swych sług i pozwala im żyć.

Nie wierzył w to. Zorientowałem się po mimowolnym szybkim spojrzeniu, jakie rzucił Lur i Tiburowi. Oni też nie wierzyli.

– Kraj ojców jest jak wybielane kości. Miasta pokrywa gruby całun piasku. W korytach wyschniętych rzek hula piasek gnany palącymi wichrami. A jednak istnieje tam życie i chociaż stara krew uległa rozrzedzeniu, kraj ojców trwa. Tam, skąd przybywam, ludzie nadal oddają cześć Kalk'ru i boją się go... W innych zaś krajach tej ziemi, życie rozwija się jak dawniej.

Nalałem sobie jeszcze trochę wina. Dobre wino, taak, dobre! Pod jego wpływem nabierałem coraz więcej wigoru... Dwayanu rósł w siłę... cóż, siedział dotąd w ciasnej klatce, więc niech mu tam...

– Pokaż mi miejsce, z którego przybywasz – rzekł nagle arcykapłan.

Podał mi woskową tabliczkę i rylec. Nakreśliłem kontur północnej Azji i Alaski. Zazaczyłem Gobi i w przybliżeniu miejsce, gdzie leżała oaza, a także Krainę Cienia.

Tibur wstał, by się temu przyjrzeć. Trzy głowy pochyliły się nad tabliczką. Kapłan przerzucił kilka zwojów, wybrał jeden i zaczął porównywać z moim rysunkiem coś, co wyglądało na mapę, ale jeśli rzeczywiście nią było, zarys północnego wybrzeża przedstawiał się zupełnie inaczej. Była tam zaznaczona linia, coś jakby wytyczony szlak. Nad nim i pod nim wypisano różne symbole. Zastanawiałem się, czy nie mógł to być zapis drogi, jaką wielka rasa przebyła po ucieczce z Gobi.

Wreszcie podnieśli głowy. W oczach kapłana malowało się wzburzenie, w oczach Tibura – lęk i złość, natomiast oczy Czarownicy były niezmaczone i beztroskie – jakby powzięła jakąś decyzję i teraz dokładnie wiedziała, co robić.

– To kraj ojców! – oznajmił kapłan. – Powiedz mi... czy czarnowłosy intruz, który uciekał

z tobą przez rzekę i patrzył potem, jak spadałeś z Nansuru, też stamtąd pochodzi?

Była to czysta złośliwość. Zaczynałem nie lubić tego Yodina.

– Nie – odparłem. – On pochodzi ze starego kraju Rrllya.

To go poderwało na nogi. Tibur zaklął z niedowierzaniem, nawet Czarownica wyglądała na wytrąconą z równowagi.

– Inny kraj... Rrllya! Ależ to niemożliwe! – szepnął Yodin.

– A jednak tak jest – powiedziałem stanowczo.

Opadł z powrotem na krzesło i zastanawiał się przez chwilę.

– To twój przyjaciel – stwierdził.

– To mój brat – zgodnie ze starodawnym rytuałem krwi, przyjętym w jego narodzie.

– Przybędzie tu do ciebie?

– Zrobiłby to, gdybym po niego posłał. Ale tego nie uczynię. Jeszcze nie. Dobrze mu tam, gdzie jest.

Pożałowałem tych słów, jeszcze zanim wypowiedziałem je do końca. Czemu? Nie miałem pojęcia, ale wiele bym dał, by móc je cofnąć.

Kapłan znowu umilkł.

– Dziwy nam tu prawisz – rzekł po chwili. -

I zjawileś się wśród nas w dziwny sposób... jak na Dwayanu. Chyba nie weźmiesz nam za złe, jeśli naradzimy się przez chwilę?

Zajrzałem do dzbana. Był opróżniony tylko do połowy. Smakowało mi to wino – przede wszystkim dlatego, że dobrze głuszyło tęsknotę za Evalie.

– A gadajcie sobie, jak długo chcecie – zgodziłem się łaskawie.

Udali się do kąta komnaty. Napeliłem kielich. Potem jeszcze raz. O Evalie zapomniałem. Miałem wrażenie, że zaczynam się dobrze bawić. Chciałem, by Jim tu był... ale nadal żałowałem tamtych słów, że stawiłby się, gdybym po niego posłał. A potem wypilem znowu – i o Jimie też zapomniałem. Tak, cholernie dobrze się bawiłem... taak... zaczekajcie, aż popuszczę Dwayanu jeszcze bardziej! To ci będzie zabawa! Byłem śpiący... Ciekawe, co stary Barr powiedziałby na to wszystko?...

Nagle oprzytomniałem. Stał przy mnie arcykapłan i coś mówił. Miałem niejasne wrażenie, że mówi od dłuższego czasu, ale niczego nie pamiętałem. Wydawało mi się też, że ktoś majstrował przy moim pierścieniu. Zaciskałem go uparcie w dłoni tak mocno, że kamień wgniótł mi się boleśnie w ciało. Skutki działania wina przeszły w jednej chwili. Rozejrzałem się po komnacie. Tibur i Czarownica zniknęli. Czemu nie widziałem, jak wychodzili? Spałem? Popatrzyłem na Yodina. Jego twarz miała wyraz napięcia, zmieszania, a jednak dojrzałem w niej głęboko skrywaną satysfakcję. Dziwna kompozycja uczuć. Nie podobała mi się.

– Poszli przygotować ci odpowiednie przyjęcie – rzekł. – A także szaty i stosowne miejsce

do spania.

Wstałem.

– Jak dla Dwayanu?

– Niezupełnie – odpowiedział układnie. – Ale jak dla szanowanego gościa. O innych sprawach trudno decydować, nim się nie przeprowadzi dowodu.

– Jakiego dowodu?

– Takiego, że Kalk’ru zjawi się w odpowiedzi na twoje modły.

Na te słowa poczułem dreszcz. Yodin obserwował mnie tak bacznie, że musiał to zauważyć.

– Powściągnij swoją niecierpliwość – dodał lodowato-miodowym tonem. – Nie będziesz musiał długo czekać. Do tego czasu pewnie się nie zobaczymy. Tymczasem... chciałbym cię o coś prosić.

– O co?

– Żebyś się tak jawnie nie obnosił z pierścieniem Kalk’ru... z wyjątkiem oczywiście sytuacji, gdy uznasz to za niezbędne.

O to samo prosiła Lur. A jednak dziesiątki ludzi widziały mnie z pierścieniem. Jeszcze więcej musiało o nim słyszeć. Wyczuł moje niezdecydowanie.

– To świętość – rzekł. – Nie wiedziałem, że istnieje drugi, póki nie doniesiono mi, że pokazywałeś go na Nansurze. Nie trzeba nadużywać świętości. Ja noszę swój tylko wtedy, gdy uznam, że wymagają tego... okoliczności.

Ciekawe, jakież to okoliczności są tak wymagające? Teraz z całej siły pragnąłem się dowiedzieć, w jakiej sytuacji pierścień mógł pomóc mnie. Yodin cały czas świdrował mnie oczami. Miałem nadzieję, że nie wyczyta tej myśli z mojej twarzy.

– Nie widzę powodu, by odmawiać – zgodziłem się.

Zsunąłem pierścień z kciuka i schowałem do kieszonki przy pasie.

– Jestem pewien, że nie – mruknął.

Rozległ się cichy gong. Yodin przycisnął brzeg stołu i drzwi się otworzyły. Weszło trzech młodzieńców w strojach pospólstwa. Stanęli skromnie z boku.

– To twoi służący. Zaprowadzą cię do komnat – rzekł kapłan i skinął głową.

Opuściłem pomieszczenie w towarzystwie młodych Ayjirów. Przy drzwiach stało sześć wartowniczek pod wodzą młodej kobiety o zuchwałych oczach. Zasalutowały mi zgrabnie. Pomaszerowały z nami korytarzem do końca. Skręcając w następny, obejrzałem się.

W samą porę, by zobaczyć Czarownicę wślizgującą się do komnaty arcykapłana.

Doszliśmy do innych strzeżonych drzwi. Otworzyły się z impetem i zostałem uroczyście wprowadzony do środka wraz z moimi służącymi.

– My też jesteśmy twymi sługami, panie – odezwała się Zuchwałooka. – Jeśli czegoś

zapragniesz, wezwij mnie tylko. Będziemy za drzwiami.

Wręczyła mi mały jodeitowy gong, zasałutowała i wyszła.

Komnata była dziwnie znajoma. Uświadomiłem sobie, że przypominała tę, do której wprowadzono mnie w oazie. Stały tam zydle o takich samych osobliwych kształtach, metalowe krzesła, niski tapczan. Ściany tak jak i tam zdożyły gobeliny, na podłodze leżały dywany. Tylko że tutaj nie widać było tego sfatygowania co tam. To prawda, niektóre gobeliny nadszarpały zęb czasu, nie miały jednak łat ani śladów zużycia. Inne były pięknie utkane, wyglądały, jakby świeżo wyszły z warsztatu. Starodawne zasłony pokrywały hafty wyobrażające takie same sceny myśliwskie i wojenne, jak na obszarpanych draperiach w oazie. Nowsze przedstawiały obrazki z kraju pod mirażem. Na jednej widać było Nansur, jeszcze w całości, na innej jakąś bitwę z karzełkami, na kolejnej niesamowicie piękny las z białymi wilkami Lur, przemykającymi się wśród drzew. Leczą coś mi się tu nie zgadzało. Długo myślałem, nim uświadomiłem sobie, że w tamtej komnacie wisiało uzbrojenie dawnego lokatora: jego miecze, dzidy, hełmy i tarcze. Tu nie było ani śladu broni. Przypomniałem sobie, że wchodząc do arcykapłana miałem przy sobie miecz Tiburowego wojownika. Teraz zniknął.

Ogarnął mnie niepokój. Odwróciłem się do trójki młodych Ayjirów i zacząłem rozpinać koszulę. Podeszli w milczeniu i zabrali się do rozbierania mnie. Nagle poczułem, że strasznie chce mi się pić.

– Przynieś wody – poleciłem jednemu z chłopaków.

Nie zareagował.

– Przynieś wody – powtórzyłem, sądząc, że nie usłyszał. – Pić mi się chce.

Dalej spokojnie ścigał mi but. Dotknąłem jego ramienia. Zareagował. Polecił jednemu z chłopaków. – Przynieś wody mu.

– Przynieś wody do picia – powiedziałem z naciskiem.

Uśmiechnął się do mnie, otworzył usta i pokazał na nie palcem. Nie miał języka. Potem wskazał na uszy. Zrozumiałem. Był głuchoniemy. Wyciągnąłem rękę w stronę jego towarzyszy. Kiwnął głową.

Niepokój podskoczył o dwa stopnie. Czy to generalny zwyczaj władców Karaku? Czy też ten głuchoniemy tercet przystosowano umyślnie do obsługi specjalnych gości? Gości... a może więźniów?

Uderzyłem w gong. Drzwi się natychmiast otworzyły i stanęła w nich dowódczyni. Zasałutowała.

– Pić mi się chce – oznajmiłem. – Proszę o wodę.

Zamiast odpowiedzi przemaszerowała przez pokój i odsunęła jedną z zasłon. Znajdowała się za nią obszerna alkowa. Pośrodku podłogi była płytka sadzawka, przez którą przepływała kryształowo czysta woda. Tuż obok stała porfirowa misa, z której wytryskał w górę strumyczek



tworząc miniaturową fontannę. Kobieta wzięła z niszy puchar, napełniła go i mi wręczyła. Woda była zimna i orzeźwiająca.

– Czy życzysz sobie jeszcze czegoś, panie?

Potrząsnąłem głową. Kobieta wyszła.

Trzej głuchoniemi wrócili do przerwanych zajęć. Ściągnęli mi resztę odzieży i zaczęli mnie nacierać delikatnym, wonnym olejkim. Podczas gdy moje ciało poddawało się temu zabiegowi, umysł pracował na najwyższych obrotach. Po pierwsze, piekący ślad na dłoni przypominał mi nieustannie, że ktoś próbował odebrać mi pierścień. Po drugie, im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nim się obudziłem, czy też ocknąłem z alkoholowego zamroczenia, białolicy kapłan mówił coś do mnie bardzo długo, wypytywał, sondował mój otepiały umysł. A po trzecie, utraciłem niemal do cna całe to wspaniałe uczucie bez troski, nieliczenia się z konsekwencjami, które tak skutecznie doprowadziło mnie do obecnego stanu. Właściwie niewiele pozostało z Dwayanu, teraz byłem przede wszystkim Leifem Langdonem. Ciekawe, o co też kapłanowi chodziło z tym gadaniem i wypytywaniem... i co mu odpowiedziałem?

Wyrwałem się z rąk masażystów i skoczyłem do moich portek i pasa. Pierścień był na miejscu, ale zniknął gdzieś stary woreczek. Uderzyłem w gong i weszła dowódczyni. Byłem całkiem goły, ale w najmniejszym stopniu nie traktowałem jej jak kobietę.

– Przynieś wina – zarządziłem. – Poza tym chcę mieć puzderko z dobrym zamkiem na pierścień. Do tego mocny łańcuszek, żebym mógł je nosić na szyi. Jasne? – Tak jest panie, natychmiast. Nie ociągała się z powrotem. Postawiła dzban i sięgnęła pod bluzę. Wyjęła duży medalion na metalowym łańcuszku. Przycisnęła zameczek i wieczko odskoczyło.

– Pasuje, panie?

Wziąłem go od niej i włożyłem pierścień do środka. Medalion zamknął się bez trudu.

– Doskonale – odparłem. – Ale nie mam nic, co mógłbym ci dać w zamian. Roześmiała się.

– Wystarczy, że mogłam cię ujrzeć, panie – odpowiedziała, niezupełnie dwuznacznie, i wyszła.

Powiesiłem medalion na szyi, nalałem sobie wina. Raz i drugi. Potem wróciłem do masażystów i poczułem się znacznie lepiej. Piłem cały czas, kiedy mnie kąpali, strzygli mi włosy, golili. A im więcej piłem, tym bardziej brał we mnie górę gniewny, dotknięty do żywego Dwayanu.

Moja niechęć do Yodina rosła i nie zmniejszyła się, kiedy trójka służących mnie ubierała. Włożyli mi jedwabną koszulę, wspaniałą żółtą tunikę przetykaną błękitnymi metalowymi nitkami oraz długie, luźne spodnie z tej samej tkaniny. Potem owinęli mnie szerokim pasem nabijanym drogimi kamieniami. Na nogi wsunęli sandały z miękkiej, złotej skóry. Wreszcie wy szcztokowali mi włosy.

Nim zdołali się z tym wszystkim uporać, wysuszyłem cały dzbanek. Byłem lekko wstawiony, miałem zamiar upić się jeszcze bardziej, i ani mi się śniło pozwalać komukolwiek na głupie dowcipy. Zadzwoiłem znów w gong, żeby zażądać więcej wina, a także by się dowiedzieć, gdzie i kiedy dostanę coś do jedzenia. Drzwi się otworzyły, ale tym razem nie stanęła w nich dowódczyni straży.

Ujrzałem Czarownicę.

## Rozdział XV JEZIORO DUCHÓW

Stała i patrzyła na mnie z rozchylonymi wargami, wyraźnie zdumiona przemianą, jaka za sprawą zabiegów głuchoniemych, a także całego tego ayjirskiego blichtru dokonała się w ociekającej wodą, ubłoconej istocie, która nie tak dawno wypłynęła z rzeki. Oczy Lur rozbłysły, na policzkach pojawił się krwisty rumieniec. Podeszła bliżej.

– Dwayanu... chodź ze mną.

Roześmiałem się.

– Czemu nie, Lur... choć właściwie po co?

– Grozi ci niebezpieczeństwo... bez względu na to, czy jesteś Dwayanu, czy nie. Udało mi się namówić Yodina, by pozwolił ci zostać ze mną, póki nie udasz się do świątyni. Ze mną będziesz bezpieczny... do czasu.

– I czemuż to zawdzięczam tę troskliwość?

Nie odpowiedziała. Położyła tylko rękę na moim ramieniu i spojrzała szafirowymi oczami, które nagle jakoś złagodniały. I choć zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że jej postawa musi mieć jakieś konkretne przyczyny, że nie jest to bynajmniej raptowny przyływ uczuć, dotyk jej ręki i spojrzenie sprawiły, że krew wzburzyła mi się w żyłach. Kiedy się odezwałam, z trudem panowałem nad głosem.

– Pójdę z tobą.

Podeszła do drzwi i otworzyła je.

– Ouardo, płaszcz i czapka.

Wróciła do mnie z czarnym płaszczem, który zarzuciła mi na ramiona i umocowała wokół szyi. Potem wcisnęła mi włosy pod ściśle przylegającą czapkę, przypominającą w kroju frygijską. Teraz od innych Ayjirów z Karaku różniłem się tylko wzrostem.

– Nie ma pośpiechu, Dwayanu.

– Jestem gotów. Zaczekaj...

Podniosłem swoje stare rzeczy, zrolowałem je i okręciłem wokół butów. Mimo wszystko mogłem ich jeszcze potrzebować. Czarownica nie skomentowała tych poczynąń. Wyszliśmy. Dowódczyni czekała ze swoim oddziałem w korytarzu, podobnie jak szóstka kobiet ze świątyni Lur, całkiem zresztą przystojnych. Zauważyłem, że każda z nich nosiła kolczugę i oprócz dwóch mieczy dodatkowo młot, podobnie jak Czarownica. Najwidoczniej spodziewały się kłopotów, czy to ze mną, czy z innymi. Wcale mi się to nie podobało.

– Daj mi swój miecz – rozkazałem obcesowo dowódczyni. Zawahała się.

– Daj mu – poparła mnie Lur.

Zważyłem go w rękę. Nie tak ciężki, jak bym sobie życzył, ale zawsze miecz. Wcisnąłem go za pas. Pod lewą pachą trzymałem zawiniątko z rzeczami. Poszliśmy korytarzem, zostawiając straż przy drzwiach.

Uszedłszy może ze sto jardów, znaleźliśmy się w małej, pustej komnacie. Po drodze nie spotkaliśmy nikogo. Lur odetchnęła z ulgą. Podeszła do bocznej ściany. Kamienna płyta przesunęła się, odsłaniając korytarz. Weszliśmy tam i płyta wróciła na miejsce. Pograżyliśmy się w całkowitej ciemności. Nie wiadomo skąd pojawiła się iskierka, a po niej rozbłyły latarnie w rękach dwóch kobiet. Palily się równym, srebrzystym płomieniem. Kobiety z latarniami poszły przodem. Po krótkim czasie korytarz się skończył, pochodnie przygaszono, przed nami zaś otworzyła się kolejna płyta. Usłyszałem szepty, a gdy latarnie zgasły na dobre, okazało się, że stoimy u podnóża murów twierdzy. W pobliżu czekała szóstka kobiet Lur z końmi. Jedna z nich podprowadziła do mnie myszatego ogiera.

– Wsiadaj i jedź przy mnie – rzekła Lur. Wcisnąłem tobolek pod łęk i wskoczyłem na siodło. Ruszyliśmy w milczeniu. W kraju pod mirażem noc nigdy nie dawała całkowitej ciemności, zawsze mieniła się zielonym poblaskiem, ale dziś było wyjątkowo jasno. Zastanawiałem się, czy nad szczytami otaczającymi dolinę świeci księżyc w pełni, a także jak daleka droga nas czeka. Nie byłem tak pijany jak w momencie, gdy Lur mnie zaskoczyła, ale jednak znajdowałem się do pewnego stopnia pod wpływem alkoholu. Jakoś dziwnie kręciło mi się w głowie, nie czułem ciężaru trosk ani żadnej odpowiedzialności... Bardzo przyjemne uczucie! Żeby tak mogło trwać! Miałem nadzieję, że tam, dokąd mnie Lur prowadzi, będzie dużo wina... Właściwie najchętniej napiłbym się już teraz.

Zostawiwszy za sobą cytadelę, jechaliśmy w ostrym tempie przez miasto. Szerokie ulice były dobrze wybrukowane, domy oświetlone, w ogródkach siedzieli ludzie śpiewając, bijąc w bębenki, grając na fujarkach. Jeśli nawet czarna twierdza była siedliskiem zła, nie rzucało ono cienia na Jud Karaku. Przynajmniej tak wówczas myślałem.

Wyjechaliśmy z miasta na gładką drogę wśród gęstej roślinności. Unosiły się nad nią wielkie śmy, niczym baśniowe samolociki. Na moment mignęła mi przed oczami twarz Evalie. Nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy.

Koń biegł wyciągniętym klusem. Zacząłem śpiewać starą idrizką pieśń o kochanku, który księżycową nocą dążył do swej ukochanej, i o tym, co zastał, gdy znalazł się na miejscu. Lur zaśmiała się i zatkała mi usta ręką.

– Cicho, Dwayanu! Ciągłe jest niebezpiecznie.

W tym momencie uświadomiłem sobie, że wcale nie śpiewam po kirgizku, tylko po ujugursku. Prawdopodobnie Kirgizi zapożyczyli kiedyś tę pieśń od Ujgurów. Znów wróciły stare problemy... ale na niewiele dłużej niż pamięć o Evalie.

W dali gdzieniegdzie przeblyskiwała biała rzeka. W końcu wyjechaliśmy na długi odcinek bardzo wąskiej ścieżki, tak wąskiej, że trzeba się było przeciskać gęsiego między skałami okrytymi zielonkawym nalotem. Gdy wreszcie mieliśmy je za sobą, droga się rozwidliła. Jedna jej część skręcała ostro w lewo i tam się właśnie skierowaliśmy. Jechaliśmy jakieś trzy, cztery mile, prosto w środek dziwnego lasu. Gałęzie ogromnych drzew tworzyły nad naszymi głowami sklepienie, „kandelabry”, „kaganki” i ukwiecone pnącza jaśniały w bladawym świetle niczym kwietne duchy, łuskowate drzewa wyglądały jak uzbrojeni żołnierze na warcie. I jeszcze te zapachy, dziwnie przyspieszające oddech, silne, bardzo silne, pulsujące rytmicznie jak zachłystujące się życiem serce lasu! Wreszcie dotarliśmy do kresu naszej drogi. W dole lśniło Jezioro Duchów.

Myślę, że nigdzie na świecie nie ma drugiego takiego miejsca, zapierającego niemal do bólu dech w piersiach, tak niezmiernego cudu, jak to jezioro pod niebem mirażu. Tam właśnie znajdowało się siedlisko Czarownicy. I gdyby nawet przedtem nie była czarownicą, tu musiałaby się nią stać.

Kształtem przypominało grot strzały. Dłuższy brzeg miał nie więcej niż milę długości. Otaczały je niskie wzgórza porośnięte drzewiastymi paprociami; ich poszarpane liście nadawały pagórkom wygląd rajskich ptaków o fantazyjnym upierzeniu, strzelając gdzieniegdzie w górę jak fontanna, to znów powiewając jak ogromne zielone skrzydła. Woda miała kolor bladego szmaragdu i lśniła łagodnym blaskiem – spokojna, niezmacona. Lecz pod przejrzystą taflą tętnił ruch; połyskliwe, srebrnozielone koła rozchodziły się i ginęły, promienie rozsnuwały się i spletały w fantastyczne, lecz uporządkowane, geometryczne formy, tworzyły się fosforyzujące wiry, które jednak nie sięgały powierzchni, jakby nie chcąc zakłócać jej spokoju. Tu i tam błyszczały skupione, łagodne ogniki jak zamglone rubiny, szafiry, opale, migotliwe perły... ogniki czarodziejskie... Świetliste lilie Jeziora Duchów...

Tam, gdzie znajdował się „czubek grotu”, nie rosły paprocie. Szemrał natomiast cicho rozległy wodospad, którego rozproszone kropelki zasnuwały urwisko skalne gęstym welonem. Mgła mieszała się ze spadającą wodą, kołysała się nad nią w powolnym tańcu, wyciągała ku niej ramiona jak duch pragnący ją pozdrowić. Znad brzegów jeziora również wstawały mgliste obłoki i przeświecone szmaragdową powierzchnią wody biegly na spotkanie tamtym, niczym zaproszone do wspólnego tańca.

Tak oto ujrzałem po raz pierwszy Jezioro Duchów pod nocnym niebem mirażu. W dzień zresztą nie straciło nic ze swego uroku.

Droga schodziła do jeziora prosto jak strzała. Przy jej końcu znajdowało się coś, co kiedyś prawdopodobnie musiało być małą wysepką, usytuowaną mniej więcej na dwóch trzecich długości jeziora. Ponad rosnącymi tam drzewami wznosiły się wieże zameczku. Sprowadziliśmy konie ze stromego brzegu zwężającą się dróżką do „czubka strzały”. Nie było tu paproci

osłaniających podjazd, powierzchnię wzgórza pokrywały błękitne kwiatki. Kiedy podjechaliśmy bliżej, okazało się, że to, co wziąłem za zwiężającą się drogę, było w rzeczywistości groblą zbudowaną z kamienia, a miejsce, do którego zmierzaliśmy – prawdziwą wyspą. Dotarliśmy do końca grobli. Od brzegu wysepki dzieliła nas czterdziestostopowa cieśnina. Lur wyciągnęła zza pasa niewielki róg i zatrąbiła. Po chwili nad cieśniną opadł ze zgrzytem zwodzony most. Przejechaliśmy po nim i zaraz otoczył nas oddział kobiet Lur. Kiedy cwałowaliśmy krętą drogą, usłyszałem skrzywienie podnoszonego mostu. Wkrótce znaleźliśmy się przed wejściem do siedziby Czarownicy.

Przyglądałem się budynkowi z zainteresowaniem, choć wcale nie wydał mi się niezwykły. Znałem dobrze zamki tego rodzaju, ale nigdy nie widziałem zbudowanego z tak osobliwego zielonego kamienia, w dodatku z licznymi wieżyczkami. Takie zamki nazywano „damskimi”; lana’rada, zabawki dla faworyt, miejsce miłości, odpoczynku wojownika czy władcy znużonego sprawami państwowymi.

Kobiety zabrały konie. Otworzyły się szerokie drzwi z wypolerowanego drewna. Lur wprowadziła mnie do środka.

Przywitało nas kilka dziewcząt. Rzuciłem się łączywie na wino, które nam nalewały. Poczulem zawrót głowy, dziwne odrętwienie. Całkiem jakbym się ocknął z długiego, długiego snu, ale niezupełnie, bo nadal dręczyły mnie majaki. Miałem jednak pewność, że nie wszystko działo się we śnie. Stary kapłan, który obudził mnie na pustyni, będącej niegdyś żyzną Ayjirią, to nie sen. Ludzie, którzy się tam znajdowali, nie byli Ayjirami. To nie była ziemia Ayjirów, choć ludzie pochodzili ze starej rasy! Jakże się tam dostałem? Musiałem znowu zasnąć w świątyni... po tym... po tym... Na Zarde, muszę baczyć na każdy krok! Zachować ostrożność! W tym momencie przyływ brawury zmiótł wszelką myśl o rozwadze, zastępując ją kipiącą pasją życia, zachłyśnięciem się wolnością. Czułem się jak wieloletni więzień, który ujrawszy nagle otwartą bramę, za nią zaś świat i nowe życie, rzuca się na wszystko, co w tym momencie stało się dostępne, a czego mu dotąd zabraniano. I nagle – obok całej tej euforii – błysk świadomości, że przecież jestem Leifem Langdonem, który doskonale wie, skąd się tu wziął, i wie także, że jakimś sposobem musi wrócić do Evalie i do Jima. Iskierka ta jednakże zgasła równie szybko, jak się zapaliła.

Uświadomiłem sobie, że nie znajduję się już w holu, tylko w małej, oktagonalnej komnacie o ścianach wybitych tkaninami. Stało tam szerokie, niskie łóżko, na stole błyszczącym od złota i kryształu paliły się długie świece. Moja bluza gdzieś znikła, zamiast niej miałem na sobie tunikę z lekkiego jedwabiu. Duże, dwuskrzydłowe okna były otwarte i wpadało przez nie nasycone zapachami powietrze. Podszedłem do jednego z nich i wychyliłem się. Ujrzałem w dole dach zamku z małą wieżyczką. Jeszcze niżej lśniło jezioro. Z drugiego okna roztaczał się widok na szumiący cicho wodospad, okryty obłokiem mgły, odległy o jakieś tysiąc stóp.

Poczułem na głowie dotyk ręki, która z wolna przesunęła się na moje ramię. Odwróciłem się. Zobaczyłem Czarownicę.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, jaka jest piękna. Jakbym nagle zobaczył ją po raz pierwszy. Jej rdzawe włosy, upięte w wysoką koronę, błyszcząły jak czerwonawe złoto, wąski diadem z szafirów podkreślał kolor oczu. Obcisła, cienka jak pajęczyna, błękitna suknia uwidaczniała wszystkie kształty urodziwego ciała, odsłaniając białe ramiona i jedną z doskonale uformowanych piersi. Pełne, czerwone wargi obiecywały... wszystko i nawet to nieuchwytne, czające się w kąciakach okrucieństwo zdawało się kusić...

Gdzieś została czarnowłosa dziewczyna... kim była?... Ev... Eva... umknęło mi... nieważne... przy tej kobiecie wyglądała jak zjawa... jak mglisty obłok wstający nad wodospadem...

Czarownica czytała w moich oczach. Zsunęła rękę z mego ramienia i położyła ją na sercu. Przysunęła się bliżej. W marzycielskich, szafirowych oczach widać jednak było dziwną determinację.

– I cóż? Naprawdę jesteś Dwayanu?

– Jestem nim, Lur.

– Kim był Dwayanu dawno, dawno temu?

– Nie potrafię tego powiedzieć. Przecież spałem tak długo... We śnie dużo się zapomina. Ale ja – to on.

– Więc patrz. I zapamiętaj.

Skierowała mą głowę w stronę wodospadu. Jego szum z wolna zmieniał brzmienie, przechodząc w bicie bębnów, tętent koni, tupot nóg maszerujących żołnierzy. Głośniejsze, coraz głośniejsze. Wodospad zadrżał i rozsunał się po czarnym urwisku jak gigantyczna kurtyna. Z każdej jego strony błyskawicznie zaczęły wyrastać mgliste widma, które od razu się rozplywały. Bicie w bębny stawało się coraz głośniejsze. I nagle wodospad znikł. Na jego miejscu wznosiły się mury wielkiego miasta. Dwie armie toczyły bitwę. Wiedziałem, że siły atakujące ponoszą klęskę. Wtem usłyszałem ogłuszający tętent setek podkutych koni. Prosto na obrońców runęła rzeka jeźdźców. Ich dowódca miał na sobie błyszczącą zbroję. Jego jasne, nie osłonięte hełmem włosy rozwiewały się w pędzie. Odwrócił się. Miał moją twarz! Rozległ się ryk setek gardeł: „Dwayanuuu!” Szarża poszła naprzód jak burza, zmiotła obrońców, pochłonięła ich.

Widziałem armię rozgromioną, zdruzgotaną przez oddziały uzbrojone w bojowe młoty.

Razem z jasnowłosym wodzem wjechałem do zwyciężonego miasta. Siedziałem wraz z nim na tronie, gdy bezwzględnie, bez cienia litości skazywał na śmierć wleczonych przed nim mężczyzn i kobiety, gdy śmiał się, słysząc za sobą odgłosy grabieży i rabunków. Jechałem z nim i siedziałem z nim – powiadam – ponieważ nie znajdowałem się już w komnacie Czarownicy, tylko przy tym moim jasnowłosym bliźniaku. Patrzyłem jego oczami, słuchałem jego uszami,

myślałem... tak, nawet myślałem jego umysłem.

Bitwa za bitwą, turnieje, uroczystości, triumfy, polowania z sokołami i wielkimi psami w pięknej Ayjirii, zabawy młotem i kowadłem – wszystko to widziałem, stojąc cały czas przy boku Dwayanu jak jego niewidzialny cień. Chodziłem z nim do świątyni, gdy pełnił religijne obowiązki. Poszedłem z nim nawet do świątyni Czarnego, Pochłaniającego Wszystko Kalk'ru, najpotężniejszego z bogów, i widziałem, jak nosi mój pierścień. Ale w momencie, gdy przekraczał próg świątyni, cofnąłem się. Poczulem ten sam, głęboko zakorzeniony, stanowczy opór, który powstrzymał mnie przed bramą świątyni w oazie. Słuchałem teraz dwóch głosów. Jeden popychał mnie za Dwayanu, drugi szeptał, że nie wolno mi tam iść. I nie mogłem się zdobyć, by ten właśnie głos zlekceważyć.

Nagle Ayjiria zniknęła! Patrzyłem na wodospad i unoszące się przy nim mgliste widma. Ale – byłem Dwayanu!

Cały byłem Dwayanu! Leif Langdon przestał istnieć. A jednak zostawił po sobie ślad... Ślad w postaci na pół zapamiętanych snów, wspomnień, których źródła nie mogłem sobie uprzytomnić, choć wiedziałem, że są prawdziwe. To z nich płynęła moja wiedza, że kraj Ayjirów, którym kiedyś władałem, zniknął tak samo jak jego widmo z wodospadu. Że okrył go kurz wieków, w czasie których inne imperia powstawały i upadały. I że pozostał skrawek ziemi, zawierający okruch dawnej chwały.

Wojownik, król i kapłan – oto, kim byłem! Miałem w rękach imperium, ode mnie zależały dzieje i los całej rasy!

A teraz nie mam nic.



## Rozdział XVI

### POCAŁUNKI LUR

Kiedy odwracałem się od okna, w moim sercu zalegała czarna zgryzota i gorycz popiołów. Spojrzałem na Lur. Wodziłem po niej wzrokiem, poczawszy od długiej, szczupłej stopy, a skończywszy na lśniącej głowie – i oto czerń się rozjaśniła, a popioły rozwiały.

Położyłem ręce na jej ramionach i roześmiałem się. Luka zakręciła kołem – i moje imperium uleciało gdzieś jak pył z glinianych garnków. A jednak coś mi zostawiła. Mało było w starożytnej Ajirii takich kobiet jak ta!

Chwata Luce! Zaraz jutro złożę jej ofiarę, jeśli ta kobieta rzeczywiście jest taka, jak się wydaje!

Utracone imperium? No i co z tego? Zbuduję drugie! Wystarczy, że żyję!

Znów się roześmiałem. Uniosłem podbródek Lur, przyciągnąłem jej twarz do mojej i wpiłem się w czerwone wargi. Odepchnęła mnie ze złością. Lecz pod gniewem wyczuwałem wahanie.

– Zmusiłaś mnie, bym sobie przypomniał. Czemu otworzyłaś śluzy mej pamięci, Czarownico, jeśli nie zdecydowałaś się na to, co musiało nastąpić? Cofnęła się o krok i odpowiedziała z gniewem:

– Swoje pocałunki rozdaje, kiedy zechcę. Nikt ich nie będzie sam brał.

Porwałem ją w ramiona, zgmiotłem usta moimi. Potem się odsunąłem.

– Ja biorę. – Uderzyłem ją w prawy nadgarstek.

Miała w ręku sztylet. Uśmiechnąłem się na myśl o tym, gdzie go ukrywała. Wyszarpnąłem jej nóż i wsadziłem sobie za pas. – A tym, które całuję, wrywam żądła.

Tak czynił Dwayanu za dawnych dni, tak czyni i dziś.

Cofnęła się jeszcze bardziej. Oczy jej zwilgotniały. Ai! Przejrzałem ją! Miała mnie za kogoś innego. Za postrzelonego szarlatana, naciągacza. Dlatego zastawiła na mnie pułapkę, chciała, bym się ugiął. Próbowała mnie przechytrzyć, mnie, Dwayanu, który znałem kobiety na wylot, tak jak wojnę! A mimo to...

Była bardzo piękna. I w tym obcym kraju tylko z nią mogłem podjąć odbudowę swej potęgi. Uświadomiłem to sobie jasno, kiedy tak stała, wpatrując się we mnie. Wówczas przemówiłem, a moje słowa były tak chłodne, jak myśli.

– Żadnych więcej sztuczek ze sztyletami... nie ze mną. Wezwij służbę. Jestem głodny i spragniony. Kiedy zjem i wypiję – porozmawiamy.

Zawahała się, ale klasnęła w ręce. Weszły kobiety z dymiącymi półmiskami, dzbanami wina, owocami. Jadłem zachłannie, piłem chciwie. Podczas posiłku mało myślałem o Lur, natomiast dużo o tym, co widziałem dzięki jej czarom. Wracałem myślą do tego, co zapamiętałem od

chwili pobytu w oazie aż do dzisiaj. Niewiele tego było. Posiłałem się w milczeniu, czując na sobie wzrok Czarownicy. Potem spojrzałem jej w oczy i uśmiechnąłem się.

– Myślałaś, że zrobisz sobie ze mnie niewolnika. Żeby ci to więcej nie przyszło do głowy. Oparła twarz na dłoniach, przyglądając mi się z drugiego końca stołu.

– Czy zeschnięty liść może się zazielenić? Dwayanu nie żyje od niepamiętnych czasów.

– Jestem nim, Lur.

– Nie odpowiedziała.

– Co ci chodziło po głowie, kiedy mnie tu wiozłaś?

– Mam dość Tibura, jego rehotu i głupoty.

– Co jeszcze?

Yodina też mam dosyć. Ty i ja... my sami... moglibyśmy rządzić Karakiem, gdyby...

– To „gdyby” jest sednem sprawy. O co chodzi, Czarownico?

Wstała i pochyliła się ku mnie.

– Gdybyś przywołał Kalk’ru!

– A jeśli nie?

Wzruszyła białymi ramionami i opadła z powrotem na krzesło. Wybuchnąłem śmiechem.

– Wtedy okaże się, że Tibur nie jest aż tak nie do zniesienia, a i z Yodinem da się wytrzymać. Posłuchaj mnie teraz, Lur. Czy głos, który przynaglał mnie do przekroczenia progu świątyni Kalk’ru, należał do ciebie?

Czy widziałaś to co ja? Nie musisz odpowiadać. Przejrzałem wszystko. Mogę cię uwolnić od Tibura. Może mógłbym go i zabić. To samo z Yodinem. No dobrze, mniejsza o to, kim jestem. Jeśli potrafię sprowadzić Większego Od Bogów, Yodin stanie się niepotrzebny. I nie będzie już Tibura ani Yodina, tylko ty i ja. Wydaje ci się, że wtedy mną zawładniesz. Otóż nie.

Słuchała w ciszy. Potem spokojnie powiedziała:

– Wszystko to prawda... – Zawahała się. Oczy jej błyszczały, policzki i szyja się zaróżowiły.

– A jednak... może był jeszcze inny powód...

Nie zapytałem jaki. Kobiety już próbowały wciągnąć mnie w tę pułapkę. Opuściła wzrok. Okrucieństwo kryjące się w jej czerwonych ustach wypełzło nagle na wierzch.

– Co obiecałaś Yodinowi, Czarownico?

Wstała i wyciągnęła do mnie rękę. Drżącym głosem odrzekła:

– Dlaczego tak do mnie mówisz? Czyżbyś był istotą niższego rzędu? Czyż nie ofiarowałam ci władzy? Nie chciałam jej z tobą dzielić? Czyż nie jestem piękna i godna pożądania?

– Bardzo piękna i nad wszelką miarę godna pożądania. Ale nim obejmę miasto w posiadanie, muszę wiedzieć, gdzie kryją się zasadzki.

Na te słowa jej oczy zapłonęły szafirowym ogniem. Zrobiła szybki krok w stronę drzwi. Ja byłem szybszy. Chwyciłem ją mocno, unieruchamiając rękę wzniesioną, by wymierzyć mi policzek.

– Co obiecałaś arcykapłanowi, Lur?

Przyłożyłem do jej gardła koniuszek sztyletu. Patrzyła na mnie gniewnymi, nieulekłymi oczami. Luko, obróć swe koło, bym nie musiał uśmiercić tej kobiety!

Jej napięte ciało zelżało w moim uścisku. Roześmiała się.

– Zabierz sztylet, powiem ci.

Uwolniłem ją i wróciłem na krzesło. Usiadła naprzeciwko i przyjrzała mi się. Wreszcie odezwała się z niedowierzaniem:

– Zabiłbyś mnie!

– Tak – odparłem.

– Wierzę ci. Kimkolwiek jesteś, Żółtowołosy, nie ma takiego drugiego jak ty!

– Kimże miałbym być, Czarownico?

Zniecierpliwiła się.

– Dość już wzajemnych pretensji. – W jej głosie brzmiał gniew. – Skończyłam z kłamstwami i lepiej zrób to samo. Nie jesteś Dwayanu! Powtarzam: zeschły liść nie może się zazielenić ani trup zmartwychwstać.

– Skoro nim nie jestem, skąd wzięły się te obrazy z przeszłości, które widziałaś niedawno tak dobrze jak ja?

– Czy przeszły z mojego umysłu do twojego, czy na odwrót?

Potrząsnęła głową. Znów dostrzegłem w jej oczach skrywaną wątpliwość.

– Nic nie widziałam. Chciałam, żebyś ty zobaczył... Zwodzisz mnie. Jeśli coś widziałeś, ja nie miałam w tym udziału. I nie próbowałam ci narzucać swojej woli. – Widziałem starożytny kraj...

– Nie było mi dane przekroczyć jego bram – odparła ponuro.

– Wysłałaś mnie do Ayjirii, bo tak chciał Yodin. O co chodziło?

– O Kalk'ru.

– Dlaczego?

– Bo wtedy przekonałabym się na pewno, bez żadnej wątpliwości, czy potrafisz go wezwać. Właśnie to obiecałam Yodinowi. Że się dowiem.

– A gdyby okazało się, że potrafię?

– Zostałbyś uśmiercony, nim nadarzyłaby się okazja.

– A jeżeli nie?

– Ofiarowano by cię Kalk'ru w świątyni.

– Na Zardę! – zawołałem. – Nie tak witano Dwayanu za dawnych lat... Albo jeśli wolisz:

wasza gościnność jest raczej odstręczająca dla podróżnych. Teraz może dogadamy się w sprawie usunięcia Tibura i Yodina. Choć właściwie... czemu nie miałbym zacząć od ciebie?

Odchyliła się z uśmiechem.

– Po pierwsze – nic ci to nie da, Żółtowłoso. Podejdz do okna.

Podszedłem. Zobaczyłem groblę i gładkie wzgórze, koło którego przejeżdżaliśmy po wydostaniu się z lasu. Wszędzie stali żołnierze, a na szczycie pagórka cała kompania. Miała rację! Nawet ja nie przedarłbym się tędy bez uszczerbku. Poczułem, jak od środka narasta we mnie znana mi już zimna furia. Czarownica obserwowała mnie z jawną kpina w oczach.

– A po drugie – dodała – no cóż, Żółtowłoso, zechciej mnie wysłuchać.

Nalałem sobie wina i przepiłem do niej. Lur mówiła dalej.

– Życie w tym kraju jest przyjemne. W każdym razie dla tych z nas, którzy są u władzy. Nie mam ochoty na zmiany... no może z wyjątkiem Tibura i Yodina. Jest jeszcze coś... ale pomówimy o tym później. Wiem, że świat się zmienił od tych pradawnych czasów, kiedy nasi przodkowie uciekli ze starożytnej Ayjirii. Wiem, że poza tym ukrytym miejscem, do którego doprowadził ich Kalk'ru, istnieje inny świat. Yodin i Tibur też o tym wiedzą, a także paru innych. Jeszcze inni się domyślają. Ale nikt z nas nie chce opuszczać tego przyjemnego miejsca ani też dopuścić do inwazji obcych. Szczególnie nie życzymy sobie, by nasi ludzie stąd wyjeżdżali. A tak by się na pewno stało, gdyby wiedzieli, że na zewnątrz są zielone pola, lasy i rzeki, że świat jest gęsto zaludniony. W ciągu niezliczonych lat wmawiano tutaj mieszkańcom, że nie ma życia poza tym skrawkiem ziemi. Wiedzą, że Kalk'ru, rozgniewany wielkim świętokradztwem, kiedy to Ayjirowie powstali przeciw niemu i zburzyli jego świątynie – zniszczył w odwecie całe życie. Toleruje tylko to miejsce, które będzie istnieć tak długo, jak długo będzie mu się składać starodawną ofiarę. Rozumiesz mnie, Żółtowłoso? Kiwnąłem głową.

– Proroctwo o Dwayanu jest bardzo stare. Był najpotężniejszym królem Ayjirii. Żył jakieś sto lat przed czasem, kiedy lud zaczął się odwracać od Kalk'ru, buntować przeciw ofiarom – i wtedy za karę ich kraj stopniowo zaczął zmieniać się w pustynię. Wybuchły najpierw zamieszki, a wreszcie wielka wojna, która miała zniszczyć Ayjirów. Wtedy powstało proroctwo, według którego Dwayanu ma powrócić i wskrziesić dawną potęgę Ayjirów. Nic nowego, Żółtowłoso. Poszczególne pokolenia miały swoich „Dwayanu”. Nazywali się różnie: Odkupiciel, Wybawca, Oswobodzicie) – przynajmniej tak czytałam w tych zwojach, które nasi przodkowie zabrali tu, uciekając. Nie wierzyłam w te historie – mogli powstawać nowi „Dwayanu”, ale ten prawdziwy nie wróci. Mimo to ludzie znają przepowiednię. Gotowi są wierzyć we wszystko, co obiecuje wyzwolenie od tego, co muszą znosić, choć nie chcą. Ofiary nie podobają się tym, spośród których się je wybiera. Ale ponieważ bardziej boją się tego, co mogłoby nastąpić, gdyby ich zaniechano – znoszą je.

Teraz, Żółtowłoso, przejdźmy do ciebie. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy

i usłyszałam, jak wrzeszczysz, że jesteś Dwayanu, naradziłam się z Tiburem i Yodinem. Myślałam, że jesteś z Sirku. Wkrótce okazało się, że nie. I był z tobą ten drugi...

– Drugi? – zdziwiłem się szczerze.

Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

– Nie pamiętasz go?

– Nie. Pamiętam, jak cię ujrzałem. Miałś białego sokoła. I otaczały cię inne kobiety. Widziałem cię z rzeki...

Pochyliła się w skupieniu.

– Pamiętasz Rrllia? Małych ludzi? Czarnowłosa dziewczynę o imieniu Evalie?

Mali ludzie, czarnowłosa dziewczyna... Evalie? Tak, coś sobie przypominałem, ale jak przez mgłę... Byli chyba w tych majakach, które zapomniałem... Nie, oni istnieli. A może nie?

– Słabo, Lur. Coś tam pamiętam, ale niewyraźnie.

Wpatrywała się we mnie, jakoś dziwnie rozradowana.

– Mniejsza o to – rzekła. – Staraj się o tym nie myśleć. Nie byłeś... rozbudzony. Później o nich pomówimy. To wrogowie. Nieważne, teraz uważaj. Gdybyś był z Sirku i pozował na Dwayanu, mógłbyś skupić przy sobie naszą opozycję, a nawet objąć jej przywództwo. Jeśli natomiast przychodzisz z zewnątrz – jesteś jeszcze bardziej niebezpieczny, ponieważ mógłbyś udowodnić, że kłamiemy. Skupiłbyś przy sobie wtedy nie tylko cywilów, ale i wojsko. Pewnie byś tak zrobił. Więc cóż nam pozostaje, jak tylko cię zabić?

– Rzeczywiście nic – odparłem. – Zastanawiam się teraz, dlaczego jeszcze żyję.

– Skomplikowałeś sprawę. Pokazałeś pierścień. Wielu go widziało i wielu słyszało, jak nazwałeś się Dwayanu...

Ach, tak! Teraz przypomniałem sobie. Wyszedłem z rzeki. Jak się w niej znalazłem? Most... Nansur... Coś się tam wydarzyło... Wszystko jest jakieś nieostre, zamglone... Mali ludzie... tak, coś sobie przypominam... Bali się mnie... A ja nic do nich nie miałem... Na próżno próbowałem uporządkować te majaki. Głos Lur wyrwał mnie z rozmyślań.

– Więc – mówiła – przekonałam Yodina, że nie byłoby dobrze zabijać cię od razu. Ludzie by się dowiedzieli i spowodowałyby to wiele zamieszania. Sirk by się wzmocnił. Powstałyby niepokoje między żołnierzami.

No, bo jak to – zjawia się Dwayanu – a my go uśmiercamy?!

„Zajmę się nim”, powiedziała do Yodina. „Nie ufam Tiburowi, który jest tak tępy i zarozumiały, że może z łatwością zgubić nas wszystkich. Istnieje lepszy sposób. Niech go pożre Kalk’ru. Wtedy okaże się, że mieliśmy rację, a on był kłamcą i szarlatanem. I potem nieprędko pojawi się następny Dwayanu!”

– Więc arcykapłan też nie wierzy, że jestem Dwayanu?

– Jeszcze mniej niż ja, mój Żółtowłosa – odparła z uśmiechem. – Tak samo Tibur. Ale

wszyscy, i ja też, jesteśmy zaciekawieni, skąd się wzięłaś, w jaki sposób i po co. To, że wyglądasz jak Ajjir, nic nie znaczy. Masz na dłoniach odpowiednie znaki... cóż, powiedzmy, że masz w sobie starą krew. Tibur też ma te znaki i nie jest żadnym zbawcą. – Jej śmiech brzmiał jak dźwięk małych dzwoneczków. – Posiadasz pierścień. Gdzieżeś go znalazł, Żółtowołosy? Słabo wiesz, jak się nim posługiwać. Yodin to odkrył, gdy spałaś. Widział też, jak zbladłaś i chciałaś czmychnąć, kiedy po raz pierwszy ujrzałaś Kalk'ru w jego komnacie. Nie zaprzeczysz temu, Żółtowołosy. Ja też to widziałam. O, nie, Yodin nie musi się obawiać rywala do względów Pochłaniacza. A jednak nie jest całkowicie przekonany. Istnieje cień wątpliwości. Wykorzystałam to – i dlatego tu jesteś.

Popatrzyłem na Lur ze szczerym uwielbieniem. Ponownie wzięłem puchar i do niej przepiłem. Potem klasnąłem w ręce. Weszły służące.

– Sprzątnąć stół. Przynieść wina – rozkazałem.

Wkrótce wróciły z nowymi dzbanami i kielichami.

Kiedy sobie poszły, zbliżyłem się do drzwi i przesunąłem w dół ciężką sztabę, która je zamykała. Potem podniosłem do ust jeden z dzbanów i opróżniłem go do połowy.

– Potrafię wezwać Pochłaniacza, Czarownico.

Wstrzymała raptownie oddech i zadrżała na całym ciele; Oczy jej rozbłysły i nabrały jeszcze intensywniejszej barwy.

– Pokazać ci?

Wyjąłem pierścień i wsunąłem sobie na kciuk. Wzniosłem ręce i rozpocząłem akt pozdrowienia...

W komnacie powiało chłodem. Czarownica skoczyła na równe nogi i ściągnęła moje ręce w dół. Wargi jej zbieleły.

– Nie! Nie! Wierzę ci... Dwayanu!

Zaśmiałem się. Dziwne uczucie chłodu gdzieś się ulotniło.

– I co teraz powiesz kapłanowi, Czarownico?

Krew z wolna napływała z powrotem do jej policzków i warg. Podniosła dzban i wysączyła wino do dna. Ręka jej nie drgnęła. Co za fantastyczna baba!

– Powiem, że jesteś nieszkodliwy.

– Sprowadzę Pochłaniacza. Zabiję Tibura. Zabiję Yodina... I co tam jeszcze?

Podeszła tak blisko, że dotykała mnie piersiami.

– Zburz Sirk. Zrób porządek z krasnalami. Wtedy będziemy rządzić razem – ty i ja.

Napiłem się jeszcze wina.

– Sprowadzę Kalk'ru, usunę Tibura i arcykapłana.

Obrócę Sirk w perzynę i wywołam wojnę z karłami... jeżeli...

Patrzyła mi w oczy. Długo, bardzo długo. Potem jej ręka znalazła się na moim ramieniu...

Zgasiałem świecę. Przez okna sączyła się zielona ciemność mirażu. Szum wodospadu wydał mi się nagle cichutkim chichotem.

– Zapłatę biorę z góry – oznajmiłem. – Tak zawsze robił Dwayanu, a ja nim jestem, prawda?

– Jesteś... – szepnęła Czarownica.

Zdjęła z głowy szafirowy diadem. Rozplotła włosy i strząsnęła je złotą falą na ramiona. Zarzuciła mi ręce na szyję. Nasze usta się złączyły i przywarły do siebie.

Tętent koni na grobli jak odległe wyzwanie... Zapukano do drzwi. Czarownica obudziła się i usiadła, rozspana, pod jedwabistym namiotem włosów.

– To ty, Ouardo?

– Tak, pani. Przybył posłaniec od Tibura.

– Zaśmiałem się.

– Powiedz mu, że zajmujesz się teraz sprawami bogów.

Pochyliła się nade mną tak, że namiot okrył nas oboje.

– Powiedz mu, że zajmuję się sprawami bogów – powtórzyła posłusznie. – Niech zaczeka do rana albo wraca do Tibura z tą wiadomością.

Opadła z powrotem na łożo. Przycisnęła wargi do moich.

Na Zardę! Tak było zawsze, od najdawniejszych czasów! Nieprzyjaciołom – śmierć, podbitym miastom – grabież, obcym plemionom – wojna... a wokół mojej szyi miękkie, kobiece ramię...

Nareszcie było mi dobrze!

## **KSIĘGA DWAYANU**



## Rozdział XVII

### PRÓBA

Bielona noc zdążyła dwukrotnie wypełnić nieckę kotliny pod mirażem, a ja wciąż piłem i weseliłem się z Lur oraz jej orszakiem. Co za wojowniczkę z tych kobiet! Pod atlasową skórą miały mięśnie ze stali. Podczas turniejów na miecze czy młoty, a także walk zapaśniczych nieraz dobrze mnie przycisnęły, dorównując mi siłą i szybkością. Jeśli Sirk opanowały im podobne – niełatwo będzie go zdobyć.

Ze spojrzeń, jakie mi rzucały, i dobiegających mnie szeptów domyślałem się, że jeśli Lur pojedzie do Karaku, nie będę skazany na samotność. Ale nie planowała wyjazdu – tkwiła przy moim boku. Nie pojawił się więcej żaden wysłannik od Tibura, a jeśli nawet, to nic o tym nie wiedziałem. Lur przekazała tajną wiadomość arcykapłanowi. Przyznała mu rację: nie miałem mocy sprowadzenia Większego Od Bogów. Byłem oszustem albo szaleńcem. Tak mi przynajmniej powiedziała. Klaniała jemu czy mnie? Tego nie wiedziałem i niewiele mnie to obchodziło. Za bardzo byłem zajęty... życiem.

Nie nazywała mnie już Żółtowołosym, lecz Dwayanu. Starła się mnie jak najmocniej z sobą związać, używając do tego celu całego kunsztu miłosnego, w którym bynajmniej nie była nowicjuską.

Wczesnym rankiem trzeciego dnia stałem w oknie obserwując, jak blakną za mgłą połyskliwe lilie podobne do drogich kamieni. Kłęby mgły, uwiecznione nad wodospadem, przesuwały się z wolna w górę. Myślałem, że Lur śpi. Słyszałem, jak poruszyła się i przekręciła na bok. Teraz siedziała przyglądając mi się zza rudej zasłony włosów. Wyglądała całkiem jak czarownica...

– W nocy przyjechał posłaniec od Yodina. Dziś będziesz się modlił do Kalk’ru.

Przeszył mnie dreszcz. Krew zaszumiała mi w uszach. Zawsze kiedy miałem przywoływać Pochłaniacza, czułem tę – nadludzką moc i dumę. Euforię przewyższającą nawet radość zwycięstwa. A jednocześnie zapiekłą złość, odrazę do Bytu, który jest nieprzyjacielem życia. Do demona pasożytującego na ayjirskim ciele, ayjirskiej krwi i duszy.

Nadal mnie obserwowała.

– Boisz się, Dwayanu?

Usiadłem przy niej i rozdzieliłem jej włosy.

– Czy to z tego powodu dostałem tej nocy podwójną porcję całusów? I do tego takich czułych? Byłaś samą czułością, Czarownico, ale ona do ciebie nie pasuje. Czego ty się boisz? O mnie? Uważaj, bo się popłaczę.

Oczy jej rozblęły. Mój śmiech sprowadził rumieńce na jej policzki.

– Nie wierzysz, że cię kocham, Dwayanu?

- Bardziej kochasz władzę.
- A ty mnie kochasz?
- Też bardziej Kocham władzę, Czarownico.
- I roześmiałem się znowu.

Przyglądała mi się przymrużonymi oczami.

– Dużo się o tobie mówi w Karaku – rzekła. – Zagrożenie wzrasta. Yodin żałuje, że cię wtedy nie zabił.

Wie jednak, że gdyby to uczynił, sytuacja byłaby jeszcze gorsza. Tibur także żałuje, że cię nie uśmiercił, kiedy wydostałeś się z rzeki, i uważa, że nie ma już czasu do stracenia. Arcykapłan ogłosił cię fałszywym prorokiem i obiecał, że Większy Od Bogów tego dowiedzie. Wierzy w to, co mu powiedziałam, chyba że coś knuje. Ty, który z taką łatwością czytasz w moich myślach – do jej głosu wkradła się szydercza nutka – z pewnością go rozszyfrujesz i potrafisz się obronić. Ludzie szemrzą. Wysoko urodzeni domagają się, by cię stawić przed nimi. Żołnierze z ochotą poszliby za Dwayanu, gdyby uwierzyli, że nim jesteś. Są niespokojni. Szerzą się plotki. Stałeś się zdecydowanie niewygodny. Toteż dziś staniesz przed Kalk’ru.

– Jeśli mówisz prawdę – odparłem – to przyszło mi do głowy, że do zdobycia władzy wcale nie muszę wzywać Pochłaniacza.

Uśmiechnęła się.

– Miałam cię za chytrzejszego. Przecież będziesz dobrze pilnowany. Zabiją cię, nim zdołasz zbuntować tuzin najbliższych stojących żołnierzy. Czemu nie, wtedy już nie będą mieli nic do stracenia, a może coś do zyskania.

Poza tym... co z twoimi obietnicami?

Uniosłem ją w górę i pocałowałem.

– Co do tego, że chcą mnie uśmiercić... cóż, mam tu jeszcze coś do powiedzenia. Ale żartowałem tylko.

Dotrzymuję obietnic.

Na grobli rozległ się tętent galopujących koni, pobrząkiwanie oręża i bicie w werble. Podeszedłem do okna. Lur wyskoczyła z łóżka i stanęła przy mnie. Nadciągał oddział złożony z około setki konnych. Na ich włóczniach powiewały żółte proporczyki z czarnym emblematem Kalk’ru. Zatrzymali się przy moście zwodzonym. Dowodził nimi Tibur w żółtym płaszczu narzuconym na szerokie bary, z wizerunkiem Krakena na piersi.

– Mają cię zabrać do świątyni. Muszę ich wpuścić.

Czemu nie? – zgodziłem się obojętnie. – Ale na czczo nigdzie nie idę. – Tu spojrzałem na Tibura. – I jeśli mam jechać obok Kowala, znajdź mi jakąś kolczugę.

– Pojedziesz koło mnie – odparła. – A co do broni, będziesz miał swój młot. Ale po drodze nie masz się czego obawiać. To w świątyni kryje się niebezpieczeństwo.

Zmarszczyłem brwi.

– Stanowczo za dużo mówisz o strachu, Czarownico.

Zadmij w róg. Tibur gotów pomyśleć, że mam opory przed spotkaniem a tego bym sobie nie życzył.

Dała sygnał oddziałowi przy grobli. Kiedy brałem kąpiel, słyszałem zgrzyt opuszczanego mostu, a zaraz potem tupot kopyt przed wejściem. Po Lur przyszła pokojówka i razem opuściły komnatę.

Ubrałem się bez pośpiechu. Po drodze do głównego holu zatrzymałem się przy zbrojowni. Widziałem tam miecz, który mi się podobał. Miał odpowiednią wagę, długość i wygięcie, a wykonany był z najprzedniejszej stali, jaką widziałem u Ayjirów. Zważyłem go w lewej ręce i wybrałem jeszcze jeden, lżejszy, do prawej. Przypomniałem sobie, że ktoś mnie ostrzegął przed lewą ręką Tibura. Ach tak... to ta wojowniczką. Zaśmiałem się. No, niech lepiej on się strzeże mojej lewicy. Wziąłem jeszcze młot, nie tak ciężki jak Kowala... ta jego próżność! Lżejsza broń jest poręczniejsza w użyciu... Przymocowałem sobie do ramienia mocny pasek przytrzymujący rzemień. Tak wyposażony, zszedłem na spotkanie z Tiburem.

W holu czekało ze dwunastu ayjirskich nobilów, głównie mężczyzn, oraz Lur. Zauważyłem, że rozstawiła swoich żołnierzy w strategicznych punktach, a także że byli dobrze uzbrojeni. Uznałem to za dowód jej wiarygodności, aczkolwiek niezupełnie się zgadzało z zapewnieniem, że niebezpieczeństwo zaczyna się dopiero w świątyni.

Nie miałem nic do zarzucenia powitaniu ze strony Tibura i jego towarzyszy. Z wyjątkiem jednego. U boku Kowala stał mężczyzna prawie tak wysoki jak ja. Miał zimne, niebieskie oczy o szczególnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniu, charakterystycznym dla urodzonego zabójcy. Od jego lewej skroni do podbródka biegła szrama, nos nosił ślady złamania. Tego rodzaju człowieka, rozmyślałem, wysyłałbym za dawnych czasów do najbardziej buntowniczych plemion. Była w nim arogancja, która mnie irytowała, lecz starałem się tego nie okazać. Nie miałem zamiaru prowokować w tym momencie jakichś konfliktów ani budzić w Tiburze podejrzeń. Moje powitanie cechowała nawet pewna ugodowość.

Nie zmieniłem tej postawy w czasie posiłku, choć w pewnym momencie z trudem się opanowałem. Tibur pochylił się ze śmiechem do szramowatego.

– Mówiłem, Rascho, że jest wyższy od ciebie. Myszaty ogier jest mój.

Niebieskie oczy przesunęły się po mnie. Zrobiło mi się mdło.

– Jest twój.

Tibur zwrócił się teraz do mnie:

– Nazywa się Rascha Łamikark. Drugi po mnie w Karaku. Szkoda, że masz się tak szybko

spotkać z Większym Od Bogów. Wasze starcie mogłoby być ciekawe.

Zaczęło mnie ponosić. Ręka sama opadła na miecz. Udało mi się jednak opanować i odpowiedziałem z pewnym ożywieniem:

– Rzeczywiście... Może moje spotkanie dałoby się odłożyć?

Lur zmarszczyła brwi i rzuciła mi niespokojne spojrzenie, ale Tibur połknął przynętę. Jego oczy błysnęły złościwością.

– Nieee... to ktoś, kto raczej nie powinien czekać. Ale może później...

Od jego rechotu zatrzęsł się stół. Inni mu zawtórowali. Szramowaty uśmiechnął się tylko. Na Zarde, to nie do zniesienia! Uważaj, Dwayanu, umiałeś ich przecież wyrolować za dawnych dni...więc wy rolujesz i teraz!

Dopiłem wino, nalałem sobie więcej. Przyłączyłem się do ich rechotu, choć cały czas zastanawiałem się, z czego się śmieją. I wryłem sobie dobrze w pamięć ich twarze.

Jechałem przez groble, z Lur po prawej stronie. Otaczało nas ciasne półkole uzbrojonych kobiet. Przed nami cwałował Tibur z Łamikarkiem i tuzinem najlepszych ludzi. Za sobą mieliśmy oddział z żółtymi proporczykami, a na samym końcu straż Lur.

Przyobklełem twarz w odpowiednio zgnębioną minę. Od czasu do czasu Kowal i jego kompania oglądali się na mnie. Znów słyszałem ich śmiech. Lur milczała, tak jak ja. Kilka razy spojrzała na mnie z ukosa. Pochylałem wtedy niżej głowę.

Przed nami ukazała się czarna twierdza. Wjechaliśmy do miasta. Zaciekawienie w oczach Lur zmieniło się niemal w pogardę, śmiech Kowala stał się wyraźnie szyderczy. Na ulicach tłoczyli się mieszkańcy Karaku. Westchnąłem. Chciałem otrząsnąć się z tego odrętwienia, ale nadal pozostawałem bierny.

– Wykiwałeś mnie, Żółtowołoso? Jedziesz jak pies z podwiniętym ogonem!

Odwrociłem się, by nie widziała mej twarzy. Na Luke, jak trudno jest zdusić śmiech!

W tłumie rozległy się szept i pomruki. Nie wznoszono okrzyków, nikt nas nie pozdrawiał. Wszędzie stali żołnierze uzbrojeni w miecze, młoty i dzidy gotowe do użycia. Byli wśród nich i łucznicy. Arcykapłan wołał nie ryzykować.

Ja też.

Nie leżało w moich planach wszczynanie masakry. Nie chciałem dawać Tiburowi najmniejszego choćby pretekstu do zwrócenia broni przeciwko mnie. Lur sądziła, że niebezpiecznie będzie dopiero w środku, nie po drodze. Ja wiedziałem, że jest akurat na odwrót.

Tego więc dnia nie jechał przez Karak ani zwycięski bohater, ani oswoobodziciel, ani waleczny wojownik z przeszłości, tylko niepewny siebie człowiek... choć właściwie aż za pewny tego, co mu szykują. Ludzie, którzy oczekiwali Dwayanu i mu się przyglądali, wyczuwali to –

i albo szeptali, albo milczeli. Kowal był bardzo zadowolony. Ja też, ponieważ żadna oblubienica nie czekała na swego oblubieńca z taką niecierpliwością, jak Dwayanu na spotkanie z Kalk'ru. Nie mogłem więc ryzykować, że przeszkodzą mi w tym miecze, młoty czy włócznie.

Zmarszczka na czole Czarownicy pogłębiała się. Z oczu wзираła jeszcze większa pogarda i wściekłość.

Okrążyliśmy twierdzę i wjechaliśmy na szeroką drogę prowadzącą z powrotem do skał. Przegalopowaliśmy po niej z łopotem proporczyków, przy akompaniamencie bębnow. Znaleźliśmy się przed olbrzymią bramą wykutą w skale. Ileż to razy przekraczałem za dawnych czasów taką bramę!

Zsiadłem niepewnie z konia i dość niechętnie pozwoliłem Tiburowi i Lur wprowadzić się do małej, wyciosanej w skale komnaty.

Zostawili mnie i wyszli bez słowa. Rozejrzałem się. Stały tam skrzynie z obrzędowymi szatami, zbiornik do rytualnego oczyszczania, naczynia z olejkami do namaszczenia ożywiciela Kalk'ru.

Drzwi się otworzyły. Znalazłem się twarzą w twarz z Yodinem. Przyglądał mi się z mściwym triumfem. Kowal i Lur musieli mu opowiedzieć, jak zachowywałem się w drodze. Niczym dziewczyna przeznaczona na ofiarę! Cóż, miał nadzieję, że Lur mówiła szczerze. Jeśli zaś przyszło jej do głowy mnie zdradzić, jeśli to zrobiła... arcykapłan pewnie uważa mnie teraz za kłamcę i szarlatana... i ma ku temu powody, podobnie jak Tibur i inni. Ale jeśli pozostała mi wierna, to swoim zachowaniem kryłem jej kłamstwa wobec Yodina.

Weszło dwunastu niższych kapłanów, ubranych w rytualne szaty. Arcykapłan nosił żółty, luźny kaftan z mackami oplatającymi go dookoła. Na kciuku miał pierścień Kalk'ru.

– Większy Od Bogów oczekuje twych modłów, Dwayanu – rzekł. – Najpierw jednak musisz się oczyścić.

Skinąłem głową. Zajęli się koniecznymi obrzędami. Poddawałem im się niezdarnie, jak ktoś, kto nie będąc z nimi obeznany, udaje w oczywisty sposób, że wszystko o nich wie. Złośliwość w oczach Yodina wzrosła jeszcze bardziej.

Obrządki dobiegły końca. Yodin wyjął ze skrzyni kaftan taki jak swój i udrapował go na mnie. Czekałem, co dalej.

– Twój pierścień – przypomniał mi ironicznie. – Nie pamiętasz, że musisz go włożyć?

Wyjąłem pierścień z medalionu i wsunąłem go na kciuk. Niżsi kapłani opuszczali już komnatę ze swoimi bębnami. Poszedłem za nimi z Yodinem u boku. Usłyszałem brzęk młota o kowadło. Poznałem głos Tubalki, najstarszego boga, który nauczył ludzi, jak ożenić metal z ogniem. W ten sposób daje znać o sobie, oddaje honory Kalk'ru i składa mu hołd.

Przenikało mnie do szpiku kości znajome uczucie euforii, zachłyśnięcia się ciemną potęgą. Jakże trudno było się z tym nie zdradzić! Przeszliśmy przez korytarz i znaleźliśmy się

w świątyni.

Hai! Ależ im się powodziło w tym dalekim kraju, pod opieką Większego Od Bogów! Ogronniejszej świątyni nie widziałem nawet w Ajirii. Wykuto ją w samym środku góry, jak wszystkie siedziby Kalk'ru. Olbrzymie czworograniaste kolumny, oddzielające amfiteatr, podpierały niewidoczne w mroku sklepienie. Ciemność rozpraszały metalowe kaganki, z których wystawały gładkie spirale, palące się równo nikłym, żółtym płomieniem. W tym słabym świetle wydawało się, że kolumny maszerują i giną gdzieś, jakby pochłaniała je próżnia.

Z amfiteatru wpatrywały się we mnie setki oczu. Nad nimi wznosiły się proporce i sztandary zahaftowane dewizami poszczególnych rodów. Ich członkowie mężczyźni – walczyli ze mną i za mnie w wielu krwawych bitwach. O, bogowie, jakże mało tu mężczyzn! Spoglądały na mnie córki znacznych rodów, kobiety-rycerze. Wbijaly we mnie setki bezwzględnych, błękitnych oczu, pozbawionych nawet cienia kobiecej łagodności. Cóż... Prawdziwe z nich wojowniczkki. Więc dobrze, tak je będę traktował.

Teraz zauważyłem, że na granicy amfiteatru byli rozstawieni łucznicy z łukami w pogotowiu, ze strzałami założonymi i wycelowanymi we mnie.

Robota Tibura? Czy arcykapłana, który podejrzewał, że mogę próbować uciec? Nie podobało mi się to, ale nic nie mogłem poradzić. Luko, śliczna bogini, zakręć kotem tak, by żadna strzała nie wyfrunęła, nim rozpocznę rytuał!

Rozejrzałem się za mistyczną osłoną, która pełniła dla Kalk'ru rolę wrót z próżni do naszego świata. Znajdowała się o dobre sto kroków ode mnie, najlepszy dowód, jak rozległą platformę wykuto w skale. Jaskinia w tym miejscu miała kształt leja. Mistyczną osłonę stanowił krąg o średnicy dwadzieścia razy większej od wysokiego mężczyzny. Nie widziałem na nim błyszczącego żółtego kwadratu, przez który w świątyniach ojczystego kraju przenikał Kalk'ru, by przybrać cielesną postać. Po raz pierwszy poczułem wątpliwość, czy Byt nadal jest taki sam? A może arcykapłan miał jeszcze inne powody do tej szyderczej wyniosłości niż tylko brak wiary we mnie? Ale przecież na żółtym tle unosił się symbol Większego Od Bogów. Jego olbrzymie ciało wyglądało jak zawieszone we wzburzonym żółtym oceanie, macki rozkładały się niczym monstrualne promienie czarnych gwiazd, a przerażające ślepie wisiły nad świątynią, widzące wszystko i nie widzące nic. Symbol pozostał nie zmieniony. Świadoma, ciemna potęga opadła nagłym przypływem na mój umysł, potwierdziła to błyskawicznie i znów się uniosła. Od osłony odgradzały mnie kobiety ustawione w półkole. Wszystkie młodziutki, ledwie u progu dojrzałości, ale już brzemiennie. Naliczyłem ich dwanaście. Każda stała w płytkim zagłębieniu czaszy ofiarnej, przepasana złotą, rytualną obręczą. Na białe ramiona i dziewczęce piersi opadały płomienne, rude włosy. Zza ich zasłony przyglądały mi się błękitne oczy, z których wyzierało tajone przerażenie. Stałem na tyle blisko, że ofiary nie zdołały ukryć przede mną dręczącej je

trwogi, lecz ci, którzy obserwowali nas z dalszej odległości, nie widzieli wyrazu ich twarzy. Stały w swych czasach wyprostowane, dumne, wyzywające. Ai! Jakże dzielne niewiasty rodzą się w Karaku! A jednak czułem tę samą co zawsze litość, drgnienie tego co zawsze buntu...

W środku półkola kobiet, na mocnych, złotych łańcuchach przymocowanych do sklepienia zwieszała się trzynasta obręcz – pusta. Klamry ciężkiego pasa były odpięte... Trzynasta obręcz! Obręcz Wojownika! Przygotowana dla mnie!

Spojrzałem na arcykapłana. Stał przy swych siedzących w kucki, trzymających bębny podwładnych i patrzył prosto na mnie. Tibur tkwił na skraju płyty obok kowadła Tubalki. Trzymał oburącz wielki miecz, a na jego twarzy malowało się takie samo zadowolenie, jak na twarzy arcykapłana. Czarownicy nie widziałem.

Arcykapłan wystąpił do przodu. Przemówił zwracając się w czarną otchłań świątyni, gdzie siedzieli wysoko urodzeni.

– Oto stoi przed wami ten, który przybył tutaj pod imieniem Dwayanu. Jeśli jest nim naprawdę, wówczas Większy Od Bogów, potężny Kalk’ru wysłucha jego modłów i przyjmie ofiary. Lecz jeśli Kalk’ru pozostanie głuchy na jego głos, będzie to dowód, że przybysz jest kłamcą i oszustem. Kalk’ru wszakże wysłucha mnie, który zawsze mu wiernie służyłem. Wtedy kłamca i oszust trafi do Obręczy Wojownika, by Kalk’ru ukarał go wedle swej woli. Czy mnie słyszycie? Czy sprawiedliwie mówię? Odpowiedzcie!

Z czeluści świątyni odpowiedziały głosy świadków:

– Słyszemy! Sprawiedliwie mówisz! Arcykapłan zwrócił się teraz do mnie. Myślałem, że coś powie, ale jeśli nawet miał taki zamiar, zmienił zdanie. Trzykrotnie potrząsnął laską z dzwoneczkami. Trzykrotnie Tibur uderzył w kowadło Tubalki.

W głębi świątyni rozległy się pradawne pienia... Odwieczne suplikacje, których nasi przodkowie nauczyli się od Kalk’ru, kiedy ze wszystkich ludów ziemi wybrał wieki, wieki temu właśnie nasz. Słuchałem tego jak piosenki z dzieciństwa. Tibur, podobnie jak Yodin, nie spuszczał ze mnie oczu. Stał z ręką na młocie, gotów do natychmiastowego ataku, gdybym tylko spróbował ucieczki.

Śpiew dobieg końca.

Szybko wzniosłem ręce odwiecznym gestem i uczyniłem z pierścieniem to, co nakazywał rytuał. Przez świątynię przeszedł pierwszy powiew chłodu – zapowiedź przybycia Kalk’ru!

Hai! Ale Tibur z Yodinem musieli mieć miny, kiedy to poczuli! Że też nie mogłem tego widzieć! Śmiej się teraz, Tiburze! Hai! Już mnie nie powstrzymają! Teraz Kowal nie waży się cisnąć we mnie młotem ani podnieść ręki, by wypuścić strzałę! Nawet Yodin nie ośmieli się przeszkodzić!

Już nie pamiętałem o tym wszystkim. O Tiburze i Yodinie. O poświęconych też.

Zapomniałem, jak zawsze zapominam, kiedy porwie mnie mroczna euforia rytuału.

Żółty kamień zakolysał się i zatrząsał. Stał się cienki, przezroczysty jak powietrze. Wreszcie znikł.

Na jego miejscu drgały czarne macki, rozlewało się i ginęło w niezmierzonej przestrzeni czarne cielsko Kalk'ru! Szybciej, głośniejsz zadudniły bębny. Czarne macki zaczęły się przesuwać węzowymi ruchami do przodu. Kobiety ich nie widziały. Ostatkiem nadziei utkwily we mnie oczy. A ja przywołałem tego, który je zniszczy!

Macki już ich dotknęły. Nadzieja w oczach poświęconych przygasła i znikła... Macki owinęły się wokół ich ramion. Ześliznęły na piersi. Przywarły do nich. Przesunęły się na uda i sięgnęły stóp. Coraz szybszy łomot bębnów wznosił się szalonym crescendo aż do kulminacji ofiary.

Przeraźliwe jęki kobiet zagłuszyły bębny. Białe ciała zmieniły się w szarą mgłę. Potem były już tylko cieniami. Znikły... Znikły, nim umilkło ich zawodzenie. Złote obręcze spadły z brzękiem na kamienną płytę...

Co się dzieje? Obrzęd zakończony. Ofiara przyjęta. Mimo to Kalk'ru wciąż się porusza...

Poczułem, jak ogarnia mnie lodowaty chłód śmierci. Pełźnie coraz wyżej i wyżej...

Macka zakolysała się i przesunęła do przodu. Wolno, wolniutko minęła Obręcz Wojownika, była blisko, coraz bliżej... Sięgała po mnie!

Usłyszałem głos. Głos intonujący słowa bardziej starożytne niż wszystkie dotąd mi znane. Słowa? To nie słowa, tylko dźwięki, których korzenie sięgały czasów tak starych, że ludzie nie umieli jeszcze mówić!

To Yodin! Yodin przemawiał językiem, który mógł być językiem Kalk'ru, nim w ogóle powstało życie!

W ten sposób arcykapłan przyciągał do mnie Pochłaniacza. Chciał mnie wysłać w tę samą drogę, w którą odeszły poświęcone!

Rzuciłem się na niego, złapałem wpół i wepchnąłem między siebie a wyciągającą się mackę. Uniosłem go niczym bezwładną kukłę i cisnąłem w stronę Kalk'ru. Przeszedł przez mackę jak przez chmurę i uderzył w łańcuchy przytrzymujące Obręcz Wojownika. Zaplątał się w nie, pośliznął i upadł na złoty pas.

I nagle usłyszałem, jak ze wzniesionymi rękami wykrzykuję do Kalk'ru te same nieartykułowane dźwięki. Nie wiedziałem wtedy, co znaczą, nie wiem do dzisiaj, nie mam również pojęcia, skąd się wzięły w moich ustach...

Wiedziałem tylko, że są to głoski gardłowe i wargowe, niemożliwe do wymówienia przez człowieka.

Kalk'ru jednak słyszał... i rozumiał! Jego pozbawione źrenic oczy zdawały się przewiercać



mnie na wylot.

W tym momencie macka wykręciła się w tył. Otoczyła Yodina. Rozległ się cienki pisk – i Yodin zniknął.

Żywy Kalk'ru też zniknął. Na jego miejscu burzył się lśniący, żółty ocean, przez który przeświecał czarny kształt.

Coś brzęknęło o skałę. To pierścień Yodina potoczył się po ścianie czaszy. Pochyliłem się, by go podnieść.

Tibur z uniesionym młotem patrzył na mnie złym wzrokiem znad kowadła. Wyrwałem mu młot z ręki, walnąłem pięścią, aż się zatoczył, po czym roztrzaskałem na kowadle pierścień Yodina.

Świątynia zatrzęsała się od grzmiącego ryku: – Dwayanuuu!

## Rozdział XVIII

### WILKI LUR

Jechałem z Czarownicą przez las. Biały sokół przysiadł na jej osłoniętym rękawicą nadgarstku i miotał na mnie przekleństwa złotymi, nieruchomymi oczami. Coś za mną nie przepadał. Z tyłu posuwał się oddział złożony z dwudziestu kobiet. Osłaniał mnie tuzin specjalnie dobranych wojowniczek, które trzymały się w bardzo niewielkiej odległości. Zawsze lubiłem mieć zabezpieczone tyły. Byłem uczulony na te sprawy bez względu na to, czy znajdowałem się wśród przyjaciół, czy wrogów.

Płatnerze wyfasowali mi lekki kubrak-kolczugę. Lur nosiła podobny, tak zresztą jak cała drużyna, poza tym wszyscy byliśmy uzbrojeni po zęby. Udawaliśmy się na rekonesans do Sirku.

Od pięciu dni siadywałem na tronie arcykapłana i rządziłem Karakiem wraz z Lur i Tiburem. Lur pokajała się przede mną we właściwy sobie, gwałtowny sposób. Tibur zgubił gdzieś całą butę i bezczelność. Zgiął przede mną kolano i złożył obietnicę lojalności. Tłumaczył się przy tym, zresztą dość rozsądnie, że jego wątpliwości były całkiem naturalne. Przyjąłem ten hołd z pewnymi zastrzeżeniami. Prędzej czy później będę musiał Kowala zabić, i to nie tylko dlatego, że tak obiecałem Lur. Ale po cóż miałbym robić to teraz, kiedy jeszcze może mi się przydać? Bo niebezpieczne z niego narzędzie? Cóż, jeśli da mi się we znaki w trakcie używania, będę sam sobie winien. Lepszy nóż ostry, choć krzywy, niż prosty, a tępy.

Co do Lur... zgoda, miała piękne ciało i była bystra. Lecz czy traktowałem ją poważnie? Nie, poważnie – nie, przynajmniej w tym momencie. Jadąc u jej boku przez pachnący las, czułem się ospały i znużony.

Mieszkańcy Karaku złożyli mi tyle wyrazów czci i podziwu, że mogłyby one ukoić nawet najbardziej zranioną dumę. Żołnierze uważali mnie za swego idola. Kiedy przejeżdżałem ulicami miasta, tłumy wiwatowały, a matki podnosiły dzieci, by mogły mi się przyjrzeć. Mimo to byli tacy, którzy na mój widok zaciskali usta, odwracali z niechęcią głowy lub rzucali mi kosę, ukradkowe spojrzenia pełne nienawiści i strachu.

Darę, dowódczynię o zuchwałych oczach, która ostrzegła mnie przed Tiburem, i Naral, dzielną dziewczynę, od której dostałem medalion, zatrzymałem przy sobie jako zwierzchniczki osobistej straży. Były oddane i zabawne. Nie dalej jak tego ranka rozmawiałem z Darą o tych, co krzywo na mnie patrzą. Zapytałem o powody.

– Szczerze, panie?

– Jak zawsze, Daro.

– Wyrąbała prosto z mostu:

– To ci, którzy czekają na Oswobodziciela. Chcą zerwać okowy. Otworzyć wrota. Dać wolność. Uważają Dwayanu za jeszcze jednego rzeźnika Kalk’ru, takiego jak Yodin. Może nie

gorszego, ale na pewno nie lepszego.

Przypomniała mi się ta dziwna nadzieja, którą widziałem w oczach poświęconych. One też chciały we mnie widzieć oswobodziciela, a nie...

– A ty, Daro, co o tym myślisz?

– Myślę to co ty, panie. Ale nie pękłoby mi serce, gdyby pękły wreszcie te złote obręcze.

I właśnie nad tym się zastanawiałem, jadąc u boku Lur, czując na sobie złe błyski nieruchomych oczu sokoła. Czym był Kalk'ru? Jakże często zadawałem sobie to pytanie w zamierzchłej przeszłości! Czy coś, co jest nieograniczone, może przyjmować taki kształt, jak ten, który pojawia się na wezwanie posiadacza pierścienia? Albo raczej, czy Kalk'ru tego chce? Moje imperium rozciągało się szeroko, pod słońcem, księżycem, gwiazdami. A jednak w porównaniu z imperium Ducha Próżni było jak pyłek w promieniu słońca. Czy kogoś tak wielkiego może cieszyć kurczenie się do rozmiarów pyłku?

AU Lecz przecież nie ma wątpliwości, że Nieprzyjaciel Życia istnieje! Czy to jednak on sam objawia się na wezwanie przez pierścień? A jeśli nie – to czy ten ciemny kult był wart takich kosztów?

Rozległo się wilcze wycie. Czarownica odchyliła głowę i odpowiedziała podobnym dźwiękiem. Sokół ze skrzekiem rozprostował skrzydła. Wyjechaliśmy z lasu na otwartą, wysłaną mchem polanę. Lur zatrzymała się i ponownie z jej gardła wydobył się głos wilka.

Nagle wokół nas zaroilo się od białych wilków o błyskających zielono ślepiach, wpatrzonych w Lur. Zwierzęta otoczyły nas ze wszystkich stron, błyskając kłami i ukazując czerwone jęzory. Rozległ się tupot – i nagle pierścień się podwoił. Spomiędzy drzew wysuwały się następne bestie, było ich coraz więcej, pierścień składał się już z trzech, czterech rzędów – wreszcie upodobił się do szerokiego pasa żywej bieli z plamkami czerwonych jęzorów, usianego lśniącymi szmaragdami ślepi. Mój koń zadrżał. Poczulem woń jego potu. Lur ścisnęła swojego wierzchowca kolanami i wysunęła się naprzód. Zaczęła z wolna okrążyć wewnętrzną krawędź pierścienia wilków. Podniosła rękę i coś powiedziała. Wielki basior ruszył z miejsca i podszedł do Czarownicy. Oparł łapy o jej siodło jak pies. Lur wzięła w ręce jego pysk i coś szepnęła. Wilk zdawał się słuchać. Potem wrócił do kręgu i przywarował, nie spuszczać z niej wzroku. Roześmiałem się.

– Jesteś kobietą czy wilczycą, Lur?

– Ja też mam swoich stronników, Dwayanu – odpowiedziała. – Nie przekabacisz ich tak łatwo.

Coś w jej tonie sprawiło, że obrzuciłem ją baczny spojrzeniem. Po raz pierwszy okazała niechęć, a przynajmniej niezadowolenie z mojej popularności. I unikała mojego wzroku.

Wielki basior podniósł pysk i zawył. Krąg się rozłamał. Wilki rozproszyły się i szybkim

truchtem wysforowały naprzód jak zwiadowcy. Wkrótce pochłonął je zielony cień.

Las rzedł. W miejsce drzew pojawiły się olbrzymie paprocie. Zaczęło nas dobiegać jakieś dziwne syczenie. Stopniowo robiło się coraz cieplej i wilgotniej, nad paprociami unosiły się kłęby mgły. Przestałem widzieć drogę, ale Lur jechała pewnie jak po dobrze wytyczonym trakcie.

Podjechaliśmy do ogromnego skupiska paproci. Lur zeskoczyła z konia.

– Dalej piechotą, Dwayanu. Jest tylko wąska dróżka. Przyłączyłem się do Czarownicy. Drużyna podjechała bliżej, ale pozostała na koniach. Wśliznąłem się razem z Lur w paprocie. Po jakichś dwudziestu krokach tuż przed nami wychynał wielki wilczur. Lur rozgarnęła liście. Zobaczyliśmy Sirk.

Po prawej stronie wznosił się bastion w postaci prostokątnego, ociekającego wodą urwiska, porośniętego tu i ówdzie kępami paproci. Na lewo, może o cztery strzały z łuku, wyrastał z mgły podobny. Rozdzielał je płaskowyż z czarnej skały, której gładkie zbocza schodziły do fosy szerokiej na dwa rzuty oszczepem. Płaskowyż wystawał półkuliście na zewnątrz. Od jednego urwiska do drugiego obrzeżała go nieprzerwana linia fortyfikacji twierdzy.

Hai! Ależ to była fosa! Spod prawego bastionu wytryskał potok. Z sykiem i bulgotem rwał naprzód, buchająca zeń para unosiła się nad krawędzią skał jak wielki welon i opadała na nas przyjemnie ciepłą mgiełką. Wzdłuż podnóża skalnej podstawy fortecy kotłowała się gorąca kipiela. Kłęby pary wdzierały się do środka, olbrzymie bańki nadymały się i pękały rozpryskując dookoła gorące krople.

Forteca nie była wysoka, raczej przysadzista, solidnie zbudowana. Jej nie naruszony niczym fronton ciągnął się aż do wierzchołka przeciętego parapetem. Zauważyłem tam błyski dzid i głowy strażników. Tylko w jednej części było coś, co przypominało wieże. Sterczały blisko środka, gdzie wrząca fosa się zwężała. Naprzeciwko, na drugim brzegu, tkwił filar mostu zwodzonego. Sam most też udało mi się dostrzec; wąski, podniesiony w górę, sterczący jak jęzor między dwiema wieżami.

Za fortecą skały sięgały daleko w głąb. Nie stykały się. Była między nimi przestrzeń, mniej więcej jak jedna trzecia podstawy fortecy. Na wprost nas, po naszej stronie wrzącego strumienia, pofałdowany teren pozbawiony był zarówno drzew, jak paproci. Nie dawał schronienia.

Nieźle miejsce wybrały sobie te wyrzutki z Sirku! Żaden z oblegających nie byłby w stanie przepłynąć tej fosy z tryskającymi fontannami pary i rozpryskującymi się bańkami wyrzucanymi przez ukryte na dnie gejzery. Nic tu nie wskórają ani głązy, ani drzewa. Nie da się zbudować grobli, żeby doprowadzić baterie pod mury. Sirku od tej strony się nie weźmie, to jasne. Ale przecież na tym Sirk się nie kończy.

Lur, śledząc kierunek mojego spojrzenia, domyśliła się, co mi chodzi po głowie.

– Sirk leży za tymi wrotami. – Wskazała przerwę między urwiskami. – W tej dolinie znajdują się pola uprawne, pastwiska oraz miasto. I nie prowadzi tam żadna inna droga.

Pokiwałem głową z roztargnieniem. Przyglądałem się właśnie ścianom skalnym za fortecą. Zauważyłem, że w przeciwieństwie do bastionów obejmujących płaskowyż nie miały gładkiej powierzchni. Pokrywały je rumowiska skalne, które gdzieś tam tworzyły nierówne występy. Gdyby się tam wdrapać niepostrzeżenie...

– Czy możemy się dostać bliżej tej skały, spod której wypływa strumień?

Złapała mnie za rękę. Oczy jej rozbliły.

– Co tam widzisz, Dwayanu?

– Na razie nie wiem. Może nic. Podejźmy do strumienia?

– Chodź.

Wyśliznęliśmy się spomiędzy paproci i posuwaliśmy się przy samym ich brzegu. Prowadził nas wilczur na sztywnych łapach, z nastawionymi uszami i czujnymi ślepiami. Robiło się coraz goręcej i parniej, ciężko było oddychać. Syk pary narastał z każdą chwilą. Skradaliśmy się koło paproci, przemoczeni do nitki. Jeszcze krok – i ujrzałem wrzący potok. Teraz się przekonałem, że nie wypływał wprost spod skały, tylko gdzieś spoza niej. Bijące od niego ciepło i wyziewy przyprawiały mnie o zawrót głowy. Oddarłem pas materiału z tuniki i obwiązałem sobie nos i usta. Znad tej przepaski dokładnie badałem wzrokiem urwisko, posuwając się w myślach krok po kroku. Patrzyłem dość długo, wreszcie się odwróciłem.

– Możemy wracać, Lur.

– Co zobaczyłeś? – spytała z ożywieniem.

– To, co zobaczyłem, mogło oznaczać koniec Sirku, ale tego jej nie powiedziałem. Pomysł jeszcze nie dojrzał. Nie miałem zwyczaju wtajemniczać kogokolwiek w nie dopracowane plany. To zbyt niebezpieczne. Pączek jest delikatniejszy od kwiatu, trzeba go zostawić, by się rozwinął w spokoju, z dala od wścibskich łap zdrajców, a nawet nieszkodliwych ciekawskich. Przemysł swój plan i wypróbuj go – wówczas możesz jasno osądzić, czy potrzebne są zmiany. Byłem zdecydowanym przeciwnikiem zasięgania rady. Nadmiar kamyków w źródle przeszkadza. A w ogóle powód był jeden, taki mianowicie, że jestem Dwayanu!

– Nie wiem – odpowiedziałem Lur. – Mam pewien pomysł, ale muszę go rozważyć.

Rozgniewała się.

– Nie jestem idiotką. Znam wojnę... tak jak znam miłość. Mogę ci pomóc.

– Nie teraz – odparłem zniecierpliwiony. – Kiedy plan będzie gotów, powiem ci.

Nie odezwała się dopóty, dopóki nie znaleźliśmy się blisko oczekujących kobiet. Wtedy się odwróciła i przemówiła cichym, przymilnym głosem:

– Naprawdę nie powiesz? Czyż nie jesteśmy równi?

– Nie – warknąłem, nie wyjaśniając, czy odpowiadam na pierwsze pytanie, czy na obydwa.

Wskoczyła na konia i ruszyliśmy z powrotem przez las.

Cały czas rozmyślałem nad tym, co zobaczyłem i jakie to mogło mieć znaczenie. Wtem znów usłyszałem wilki. Ponaglały nas. Czarownica podniosła głowę, nasłuchując, potem spięła konia. Pomknąłem za nią. Biały sokół zaskrzeczał i wzbił się w górę z łopotem skrzydeł.

Wypadliśmy z lasu na ukwieconą łąkę. Stał tam mały mężczyzna. Otaczały go wilki, kluczące dookoła jak w zaklętym kręgu. Kiedy zobaczyły Lur, przestały wyć i przysiadły na zadach. Lur ściągnęła konia i wolno jechała na spotkanie. Mignęła mi na moment jej twarz. Była zacięta i zła.

Przyjrzałem się małemu człowieczkowi. Sięgał mi ledwie do kolan, ale był doskonale zbudowany. Karzełek o złocistej skórze, z włosami opadającymi aż do pięt... Jeden z plemienia Rrlllya... Przyglądałem się kiedyś ich wizerunkom na gobelinach, ale pierwszy raz widziałem żywego... a może nie pierwszy? Miałem niejasne wrażenie, że kiedyś łączyło mnie z nimi coś więcej...

Biały sokół krążył nad jego głową i pikując od czasu do czasu, atakował dziobem i pazurami. Człowieczek jedną ręką osłaniał oczy, a drugą usiłował odpędzić ptaka. Czarownica krzyknęła coś ostrym, świdrującym w uszach głosem. Sokół przyfrunął do niej natychmiast, a człowieczek opuścił ręce i utkwiał we mnie oczy. Wołał coś, wyciągając ramiona jak dziecko.

Była w tym wołaniu prośba, nadzieja i ufność. Zupełnie jakby wystraszony chłopczyk wzywał kogoś, kogo zna i komu wierzy. Taka sama nadzieja, która gasła w oczach poświęconych. Nie chciałem patrzeć, jak gaśnie i w nim!

Przepchnąłem się koniem za Lur i przesadziłem wilczy kordon. Porwałem małego człowieczka z ziemi. Przywarł do mnie z całej siły, szepcząc coś w dziwnej, wibrującej mowie.

Obejrzałem się na Lur. Zatrzymała konia za kręgiem wilków.

– Dawaj go tu! – krzyknęła.

Mały człowieczek obejmował mnie ciasno i zasypywał gradem niezrozumiałych dźwięków. Wyraźnie pojął żądanie Lur i równie wyraźnie błagał mnie na wszystko, bym nie oddawał go w jej ręce.

Zaśmiałem się i potrząsnąłem głową. Dostrzegłem w jej oczach błysk niepohamowanej furii. Niech się wścieka! Mały człowieczek odejdzie bezpiecznie. Spiąłem konia i przeskoczyłem szeroki pierścień wilków. W niedalekiej odległości błyszczała rzeka. Tam skierowałem konia. Czarownica wrzasnęła dziko. W tym momencie nad moją głową załopotwały skrzydła. Sokół zniżył się do poziomu moich uszu i zaczął mnie walić skrzydłami. Zamachnąłem się i rąbnąłem go pięścią. Zaskrzeczał wściekle z bólu. Mały człowieczek przycisnął się do mnie jeszcze mocniej.

Nagle wystrzeliło w górę białe cielsko. Zawisło na moment przy łuku siodła. Tuż przede mną rozbłysły wściekle, zielone ślepia, z rozdziawionej czerwonej paszczy toczyła się piana.

Obejrzałem się szybko przez ramię i zobaczyłem stado wilków. Za nimi jechała Lur. Znow jeden mnie dopadł, ale tym razem wyciągnąłem miecz i wepchnąłem mu w gardło. Po nim skoczył następny, wyszarpując kawałek mojej tuniki. Podniosłem jedną ręką małego człowieczka wysoko w górę, a drugą ponownie uderzyłem wilka.

Coraz bliżej do rzeki. Już brzeg. Złapałem karzełka oburącz i wrzuciłem go daleko do wody. Potem wyciągnąłem oba miecze, by rozprawić się z wilkami.

Lur krzyknęła znowu. Wilki stanęły w miejscu tak raptownie, że te na przedzie się poprzewracały. Zerknąłem na rzekę. W dali zobaczyłem małą główkę z ciągnącymi się po wodzie włosami. Zmierzała prosto do brzegu.

Lur podjechała do mnie. Była blada, oczy miała jak dwa błękitne kamienie. Odezwała się zduszonym głosem:

– Po coś go uratował?

Zastanawiałem się przez chwilę. Potem odpowiedziałem poważnie:

– Bo nie chciałem po raz drugi patrzeć, jak w oczach kogoś, kto mi zaufał, gaśnie nadzieja.

Obserwowała mnie spokojnie, choć nadal była rozwścieczona.

– Złamałeś mojemu sokołowi skrzydło.

– Co bardziej kochasz, Czarownico, jego skrzydła czy moje oczy?

– Zabiłeś mi dwa wilki.

– Co ważniejsze: dwa wilki czy moje gardło?

Nie odpowiedziała. Odjechała wolno do swych kobiet. Ale nim zawróciła, ujrzałem w jej oczach łzy. Może były to łzy złości, a może nie, w każdym razie po raz pierwszy widziałem, jak płacze.

Bez słowa ruszyliśmy z powrotem. Ona zajmowała się sokołem, ja rozmyślałem o skałach Sirku.

Nie zatrzymaliśmy się w Karaku. Tęskniłem za spokojnym pięknem Jeziora Duchów i powiedziałem o tym Lur. Na miejsce dotarliśmy po zmroku. Wraz z kobietami zjedliśmy posiłek w dużym holu. Lur otrząsnęła się ze złego humoru. Jeśli nadal była na mnie wściekła, potrafiła to dobrze ukryć. Weseliliśmy się, wypiliśmy dużo wina. Im więcej piłem, tym wyraźniej rysował się mój plan zdobycia Sirku. Całkiem dorzeczny plan. Wkrótce udałem się za Lur do jej wieży. Obserwowałem wodospad i rozwleczone nad nim kłębki mgły. Plan nabierał rumieńców.

Wróciłem myślą do sprawy Kalk'ru. Zastanawiałem się nad tym dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie podniosłem głowę, napotkałem oczy Lur utkwione we mnie badawczo.

– O czym myślisz, Dwayanu?

– Myślę o tym, że już nigdy więcej nie przywołam Kalk'ru.

Odpowiedziała powoli, z niedowierzaniem:

– Nie mówisz chyba poważnie.

– Bardzo poważnie.

Zbladła.

– Jeśli Kalk’ru nie dostanie swej ofiary, zniszczy życie na tej ziemi. Zmieni ją w pustynię, tak jak kraj ojczysty, kiedy tamtejsi ludzie przestali mu dostarczać poświęcone.

– Czyżby? – odparłem. – Wcale w to nie wierzę. I nie sędzę, byś ty wierzyła. Za dawnych dni było wiele krajów, w których nikt nawet nie słyszał o Kalk’ru, wiele miejsc, gdzie ludzie nigdy nie składali mu ofiar, a jednak ich ziemie nie zmieniły się w pustynię. I wiem także – choć nie pamiętam skąd – że i teraz są kraje, gdzie nikt nie czci Kalk’ru, a mimo to życie tam kwitnie. Nawet tutaj – ci mali ludzie, Rrllya, nie oddają mu czci. Nienawidzą go – tak przynajmniej mówiłaś, a przecież kraj za Nanbu jest nie mniej żyzny niż ten.

– Takie słuchy rzeczywiście chodziły dawno, dawno temu. Kiedy zaczęto mówić o tym głośniej, kraj ojczysty stał się pustynią.

– Musiały być jeszcze inne przyczyny.

– Jakie?

– Tego nie wiem. Ale ty nigdy nie widziałaś słońca, księżyca, gwiazd. Ja widziałem. Pewnego razu stary mędrzec powiedział mi, że są jeszcze inne słońca, a wokół nich wirują inne ziemie. I jest na nich życie. Duch Próżni, w której świecą te słońca, jest chyba zbyt niezmierny, by chciało mu się kurczyć do tak małych rozmiarów jak te, w których się objawia w niewielkiej świątyni, w maleńkim zakątku ziemi.

– Kalk’ru istnieje! – zaprotestowała. – Kalk’ru jest wszędzie. W obumierającym drzewie i wysychającym źródle. Ma dostęp do każdego serca. Dotyka go – i ono zaraz czuje zmęczenie życiem, nienawiść do życia, ogarnia je pragnienie wiecznej śmierci. Dotyka ziemi – i tam, gdzie zieleniła się łąka, jest jałowy piasek, wszystko pustoszeje... O, tak, Kalk’ru jest!

Zastanowiłem się chwilę i doszedłem do wniosku, że tkwi w tym jakaś prawda. Nie byłem jednak przekonany do końca.

– Ja też nie przeczę, że Nieprzyjaciel Życia istnieje.

– Tylko czy na pewno jest nim to, co zjawia się w odpowiedzi na rytuał z pierścieniem?

– A któż by to mógł być? Tak nas uczono od najdawniejszych czasów...

– Nie wiem, kto to jest. Wiele rzeczy, których uczono nas od najdawniejszych czasów, nie sprawdziło się.

– Nie wierzę, że to, co się ukazuje, to Kalk’ru, Duch Próżni, ten, do którego musi wrócić wszystko, co żyje, że nie wymienię wszystkich jego tytułów. Nie wierzę też, że jeśli skończymy z dostarczaniem mu poświęconych, skończy się tu życie.



– Posłuchaj mnie, Dwayanu – rzekła bardzo cicho.

– Nie obchodzi mnie zupełnie, czy to Kalk’ru przychodzi po poświęcone. Obchodzi mnie jedno: nie chcę opuszczać tej ziemi i nie chcę, by coś się zmieniło. Byłam tu szczęśliwa. Widziałam słońce, księżyc i gwiazdy, widziałam też świat zewnętrzny. Widziałam to wszystko w moim wodospadzie. Nie ciągnie mnie tam. Gdzie znajdę miejsce tak piękne jak moje Jezioro Duchów? Jeśli skończymy z ofiarami, ci, których trzyma tu tylko strach, odejdą. Za nimi pójda inni. Stary świat, który kocham, skończy się wraz z końcem ofiar – na pewno. Kiedy zrobi się tu pustkowie, my też będziemy zmuszeni stąd odejść, natomiast jeśli tak się nie stanie, ludzie zrozumieją, że karmiono ich kłamstwem. Będą chcieli przekonać się, jak jest gdzie indziej. Może piękniej, może lepiej? Zawsze tak się dzieje. Ale powiadam ci, Dwayanu tutaj tak nie będzie!

Czekała na moją odpowiedź. Nie doczekała się.

– Skoro ty sobie nie życzysz przywoływać Kalk’ru, może by wybrać kogoś innego na twoje miejsce?

Obrzuciłem ją baczny spojrzeniem. Nie miałem ochoty posuwać się aż tak daleko. Jeszcze nie teraz. Wyrzec się pierścienia i całej jego mocy?

– Są jeszcze inne powody, niż te, które mi podałeś.

Prawda, Dwayanu?

Odpowiedziałem bez ogródek:

– Wielu nazywa mnie karmicielem Kalk’ru czy też jego rzeźnikiem, czym nie jestem zachwycony. Poza tym nie chcę patrzeć na to, co widziałem w oczach kobiet, którymi go... nakarmiłem.

– Ach, więc to tak! – zawołała szyderczo. – Sen rozmiękczył cię, Dwayanu! Lepiej powiedz, co wymyśliłeś w sprawie Sirku, i pozwól mi wprowadzić twój plan w życie. Myślę, że masz stanowczo za miękkie serce, by prowadzić wojnę. Trafiła mnie w czułe miejsce. Dość tych skrupułów! Zerwałem się na nogi, przewracając krzesło, ręka sama podniosła się do uderzenia. Lur patrzyła mi w oczy śmiało, bez śladu strachu. Opuściłem rękę.

– Ale nie dość miękkie, by tańczyć, jak mi zagrasz, Czarownico! I nie wracajmy do targów. Załatwiłem dla ciebie Yodina, oddam ci Sirk, a także wszystko inne, zgodnie z obietnicą. Do tego czasu zostawmy sprawę poświęconych. Kiedy chcesz Tibura?

Oparła mi ręce na ramionach i zajrzała w moje gniewne oczy. Przyciągnęła mą głowę do swej twarzy. Ciepłe, czerwone usta znalazły się na moich.

– Teraz – szepnęła – jesteś Dwayanu. Moja jedyna miłość. Och, Dwayanu, gdybyś mnie kochał tak mocno, jak ja ciebie!

No... jeśli o to chodzi, to kochałem Lur tak, jak w ogóle da się kochać kobietę... W końcu nie

było drugiej takiej. Porwałem ją w ramiona i trzymałem w ciasnym uścisku. Poczułem, jak ogarnia mnie dawne szaleństwo, dawna radość życia.

– Dostaniesz Sirk! I Tibura – kiedy tylko zechcesz.

Chyba się zawahała.

– Nie teraz – rzekła. – Jest silny, ma swoich stronników.

Może się przydać przy Sirku. Nie, przedtem na pewno nie.

– Dokładnie tak samo myślałem. Przynajmniej w jednym się zgadzamy.

– Opijmy tę zgodę – zaproponowała i krzyknęła na służbę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, co do której jesteśmy zgodni. – Spojrzała na mnie z ukosa.

– Jaka?

– Sam mówiłeś.

I więcej nie dało się z niej wyciągnąć. O co chodziło, zorientowałem się znacznie później...

Za późno.

Dobre to wino! Wypiłem więcej, niż powinienem. Mimo to plan zdobycia Sirku rysował się coraz wyraźniej...

Następnego dnia obudziłem się późno. Czarownicy przy mnie nie było. Spałem jak po narkotyku. Mało pamiętałem z tego, co zaszło poprzedniego wieczora, poza tym, że gwałtownie pokłóciłem się o coś z Lur. O Kalk'ru nie myślałem w ogóle. Spytałem Ouarę, gdzie zniknęła Czarownica. Powiedziała mi, że o świcie doniesiono o ucieczce dwóch poświęconych, które przebywały już w miejscu odosobnienia. Lur uznała, że będą próbowały przedostać się do Sirku. Ściga je teraz z wilkami. Zirytowałem się, że mnie nie obudziła i nie zabrała z sobą. Pomyślałem, że chętnie zobaczyłbym te białe bestie w akcji. Przypomniały mi się wielkie psy w Ajjirii. Używało się ich właśnie do ścigania uciekinierów.

Nie pojechałem do Karaku. Spędziłem dzień na fechtunku i zapasach. Gdy przeszedł mi ból głowy, pływałem w Jeziorze Duchów.

Lur wróciła tuż przed zapadnięciem ciemności.

– Złapałaś je? – spytałem.

– Nie. Uszły do Sirku. Zdażyliśmy je zobaczyć w połowie mostu.

Pomyślałem, że przyjęła to dość obojętnie, i nie zwracałem już sobie głowy tą sprawą. Tej nocy Czarownica była wesoła i bardzo dla mnie czuła. W pewnym momencie zacząłem podejrzewać, że za pocałunkami kryje się coś nowego. Wydało mi się, że to żal. Ale na razie nie myślałem o tym więcej.

## **Rozdział XIX**

### **ZDOBYCIE SIRKU**

I znów jechałem przez las w stronę Sirku. Po lewej ręce miałem Lur, obok niej sunął Tibur. Tył osłaniały moje dwie adiutantki – Dara i Naral, tuż za nimi trzymała się Ouarda z oddziałem dwunastu silnych, smukłych dziewcząt. Zielone i czarne plamy pokrywały ich zupełnie nagie ciała, wąskie pasy przyozdabiały talie. Następnie ciągnęła setka nobilów z przyjacielem Tibura Raschą na czele. Pochód zamykała piechota – pełny tysiąc doborowych wojowniczek Karaku.

Była noc. Zależało nam na dotarciu do skraju lasu przed nastaniem świtu, póki jeszcze będzie ciemno. Kopyta końskie owinięto tak, by żadne czujne ucho nie dosłyszało tętentu. Żołnierze w rozczłonkowanym szyku maszerowali bezszelestnie. Minęło pięć dni, odkąd pierwszy raz ujrzałem fortecę, pięć dni sekretnych, starannych przygotowań. O moim zamiśle wiedzieli tylko Czarownica i Kowal, ale plotki o wyprawie na Rrllya rozniosły się szeroko, co mnie cieszyło.

Zanim wyruszyliśmy, nawet Raschą nie miał pojęcia – a w każdym razie tak mi się zdawało – że chodzi o Sirk. Wszystko dlatego, by ani jedno nieopatrzne słowo nie wzbudziło czujności wroga. Wiedziałem dobrze, że Rrllya mieli w Karaku wielu przyjaciół, mogli mieć ich nawet wśród żołnierzy ciągnących za nami. Istotą mego planu było zaskoczenie, stąd owijanie końskich kopyt, marsz nocą i cisza w czasie pochodu przez las. Dlatego też gdy tylko usłyszeliśmy pierwsze wilcze skowyty, Czarownica zsunęła się z konia i znikła w fosforyzującej, zielonej ciemności. Zatrzymaliśmy się, by na nią zaczekać. Nikt nic nie mówił. Wycie ucichło, Lur wyszła z zarośli i wsiadła na konia. Białe wilki jak dobrze wytresowane psy pobiegły całym stadem przed nami, badając nosami grunt. Przy tak groźnych zwiadowcach żaden szpieg czy włóczęga nie miał szans ucieczki – ani do Sirku, ani z powrotem. Pragnąłem uderzyć wcześniej. Złościło mnie opóźnienie, poza tym bardzo niechętnie zdobyłem się na wyłożenie całego planu Tiburowi. Lur przekonała mnie, że jeśli Kowal okaże się użyteczny przy zdobywaniu Sirku, będzie można mu zaufać. Według niej, Tibur wtajemniczony i pełen zapału będzie mniej niebezpieczny niż nie wtajemniczony i podejrzliwy. No i był z niego wojownik pierwszej klasy, z silnymi stronnikami.

Tak więc dopuściłem go do tajemnicy i opowiedziałem mu, co zobaczyłem, kiedy po raz pierwszy stanąłem z Lur przy wrzającej fosie. Chodziło mi o wyrastające bujnie kępy paproci, ciągnące się nieprzerwaną, acz nieregularną linią wysoko w górze, w poprzek czarnej skały – począwszy od lasu ukrytego po drugiej stronie, ponad gorącym źródłem i parapetami. Świadczyło to, moim zdaniem, o osuwaniu się i nękaniu skały, która uformowała występ. Wzdłuż tego występu mogliby się przeczołgać ludzie o silnych nerwach i pewnych nogach, ludzie, którym nieobca jest wspinaczka. W ten sposób dostaliby się niepostrzeżenie do fortecy

i zrobili to, czego oczekiwałem. Tiburowi zaświeciły się oczy. Roześmiał się gromko, po raz pierwszy od mego obrzędu ku czci Kalk'ru. Miał tylko jedno zastrzeżenie.

– Pierwsze ogniwo naszego łańcucha jest najsłabsze, Dwayanu.

– Rzeczywiście. Ale tkwi ono tam, gdzie i łańcuch obrony Sirku jest najsłabszy.

– Wszystko jedno, wołałbym go nie wypróbować osobiście.

Mimo że nie darzyłem go zaufaniem, wzruszył mnie swą szczerością.

– Więc dziękuj bogom, że tyle ważysz, Kowadlarzu – odparłem. – Twoje stopki nie za bardzo pasują do tych delikatnych podpórek z paproci. Inaczej na pewno bym cię tam wysłał.

Spojrzałem na szkic i pokazałem wyraźnie, o co mi chodzi.

– Musimy uderzyć szybko. Lur, kiedy możemy być gotowi?

Podniosłem wzrok akurat na czas, by zauważyć błyskawiczną wymianę spojrzeń między Czarownicą a Tiburem. Jeśli jednak przyszło mi do głowy jakieś podejrzenie, to na krótko.

– Gdy chodzi o wojsko – odpowiedziała Lur pośpiesznie – możemy zaczynać choćby dziś. Ile potrwa wybieranie ludzi do wspinaczki – trudno powiedzieć.

– Potem muszę sama ich wypróbować. A na to trzeba czasu.

– Ile? Musimy działać szybko.

– Trzy do pięciu dni. Będę się starać ze wszystkich sił. Nic więcej nie mogę obiecać.

Byłem zmuszony tym się zadowolić.

A teraz, właśnie pięć dni później, wyruszyliśmy na Sirk. W lesie nie było ani ciemno, ani jasno, panował dziwny półmrok, w którym wyglądaliśmy jak cienie. Nad nami unosiły się migotliwe ćmy, lśniące kwiaty były nam latarniami. Wszystkie bijące w nozdrza zapachy świadczyły o bujności życia. Lecz my pozostawaliśmy w służbie śmierci.

Żołnierze pozakrywali broń, by nie zdradził ich jakiś błysk, głowice dzid przyciemniono – żadnego świecącego metalu. Na tunikach wojowników widniało koło Luki, żeby nie pomylić naszych z przeciwnikami, kiedy znajdziemy się za murami Sirku. Lur chciała, by znakiem rozpoznawczym był czarny symbol Kalk'ru. Nie zgodziłem się.

Dotarliśmy do miejsca, w którym zdecydowaliśmy się zostawić konie. W milczeniu rozdzieliliśmy nasze siły. Część pod przewodnictwem Tibura i Raschy zaczęła się przekradać przez las i zarośla paprociowe do skraju polany, na wprost mostu zwodzonego.

Ze mną i z Czarownicą zabrali się nobile, Ouarda ze swymi nagimi dziewczętami oraz setka żołnierzy. Wszyscy mieli łuki i kołczany w dobrze zabezpieczonych skrzynkach przymocowanych do pleców. Poza tym ich wyposażenie składało się z krótkich bojowych toporków, długich mieczy, sztyletów oraz sznurkowej drabiny, którą specjalnie poleciłem sporządzić. Podobnej używałem za dawnych czasów do rozwiązywania problemów takich jak

ten, choć żaden nie przedstawiał się aż tak groźnie. Oprócz sznurkowej nieśli jeszcze jedną drabinę – drewnianą; długą i elastyczną. Moje osobiste uzbrojenie składało się tylko z bojowego topora i długiego miecza, Lur i nobile mieli młoty i długie miecze.

Przekradaliśmy się do potoku, którego syczenie stawało się głośniejsze z każdym naszym krokiem. Nagle stanąłem w miejscu i przyciągnąłem Lur do siebie.

– Słuchaj, Czarownico, czy naprawdę potrafisz rozmawiać z wilkami?

– Naprawdę, Dwayanu.

– Właśnie myślę, że nieźle byłoby odciągnąć uwagę wartowników od tego końca parapetu. Gdyby tak wilki nagle się pogryzły albo trochę pohłasowały, czy w ogóle urządziły w drugim końcu jakieś przedstawienie ku uciesze straży, mogłoby to nam trochę pomóc.

Czarownica wydała z siebie przeciągły, wilczy skowyt. Prawie natychmiast ukazał się łeb wielkiego basiora, tego samego, który ją przywitał w czasie poprzedniej wyprawy. Łupał teraz na mnie złymi ślepiami, jeżył sierść, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Czarownica uklękła przy nim i objęła jego łeb ramionami, szepcząc mu coś do ucha. Właściwie wyglądało to tak, jakby szeptali do siebie nawzajem. Potem wilczur zniknął równie nagle, jak się pojawił. Lur wstała. Jej oczy rzucały zielone, wilcze błyski. – Straż będzie miała swoje widowisko.

Ciarki mi przeszły po plecach, gdyż były to prawdziwe czary. Nic jednak nie powiedziałem i zaraz ruszyliśmy dalej. Doszliśmy do miejsca, z którego mogłem objąć wzrokiem całe urwisko. Rozgarnęliśmy paprocie i przyglądaliśmy się fortecy.

Mieliśmy ją przed sobą jak na dłoni. Na prawo, jakieś dwadzieścia kroków dalej, wznosiła się pionowa ściana skalna. Piętrzyła się nad wrzącym potokiem, tworząc bliższy bastion. Nasze schronienie wyglądało jak odrzucona przez morze zielona fala. Od jej końca aż do brzegu fosy ciągnęła się odkryta przestrzeń, nie szersza niż dwanaście kroków, wymyta przez rozpryskującą się gorącą wodę. To miejsce było oddalone od murów twierdzy na rzut oszczepem. Mury i parapet stykały się z urwiskiem, ale były bardzo słabo widoczne zza kłębow pary. W tym kącie nie stał ani jeden wartownik i właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że nasze najslabsze ogniwo znajduje się w najslabszym punkcie obrony Sirku. Przy buchającej parze i wyziewach gejzera warta nie była potrzebna. W każdym razie tak uważali ci z Sirku. Jak można tu, w najgorętszym miejscu, przekraczać strumień? Kto da radę gładkiej skale ociekającej wodą? Wszystkich innych umocnień strzeżono, ale to miejsce wyglądało na absolutnie nie do zdobycia. Dlatego idealnie nadawało się na atak, jeśli w ogóle miał się udać.

Zbadałem ten problem dokładnie. Niespełna dwieście kroków dzieliło nas od pierwszego wartownika. Gdzieś za fortecą zobaczyłem błysk ognia. Oświetlił chwiejne cienie na stopniach rumowiska skalnego za bastionem. To dobrze, bo jak zdobędziemy ich kryjówkę, uastez będzie

widać tylko jako niewyraźne cienie. Kiwnąłem na Ouarę i pokazałem jej skały, na które mają się kierować nagie dziewczęta. Skały te przylegały do urwiska tam, gdzie jego krzywizna sięgała łukiem za parapet, i znajdowały się na wysokości około dwudziestu rosnących mężczyzn. Ouarda zebrała dziewczęta i wydała im rozkazy. Kiwały głowami, rzucając trwożne spojrzenia to na kipiel fosy, to na przepaść. Widziałem, jak niejedna zadrżała. Cóż, trudno mieć o to pretensję.

Wycofaliśmy się ostrożnie i odnaleźliśmy podstawę urwiska. Było tam mnóstwo punktów nadających się do wbicia haka. Rozwinęliśmy sznurkową drabinę, a drewnianą oparliśmy o skałę. Wskazałem ręką występ, który mógł się okazać kluczem do Sirku. Udzieliłem dziewczętom wszelkich możliwych rad. Wiedziałem, że występ może nie być szerszy od dłoni, lecz zarówno powyżej, jak poniżej znajdowały się małe szpary i zagłębienia, gdzie można oprzeć choćby palec u nogi albo zaczepić się ręką, gdyż rosły tam kępki paproci.

Hal! Ależ miały odwagę te smukłe panny! Przymocowaliśmy im do pasów długie, mocne sznury, które popuszczaliśmy w miarę, jak dziewczyny się oddalały. Popatrywały ze śmiechem na swoje poplamione twarze i ciała. Pierwsza wdrapała się na drabinę jak wiewiórka, znalazła sobie punkty oparcia dla rąk i nóg – i zaczęła się przesuwać. Po chwili znikła, jej ciało w zielone i czarne cętki wtopiło się w zielen i czerń skały. Powoli, bardzo powoli pierwszy sznur zaczął się nam wysuwać spomiędzy palców. Po niej poszła następna i jeszcze następna. Wkrótce trzymałem już sześć lin. Kolejna grupa zaczęła się wspinać i przesuwać po niebezpiecznej krawędzi. Ich sznury trzymała w swych krzepkich rękach Czarownica.

Hal! Co za osobliwe wędkowanie! Cały wysiłek woli skupił się na utrzymaniu dziewcząt nad wodą. Wolno, o bogowie, jak wolno przesuwiają się sznury! Teraz te trzymane przez Czarownicę... wolno... wolniutko... lecz ciągle naprzód.

Pierwsza smukła panna musi być już nad kipielą... Mignął mi przed oczami obraz: przywiera do mokrej skały, okrywa ją obłok pary...

Pierwszy sznur rozluźnił się w mojej dłoni. Najpierw się rozluźnił, a potem naprężył tak gwałtownie, że aż mnie skaleczył... Znów spokój... i szarpnięcie, jakby jakaś wielka ryba usiłowała uciec z wędki... Pękła! Dziewczyna wpadła! Była już tylko gotującym się żywcem ciałem...

Drugi sznur opadł... szarpnął... pękł! Trzeci też...

– Już trzy zginęły! – szepnąłem do Lur.

– I jeszcze dwie! – odpowiedziała.

Widziałem, że zaciskała mocno powieki, ale ręce trzymające liny pozostały nieruchome.

Pięć smukłych panien! Została siódemka. Luko, obróć koło!

Powoli, z wieloma przystankami pozostałe sznury zaczęły mi się wysuwać z rąk. Teraz już czwarta musi być nad fosą... nad parapetem... teraz zmierza do skał... Serce mam w gardle... Dusi mnie...

Bogowie! Szósta wpadła!

– Następna! – jęknąłem.

– I następna! – dodała Lur, rzucając koniec liny.

– Zostało pięć... tylko pięć... Luko! Zbuduję ci w Karaku świątynią! Cała dla ciebie! O, najśłodsza z bogiń!

Co to? Szarpnięcie! Powtórzone dwukrotnie! To sygnał. Jedna przeszła! Chwała i bogactwo dla ciebie, szczupła panno!

– Tylko jednej się udało – szepnęła Czarownica. Jęknąłem.

Znowu szarpnięcie... To piąty sznur! Druga bezpieczna!

– Moja ostatnia zginęła... – wyszeptała Lur. Trzecia przeszła! Już trzy kryją się wśród skał. Koniec z wędkowaniem. Sirk wyżarł mi trzy czwarte przynęty! Ale połknął haczyk.

Słabość, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyłem, opanowała moje ciało i kości. Lur była blada jak ściana, pod oczami miała czarne sińce.

No, teraz nasza kolej. Panny, które powpadały do fosy, mogą mieć wkrótce towarzystwo!

Wziąłem sznur z rąk Lur i wysłałem sygnał. Odpowiedziano mi.

Pocięliśmy sznury i spleliśmy ich końce w jeden gruby powróż. Kiedy go zabrakło, dowiązaliśmy na końcu cienką, mocną linkę.

Powróż przesuwiał się coraz dalej i dalej. Teraz drabina! To nasz most, który musimy pokonać. Była lekka, lecz mocna. Spleciona w chytry, wymyślony przed wiekami sposób. Na każdym końcu miała klamry, które raz zaciśnięte nie dawały się tak łatwo otworzyć. Przymocowaliśmy koniec drabiny do cienkiej linki. Ruszyła naprzód... przesunęła się przez paprocie... przez parującą fosę... przeszła!

Niewidzialna w kłębach pary, niewidzialna w zielonym mroku na tle skały... pełzła wyżej i wyżej...

Trzy dziewczyny złapały drabinę i umocowały, ja pociągnąłem za nasz koniec, aż się naprężyła. Naciągnęliśmy ją mocno i zaczepiliśmy haki. Droga do Sirku stała otworem! Odwróciłem się do Czarownicy. Jej oczy płonące zielonym, wilczym blaskiem utkwione były w dali. Nagle przez syk potoku przebiło się słabo wilcze wycie.

Lur odetchnęła z ulgą i uśmiechnęła się do mnie.

– Widzisz, Dwayanu? Naprawdę umiem rozmawiać z wilkami!

Podszedłem do drabiny i ją wypróbowałem. Była mocna, bezpieczna.

– Pójdę pierwszy, Lur. Niech nikt za mną nie idzie, póki nie stanę na tamtym końcu. Potem wy, Daro i Naral, ubezpieczycie mnie z tyłu.

Oczy Lur rozblęły.

– Ja pójdę za tobą. Twoje adiutantki za mną.

Zastanowiłem się. No, dobrze, niech będzie.

– Jak chcesz, Lur. Ale nie ruszaj, dopóki nie przejdę.

Potem niech Ouarda pchnie swoich żołnierzy. Ouardo, pamiętaj: nie więcej niż dziesiątka jednocześnie na drabinie. Niech owina sobie nosy i usta, zanim wyruszą.

Licz do trzydziestu, powoli, o tak... i dopiero potem wypuszczaj następną grupę. Lur, umocuj mi na plecach topór i miecz. Dopilnuj, by wszyscy tak właśnie nieśli broń. Teraz uważaj, jak się poruszam.

Zawisłem na drabinie z rozstawionymi szeroko nogami i rękami. Zacząłem się wspinać jak pająk, powoli, by mogły mi się dobrze przyjrzeć. Drabina zakołysała się, ale bardzo lekko. Umocowaliśmy ją pod dobrym kątem.

Już byłem nad paprociami. Nad brzegiem strumienia. Nad samym strumieniem. Owionęła mnie para. Osłoniła. Gorący oddech gejzeru mnie wysuszył. Przestałem widzieć drabinę, z wyjątkiem kolejnych szczebli...

Chwała Luce za to! Jeśli nie widziałem nic przed sobą, to i sam nie byłem widziany!

Kłęby pary już za mną! Minałem urwisko. Byłem nad parapetem! Zsunąłem się między skały – niewidzialny. Potrząsnąłem drabiną. Zaraz nadeszła odpowiedź. Poczulem, jak sznury się naprężają... coraz bardziej i bardziej...

Zdjąłem topór i miecz. – Dwayanu...

Odwróciłem się. Stały przy mnie trzy dziewczyny. Zacząłem je wychwalać, z trudem powstrzymując się od śmiechu. Zieleń i czerń pod wpływem pary rozmazała się na ich ciałach w groteskowe desenie.

– Nobilituję was, moje panny! Teraz, w tej chwili. Waszymi kolorami będą zieleń i czerń. To, czego dokonałyście tej nocy, trafi do legend Karaku!

Przyjrzałem się umocnieniom. Dzielili nas od nich równa, skalna platforma pokryta piaskiem, szeroka na mniej niż pół drogi strzały. Przy ognisku grzało się ze dwudziestu żołnierzy. Większa grupa stała na parapecie, bliżej wież mostu. Na drugim końcu parapetu było ich jeszcze więcej. Przypatrywali się wilkom.

Wieże mostu zwodzonego wznosiły się na skalnym podłożu. W lewej nie było żadnych otworów, w prawej znajdowały się szerokie wrota, nie zamknięte, nie strzeżone przez nikogo, bo wartownicy grzali się przy ogniu. Pomiedzy wieżami w dole znajdowała się platforma – podjazd do mostu. Na ramieniu poczułem dotyk. Przy mnie pojawiła się Lur, tuż za nią moje dowódczyni i ich oddział. Kazałem im napiąć łuki i założyć strzały. Kolejno wtapiały się w zieloną ciemność, ustawiając się przy mnie w cieniu skał. Jedna dwudziestka... druga... Wtem przeraźliwy krzyk przebił się jak strzała poprzez bulgot strumienia! Drabina zadygotała i skreśliła



się... Znów rozpaczliwy krzyk... Drabina opadła!

– Dwayanu, czy drabina się zerwała? Ai... Ouarda!

– Cicho, Lur! Mogą usłyszeć te wrzaski. Drabina nie mogła pęknąć.

– Ciągnij, Dwayanu, ciągnij!

Zawiesiliśmy się na niej oboje. Była ciężka. Rozpięliśmy ją jak sieć. I nagle zrobiła się lekka jak piórko. Zwisła nam w rękach...

Jej końce były równo przecięte – jak nożem czy toporem.

– Zdrada! – zawołałem.

– Zdrada... ale jak... przecież Ouarda...

– Przykucnąłem pod osłoną skały.

– Daro – zarządziłem – roześlij żołnierzy. Powiedz Naral, by przedostała się do dalszego końca. Na sygnał niech wypuszczą strzały, ale tylko trzy serie. Pierwsza – w tych przy ognisku. Druga i trzecia – w tych na murach, koło samych wież. Potem – za mną. Jasne?

– Jasne, panie.

Przekazała mój rozkaz. Usłyszałem skrzyp napinanej cięciwy.

– Jest nas trochę za mało, Lur, ale nie pozostało nam nic innego, jak tylko dać sobie radę. Nie ma z Sirku innej drogi, tylko droga miecza.

– Wiem. Myślę o Ouardzie... – Głos jej się łamał.

– Jest bezpieczna. Gdyby zdrada miała szerszy zasięg, usłyszelibyśmy odgłosy walki. Koniec gadania, Lur. Musimy działać szybko i sprawnie. Po trzeciej serii strzał ruszamy do bramy wieży.

Dałem sygnał. Łuczniczki zajęły pozycje. Wypuścili pierwszą serię. Tylko kilku żywych zostało przy ognisku. Po chwili rozległy się kolejne świsty – tym razem dostali ci przy wieżach mostu.

Hai! Co za wspianiała celność! Patrzcie, jak padają! Jeszcze raz...

Świsnęły pióra strzał. Zaśpiewały cięciwy. Bogowie, to jest życie!

Runąłem jak burza w dół, po skałach. Lur trzymała się mego boku. Za nami waliło ławą wojsko. Prosto do bramy wieży. Nim ci na długim parapecie zdołali się ocknąć, byliśmy w połowie drogi.

Rozległy się krzyki. Zagrzmiały trąby. Powietrze wypełnił ogłuszający dźwięk spizowego gongu, bijącego na alarm dla uśpionego za przełęczą Sirku. Przyśpieszyliśmy. Wpadły między nas pierwsze oszczepy, nad głowami zaczęły świstać strzały. Z innej bramy, ukrytej w wewnętrznym murze, wyłoniły się oddziały straży, biegnące, by nas powstrzymać.

Byliśmy już jednak przy samej bramie. Wpadliśmy do środka.

Ale nie wszyscy. Trzecia część padła pod wrogimi oszczepami i strzałami.

Znalazszy się w środku, usiłowaliśmy zatrzaskać ciężkie wrota. Nie było to takie proste. Dość długo zmagaliśmy się z potężnymi antabami, które je zabezpieczały. Kiedy wreszcie się udało, usłyszeliśmy walenie młotów wyprowadzonej w pole straży.

Ogromna, pusta, kamienna komnata nie miała drugiego wejścia. Domyśliłem się powodu; w Sirku nigdy nie spodziewano się ataku od środka. Wysoko w górze były otwory wychodzące na fosę, pod spodem znajdowały się pomosty dla łuczników. Z boku ustawiono maszynę do opuszczania mostu.

Wszystko to dostrzegłem w jednym mgnieniu oka. Rzuciłem się do dźwigu i zacząłem przy nim majstrować.

Most opadał!

Czarownica wskoczyła na pomost i wyjrzała przez szparę. Osłoniła usta rękami i wydała donośny dźwięk, wzywający Tibura i jego ludzi.

Ciosy w bramę stały się teraz silniejsze, choć rzadsze, bardziej rytmiczne. To taran! Mocne drewniane wrota zatrzęsyły się pod jego uderzeniem. Antaby zaskrzypiały.

– Most gotów, Dwayanu! – krzyknęła do mnie Lur.

Tibur już jest w drodze. Robi się widniej. Świta!

Przyprowadzili konie...

Zakląłem. Oświeć ich, Luko, niech nie przejeżdżają mostu konno!

– Przejeżdża! On, Rascha, jeszcze paru innych! Reszta zsiada z koni. Hai! Szyją do nich z łuków przez otwory... Miotają oszczepy! Sirk zbiera żniwo!

Rozległ się potworny trzask rozłupywanych wrót.

Ogłuszający tumult... Wrzaski i okrzyki bojowe... brzęk jednego miecza o drugi, świst strzał. I ponad tym wszystkim gromki rechot Tibura!

Taran umilkł.

Podniosłem antaby i z toporem w pogotowiu uchyliłem nieco wrota. Wyjrzałem na zewnątrz. Od czoła mostu pędziło jak burza wojsko Karaku.

Otworzyłem wrota szerzej. Trupy obrońców fortecy pokrywały grubą warstwą okolice wieży i wejście na most.

Wyszedłem na zewnątrz. Kiedy żołnierze mnie zobaczyli, rozległ się jeden wielki ryk: – Dwayanuuu!

Z fortecy ciągle niósł się szerokim echem gong alarmowy. Sirkowi ku przestrodze.

Ale w Sirku już nie spano.

## Rozdział XX ŻEGNAJ, TSANTAWU!

U wrót Sirku rozlegał się pomruk, jakby ktoś poruszył gigantyczne gniazdo os. Grzmiały trąby, walono w bębny. Spiżowe dźwięki gongów odpowiadały temu samotnemu, odzywającemu się w samym środku zaatakowanej twierdzy. Wszystkie waleczne córy Karaku wyległy na most, wypełniając całą przestrzeń dzielącą go od twierdzy.

Kowal zwrócił konia w moją stronę.

– Na bogów, Tiburze, co za wspaniała robota!

– Tylko dzięki tobie, Dwayanu. Ujrzałeś, obmyśliłeś, dokonałeś. Dla nas zostały same resztki.

Cóż... Co prawda, to prawda. Ale w tym momencie o mało nie polubiłem Tibura. Nasza krew! Poprowadzenie ataku na most – to nie byle igraszka! Wojownik z niego co się zowie! Gdyby tak okazał się choć odrobinę lojalny, to niech Kalk’ru porwie Czarownicę!

– Wymieć fortecę do czysta, Kowadlarzu. Nie życzymy sobie strzał w plecach.

– Robi się, Dwayanu!

Choć zamiast miotły użył mieczy i dzid, przy czym jeszcze pomagał sobie oszczepami i strzałami – forteca została wymieciona jak się patrzy.

Gong umilkł w pół uderzenia.

Mój rumak oparł mi łeb na ramieniu i parsknął cicho prosto w ucho.

– Pamiętałeś o koniu! Dzięki, Tiburze!

– Prowadź do ataku, Dwayanu!

Wskoczyłem na siodło. Wzniósłszy wysoko topór bojowy, pomknąłem galopem ku wrotom przełęczy. Pędziłem jak strzała, z Czarownicą i Tiburem u boków. Za mną gnali nobile, dalej żołnierze. Runęliśmy na Sirk jak burza.

Na naszej drodze wyrosła żywa fala, która odrzuciła nas do tyłu. Młoty fruwały w powietrzu, topory rąbały na prawo i lewo, leciał na nas deszcz oszczepów i włóczni, świszczwały strzały. Koń zachwiał się pode mną i padł z przeciętą pęcina, kwicząc z bólu. Czyjaś ręka ściągnęła mnie na ziemię. Czarownica z uśmiechem na ustach zawlokła mnie między trupy, odrąbując po drodze czyjeś ramię. Mieczem i toporem oczyściła miejsce wokół nas. Wskoczyłem na grzbiet myszatego konia, którego jeździec poległ, najeżony strzałami.

Rzuciliśmy się w środek fali. Ustąpiła, by ogarnąć nas ze wszystkich stron.

Naprzód! Naprzód! Tnij, mieczu! Rąb, toporze! Siecz, wal, grzmoć, byle dalej!

Żywa fala opadła. Przeszliśmy! Przed nami Sirk! Ściągnąłem cugle. Sirk przed nami?... Coś to zbyt zachęcająco wygląda!

Miasto leżało w kotlinie otoczonej pionowymi, niedostępnymi, czarnymi ścianami jak w gniazdku.

Krawędź przełęczy była położona wyżej niż dachy domów, odległe o strzał z łuku. Piękne miasto! Nie było tam twierdzy ani fortyfikacji. Nie było też świątyni ni pałaców. Tylko około tysiąca kamiennych domów o płaskich dachach, malowniczo rozrzuconych, otoczonych ogrodami. Między nimi biegły szerokie, wysadzone drzewami ulice. Dużo różnych zaułków, alejek. Za miastem rozciągały się bezkresne pola uprawne i kwitnące sady.

Żadnych oddziałów wojska przed nami! Otwarta droga! Coś za bardzo otwarta.

Na szczytach domów dostrzegłem błysk broni. Przez ryk trąb i bicie bębnow przebijały się odgłosy rąbania toporami.

Hai! Barykadowali ulice ściętymi drzewami. Szykowali na nas setki zasadzek, sądząc, że wpadniemy tam całym impetem.

Próbowali przechytrzyć Dwayanu!

A jednak dobrzy z nich taktycy. To najlepszy sposób obrony. Spotkałem się z czymś takim wiele razy w wojnie przeciw barbarzyńcom. Oznaczało to, że musimy walczyć o każdy krok, o każdy dom. Będą do nas mierzyć z każdego okna i dachu. Ależ muszą mieć wspaniałego wodza! Żeby zgotować nam takie przyjęcie w tak krótkim czasie? Czulem do niego szacunek, kimkolwiek był. Wybrał jedyną słuszną drogę do zwycięstwa... chyba że ten, z którym walczył, wiedział, jak przeciwdziałać.

A ja – po ciężkich doświadczeniach – wiedziałem. Jak długo ten wódz zdoła utrzymać Sirku, walcząc na tyłu pozycjach? Na tym zwykle polegało niebezpieczeństwo takiej obrony. Napadnięte miasto odruchowo próbuje odeprzeć atak, sposobem pszczoł i os: całym rojem. Rzadko się zdarza dowódca, który potrafi utrzymać zapaleńców. Gdyby mieszkańcy każdego domu w Sirku działali wspólnie z innymi, jako częśćka całości – wtedy miasta nie dałoby się zdobyć. Ale jak się to mogło udać w sytuacji, gdy każdy działa w pojedynkę, traci łączność z drugimi? Pozwala się odciąć od wodza?

Hai! Wówczas przez wszystkie szpary wkrada się upadek ducha! Ludzie zaczynają się kierować wściekłością i rozpaczą, zupełnie jakby te uczucia prowadziły ich na sznurku. Ruszają przed siebie na oślep, by zabijać lub dać się zabić. I tak, kamień po kamieniu kruszy się skała. I napastnicy wyjadają po kawałku cały placek.

Rozdzieliłem żołnierzy i wysłałem do Sirku pierwszą partię w małych oddziałach. Rozkazałem im rozejść się po mieście i wykorzystać wszelkie możliwe kryjówki. Mieli za wszelką cenę zająć pozycje na obrzeżach domów i wypuszczać strzały wysoko w górę, tak by trafiały w obrońców, podczas gdy inni będą szturmować drzwi budynków. Jeszcze inni mieli atakować odleglejsze miejsca, ale absolutnie nie oddalać się za bardzo od towarzyszy ani też od szerokiej drogi przecinającej miasto. Rozsnuwałem swą sieć nad Sirkiem. Nie chciałem, by mi

w niej popękały oczka. Było już całkiem widno.

Żołnierze ruszyli naprzód. Zobaczyłem, jak strzały się sypią w górę – w dół... jak wciskają się między siebie niczym węże... Usłyszałem, jak topory rąbią drzwi...

Na Luke! Oto na jednym dachu powiewa sztandar Karaku! I na następnym!

Pomruk unoszący się nad Sirkiem przybrał na sile. Dosłuchiwałem się w nim pierwszych oznak szaleństwa. Hai! Wiedziałem, że nie wytrzymają długo tego podskubywania. I znałem ten odgłos. Wkrótce obrońców ogarnie szal. A potem rozpacz. Hai! Wnet wylegną na ulice...

Stojący przy mnie Tibur klął. Lur dygotała. Żołnierze szemrali w napięciu, rwąc się do bitwy. Patrzyłem w ich zacięte, zimne, niebieskie oczy. Twarze pod hełmami należały nie do kobiet, tylko do wojowniczek... Jeśli ktoś chciałby się w nich doszukać właściwego kobietom miłosierdzia, srodze by się rozczarował...

– Na Zardę! Walka się skończy, nim zdążę kogoś dźgnąć!

Roześmiałem się.

– Cierpliwości, Tiburze! Cierpliwość to nasza mocna broń. Sirk byłby silniejszy, gdyby ich ludzie o tym wiedzieli. Niech pierwsi ją stracą.

Zgiełk narastał. W wylocie ulicy pojawiło się pół setki żołnierzy Karaku, walczących z nieco większą liczbą przeciwników. Liczba ta stale rosła, powiększana szybko o kolejnych obrońców wypadających z zaułków, zeskakujących z dachów i okien obleganych domów. Na ten moment czekałem!

Wydałem rozkaz. Wzniosłem bojowy okrzyk. Pomknęliśmy w dół. Nasi strzelcy rozstąpili się i przyłączyli do oddziałów podążających z dzikim wrzaskiem za nami. Przedarliśmy się przez szeregi obrońców Sirku. Padali na ziemię, ale padając, nie ustawali w walce. Wiele koni biegało z pustymi siodłami i wiele ich poginęło, nim jeszcze przebiliśmy się do pierwszej barykady.

Hai! Jakżeż oni walczyli spoza zwalonych w pośpiechu drzew! Kobiety, mężczyźni, nawet dzieci ledwie zdolne napiąć łuk czy utrzymać nóż!

Teraz żołnierze Karaku zaczęli nękać ich z boków, szyc do nich z dachów opuszczonych domów – słowem walczyć tak, jak oni chcieli walczyć z nami. Wkrótce nasi wrogowie załamali się i uciekli, a my zajęliśmy barykadę. Wreszcie znaleźliśmy się w samym środku Sirku, na pięknym, wielkim placu, gdzie kwitły kwiaty i były fontanny. Kiedy go opuszczaliśmy, woda tryskająca z fontann miała kolor szkarłatu, a kwiatów w ogóle nie było...

Okupiliśmy to wszystko ciężkimi stratami. Rozsiekano połowę naszych nobilów. W mój hełm trafiła dzida i omal mnie nie zabiła. Z gołą głową, z czerwonymi plamami na twarzy, rycząc jak ranne zwierzę, jechałem wymachując ociekającym krwią mieczem. Naral i Dara, choć ranne, ciągle osłaniały mnie z tyłu. Czarownica, Kowal i jego szramowaty towarzysz walczyli dalej bez uszczerbku.

Rozległ się tętent kopyt. Prosto na nas pędził oddział jeźdźców. Ruszyliśmy galopem na ich spotkanie. Natarliśmy na siebie jak dwa wściekłe morskie grzywacze. Skłębiliśmy się. Zwarli. Błysnęły miecze! Poszły w ruch młoty! Topory! Hai! Teraz przeszliśmy do walki wręcz, na której znałem się najlepiej i którą kochałem!

Zakręciliśmy się w szalonym wirze. Zerknąwszy w prawo, stwierdziłem, że Czarownicę ode mnie odrzuciło. Tibur też znikł. Cóż, niewątpliwie odwalali dobrą robotę, gdziekolwiek byli.

Machałem mieczem na wszystkie strony. Wtem na czele przeciwników, ponad czapkami kręcących się między nami żołnierzy Karaku, dostrzegłem ciemną twarz... twarz, której czarne oczy patrzyły prosto w moje... ciągle... bez ustanku... U boku tego człowieka ujrzałem wiotką postać o błyszczących brązowych oczach. Również i te oczy nie przestawały się we mnie wpatrywać. Czarne spoglądały z wyrozumiałością, brązowe – z nienawiścią.

Jedne i drugie dotykały czegoś głęboko ukrytego w moim wnętrzu, czegoś, co trwało w uśpieniu. Pobudzały to coś... wołały...

Usłyszałem własny głos wykrzykujący rozkaz zaprzestania walki. W jednej chwili umilkły wszelkie bojowe odgłosy. Zarówno żołnierze Sirku, jak Karaku stanęli w ciszy, zdumieni, z utkwionymi we mnie oczami.

Ciekawe, czemu to opuściłem miecz? Czemu tak stałem? I czemu troska w tych oczach wywoływała w moim sercu ból?

Człowiek o ciemnej twarzy przemówił. Wypowiedział dwa słowa:

– Leifie!... Degataga!...Degataga!...

To, co we mnie spało, całkowicie się rozbudziło. Miotano się po mojej głowie... Rozsadzało mózg... Szarpało go... Wstrząsało każdym nerwem... Krzyk. To głos Czarownicy.

Jakiś jeździec przepchnął się przez kordon i żołnierzy. Rascha z wyszczerzonymi zębami łypał na mnie złymi oczami. Podniósł rękę. Błysnął w niej sztylet, który błyskawicznie wbił się w plecy mężczyzny, nazywającego mnie „Degataga”! Nazwał mnie... Boże... Przecież go znam!

Rozbudzony byt opanował mój umysł... To przecież ja! Żaden Dwayanu! Tsantawu! Jim! Pognałem konia naprzód.

Ramię Raschy wzniesione do drugiego ciosu... Brązowooki jeździec odwraca się w jego stronę z mieczem, a Jim pada twarzą w grzywę swego wierzchowca.

Złapałem Raschę za rękę, nim zdążył uderzyć. Wykręciłem mu ją z całej siły, aż chrupnęła. Zawył... jak wilk. Młot świsnął mi nad głową, mijając ją o włos. Zobaczyłem, jak Tibur ściąga go z powrotem.

Dźwignąłem Raschę z siodła. Zaciśnął zdrową rękę na moim gardle. Złapałem go za nadgarstek i wykręciłem także tę rękę.

Mój koń szarpnął się nagle w bok. Z jedną ręką na szyi Raschy, a drugą zaciśniętą na nim

jak obręcz, runąłem na ziemię, przygniatając szramowatego. Przykląkłem i przerzuciłem go sobie przez kolano. Zsunąłem rękę z szyi na pierś. Unieruchomiłem go prawą nogą.

Jeden błyskawiczny ruch do dołu... Trzasnęło, jakby ktoś złamał kij. Łamikark nie złamie już żadnego karku! Bo sam ma złamany.

Zerwałem się na nogi. Spojrzałem w twarz brązowookiego jeźdźca...

.. – Evalie! – krzyknąłem.

Nagle wokół mnie bitwa rozgorzała na nowo. Evalie odwróciła się, by odeprzeć atak. Zobaczyłem potężne ramię Tibura wzniesione za jej plecami. Już ściąga ją z konia... w jego lewej ręce coś zaśniło... pomknęło w moją stronę...

Odrzuciło mnie w bok. Nie dość szybko...

Coś musnęło mnie w głowę. Padłem na kolana, oślepiiony i półprzytomny. Usłyszałem rechot Tibura. Próbowałem przewyciężyć ogarniającą mnie słabość i falę mdłości. Poczulem na twarzy strużkę krwi.

Kiedy skulony pełzłem na czworakach, usłyszałem, jak walka ogarnia wszystko wokół mnie, nade mną, za mną.

Głowa przestała mi się trząść. Wzrok powracał. Ciągle jeszcze byłem na czworakach. Pode mną leżało ciało mężczyzny... mężczyzny, którego czarne oczy utkwione były w moich ze współczuciem... z miłością.

Ktoś dotknął mego ramienia. Z trudem podniosłem wzrok. To Dara.

– O włos uniknąłeś śmierci, panie. Wypij to, proszę.

Przytknęła mi jakąś fiolkę do ust. Gorzkie, piekące krople spłynęły mi do żołądka, napelniając spokojem i siłą. Zobaczyłem, że strzeże mnie kordon piechoty, a za nim drugi – jeźdźców.

– Leifie, słyszysz mnie? Nie mam za dużo czasu...

Przewróciłem się na bok i ukląkłem.

– Jim! Jim! Boże, po coś się tu zjawił? Weź ten miecz i przebij mnie!

Sięgnął po moją rękę i trzymał ją kurczowo.

– Nie zachowuj się jak skończony kretyń. Nie mogłeś nic na to poradzić... ale musisz uratować Evalie...

– To ciebie muszę uratować, Tsantawu... Wyciągnę cię stąd!

– Zamknij się i słuchaj. Oberwałem i wiem o tym. Ostrze przeszło przez kolczugę i trafiło prosto w płuco... wykrwawiam się... w środku... Do diabła, Leifie, nie przeżywaj tego aż tak! Mogłem zginąć na wojnie... umrzeć w każdej chwili... To nie twoja wina...

Wstrząsało mną łkanie. Krew na mej twarzy mieszała się ze łzami.

– Ale zabiłem go... zabiłem!

– Wiem, Leifie... świetna robota... widziałem... ale muszę ci coś powiedzieć... – Głos mu słabł. Przytknąłem mu fiolkę do jego ust. Oprzytomniał.

– Evalie nienawidzi cię... teraz! Ale musisz ją ratować... mimo wszystko... Słuchaj! Przyszła z Sirku wiadomość przez małych ludzi, że chcesz się z nami spotkać. Udawałeś Dwayanu... udawałeś, że nic więcej nie pamiętasz... żeby uśmierzyć podejrzenia i zagarnąć władzę. Miałeś zamiar się wymknąć... dostać się do Sirku i poprowadzić ich na Karak. Chciałeś, bym stanął przy tobie... Potrzebowałeś Evalie, żeby przekonała małych Judzi...

– Nie wysyłałem żadnej wiadomości! – jęknąłem.

– Teraz wiem, że nie. Ale wtedy uwierzyliśmy. Uratowałeś Tri od wilków i przeciwstawiłeś się Czarownicy...

– Jim... Jak długo po ucieczce Tri nadeszła ta wiadomość?

– Dwa dni... Czy to ważne? Mówiłem Evalie, co się z tobą stało. Powtarzałem w kółko całą twoją historię.

Nie zrozumiała, ale uwierzyła mi na słowo. To jeszcze nie wszystko... Leifie... Odchodzę...

Znów udało mi się ożywić go lekarstwem.

– Dotarliśmy do Sirku... dwa dni temu. Przeprawiliśmy się przez rzekę z Tri i dwudziestką karzełek... było łatwo... za łatwo... Ani jeden wilk nie zawył, choć wiedziałem, że bestie nas obserwują... czają się gdzieś na nas... inni też... Czekaliśmy... i wtedy nastąpił atak. Już wiedziałem, że wpadliśmy w zasadzkę... Jak ci się udało z tymi gejzerami, stary druhu? Nieważne... ale... Evalie wierzy, że to ty wysłałeś wiadomość... ty... czarna zdrada...

Powieki mu opadły. Ręce stawały się coraz zimniejsze.

– Tsantawu, bracie... ty chyba w to nie wierzysz?

Tsantawu, wracaj! Przemów do mnie!

Otworzył oczy, ale ledwie słyszałem, co szeptał.

– Nie jesteś Dwayanu, Leifie? Ani teraz, ani już nigdy?

– Nie! Tsantawu, nie odchodź!

– Pochyl głowę... niżej... walcz... ratuj... Evalie...

– Głos słabł coraz bardziej.

– Żegnaj... Degataga... nie twoja wina...

Cień znajomego złośliwego uśmiešku przemknął po zbielałej twarzy.

– Nie spotkałeś swoich... cholernych przodków!...

Pech, co?... Było nam razem dobrze... Jak diabli... Ratuj ją...

Smużka krwi wypłynęła z jego ust. Jim umarł... umarł... Nie ma już Tsantawu...



## **KSIĘGA LEIFA**

## Rozdział XXI

### POWRÓT DO KARAKU

Pochyliłem się nad Jimem i ucałowałem go w czoło. Byłem otepiały z żalu. Lecz pod warstewką drętwoty szalałem ze wściekłości i cierpiałem męki przerażenia. Furia dotyczyła Czarownicy i Kowala, przerażenie – mnie samego, tego, kim się stałem... Dwayanu!

Musiałem odnaleźć Tibura i Czarownicę... ale najpierw miałem co innego do zrobienia. Tamci mogli poczekać, Evalie też.

– Daro, niech go podniosą i zabiorą do któregoś z domów.

Poszedłem pieszo za ludźmi unoszącymi Jima. Walki wciąż trwały, ale daleko od nas. Tu zostały tylko trupy. Sirk bronił już chyba ostatniej pozycji w końcu doliny.

Wraz z Darą, Naral i sześcioma innymi przedostaliśmy się przez pęknięte drzwi do środka czegoś, co jeszcze wczoraj było przytulnym domostwem. W centrum znajdował się niewielki hol z kolumnami. Pozostali żołnierze skupili się wokół drzwi na zewnątrz, strzegąc domu przed intruzami. Zarządziłem, by zniesiono do holu krzesła, łóżka i w ogóle wszystko, co się da rozpaść, a następnie ułożono w stos.

– Panie, pozwól, że przemyję ci ranę – zwróciła się do mnie Dara.

Opadłem posłusznie na zydel i zastanawiałem się, czemu używa do tego celu piekącego wina. Mimo pewnego odrętwienia czułem wielką jasność umysłu. Byłem Leifem Langdonem. Dwayanu nie panował już nade mną i więcej nie będzie. A jednak żył. Żył w moim umyśle jako jego część. Szok związany z rozpoznaniem Jima sprawił, że Leif Langdon wessał w siebie Dwayanu, połączył się z nim jak strumień zlewający się w jedno łóżysko z drugim, jak dwie krople tworzące jedną, jak dwa różne stapiające się z sobą metale.

Krystalicznie jasno pamiętałem wszystko, co widziałem, słyszałem, robiłem, myślałem od czasu, gdy spadłem z Nansuru. Podobna, choć bardzo bolesna była pamięć o tym, co się zdarzyło wcześniej. Dwayanu nie umarł, o, nie! Ale druga część mej osoby, czyli właśnie ja sam, była teraz o wiele silniejsza. Potrafiłem korzystać z siły i mądrości Dwayanu, podczas gdy on nie mógł posługiwać się moimi umiejętnościami. Przejąłem kontrolę nad sytuacją, byłem panem. I myślałem jeszcze, że jeśli miałem uratować Evalie – i zrobić jeszcze to, co absolutnie musiałem, nawet za cenę życia – to na zewnątrz nadal powinienem pozostać Dwayanu. W tym cała moja moc. Taka transmutacja, jaką przeszedłem, nie da się łatwo wyjaśnić żołnierzom. Oni wierzyli Dwayanu i słuchali jego rozkazów. Skoro nawet Evalie, która знаła mnie jako Leifa i wiedziała o wszystkim od Jima – skoro nawet ona nie potrafiła zrozumieć, to jak mogli oni? Nie, nie mają prawa zauważyć żadnej zmiany. Dotknąłem głowy. Rana była długa i głęboka. Najwyraźniej ocaliła mnie tylko twardość czaszki.

- Daro, widziałaś, kto zadał mi ten cios?
- Tibur, panie.
- Próbował mnie zabić... Czemu nie dokończył?
- Jeszcze się nie zdarzyło, by jego lewa ręka chybiła.
- Myśli, że i teraz trafił. Widział, jak padasz, sądzi, że jesteś martwy.

– Cudem uniknąłem śmierci. Zdawało mi się... Chyba ktoś mnie popchnął. Czy to ty, Daro?

– Ja, panie. Zobaczyłam, że Kowal sięga lewą ręką za pas i wiedziałam, co zrobi. Rzuciłam się do twych kolan, żeby nic nie zauważył.

- Dlaczego? Boisz się go?
- Nie. Chciałam, by myślał, że cię trafił.

– Dlaczego?

– Żebyś miał większą szansę zabić go, panie. Po śmierci przyjaciela uszła z ciebie siła...  
Przyjrzałem się bacznie mojej adiutantce o zuchwałych oczach. Ile wiedziała? Cóż, później się tym zajmę. Przeniosłem wzrok na stos. Był prawie gotów.

- Czym Tibur we mnie rzucił, Daro?

Wyciągnęła zza pasa dziwną, nie znaną mi broń. Był to rodzaj sztyletu o czterech krzyżujących się ostrzach, zakończonych stożkowatym grotem, jak w miniaturowym oszczepie. Ważył około pięciu funtów, a wykonany był z jakiegoś metalu, twardszego i bardziej zwartego niż stal. Żadna kolczuga nie mogła dać osłony przed tym straszliwym szpikulcem, zwłaszcza ciśniętym z siłą Kowala. Dara wyjęła mi go z rąk i pociągnęła za krótki uchwyt. Ostrza odskoczyły, tworząc coś w rodzaju kołnierza. Koniec każdego z nich był wystrzępiony jak odwrócone pióro ptaka. Najbardziej diabelskie narzędzie, jakie kiedykolwiek widziałem! Kiedy raz wejdzie w ciało, nie da się go wyciągnąć inaczej jak operacyjnie. Każde szarpnięcie sprawia, że „kołnierz” się otwiera i wczepia jeszcze bardziej w tkankę. Zabrałem szpikulce Darze i wsunąłem sobie za pas. Jeśli miałem przedtem wątpliwości co do tego, jak postąpić z Tiburem – to się ich teraz pozbyłem.

Stos był gotów. Podeszedłem do Jima i ułożyłem go na szczycie. Ucałowałem jego oczy, do martwej ręki wsunąłem miecz. Następnie zerwałem ze ścian bogate tkaniny i przykryłem nimi ciało. Skrzesałem ognia i podpaliłem stos. Drewno było suche i przesycone żywicą, więc zajęło się błyskawicznie. Obserwowałem pełznące coraz wyżej płomienie, aż dym i ogień utworzyły nad Jimem baldachim.

Wówczas z suchymi oczami i śmiercią w sercu opuściłem dom i przyłączyłem się do żołnierzy.

Sirk padł i właśnie go plądrowano. Wszędzie unosił się dym z wyszabrowanych domów.

W pobliżu przechodził oddział wojska, pędząc przed sobą około dwudziestu jeńców – wyłącznie kobiety i małe dzieci. Niektórzy mieli blizny po ranach. Nagle zobaczyłem, że wśród tych, których wziąłem za dzieci, znajdowała się garstka złotoskórych karzełków. Na mój widok oddział stanął w miejscu, wlepiając we mnie oczy z niedowierzaniem. Ktoś krzyknął:

– Dwayanu! Dwayanu żyje!

Miecze wzniosły się w górę, z gardeł wydobył się ryk:

– Dwayanuu!

– Skinąłem na dowódczynię.

– Myśleliście, że Dwayanu nie żyje?

– Takie słuchy chodziły, panie.

– Czy również dotyczyły tego, jak mnie uśmiercono?

Zawahała się.

– Ktoś tam mówił, że to pan Tibur... przez przypadek... Że celował w wodza Sirku, który groził tobie, panie... I zamiast w niego, trafił w ciebie. A twoje ciało zabrali ci z Sirku... Sama nie wiem...

– Dosyć, żołnierzu. Wracajcie do Karaku z jeńcami.

– Nie ociągaj się w drodze i nie rozpowiadać, żeście mnie widziały. To rozkaz. Niech się ta bajeczka na razie utrzymuje.

Spojrzały po sobie, zaskoczone. Potem zasalutowały i odeszły. Żółte oczy karzełków, pełne jadu i nienawiści, ściagały mnie do końca. Czekałem, rozmyślając. Więc to takie rzeczy opowiadają! Hai! Muszą mieć stracha, inaczej nie zawracaliby sobie głowy rozgłaszaniem historii o moim rzekomym wypadku! Nagle podjąłem decyzję.

Nie ma co się snuć po Sirku w poszukiwaniu Tibura. To szaleństwo pokazywać się i pozwolić, by do uszu jego i Lur doszło, że Dwayanu żyje. Niech sami się o tym przekonają. Jest tylko jedna droga z Sirku – przez most.

Tam na nich zaczekam. Odwróciłem się do Dary:

– Jedziemy na most. Ale nie tą drogą, tylko zaułkami, póki nie dotrzemy do skał.

Zawróciły konie. Pierwszy raz uświadomiłem sobie, że cała moja niewielka drużyna siedzi na koniach. I również po raz pierwszy zauważyłem, że towarzyszy mi cała osobista straż oraz wielu żołnierzy z dawnej piechoty. Mniej więcej dwudziestu jeźdźców nosiło kolory nobilew, którzy jechali ze mną, kiedy wraz z Tiburem i Lur zdobywałem przełęcz Sirku. Naral, widząc, że się nad tym zastanawiam, odezwała się ze swą zwykłą bezpośredniością:

– To najwierniejsze z wiernych, Dwayanu! Konie się zwolniły... no, niektórym się trochę pomogło. Żeby cię lepiej osłaniać na wypadek, gdyby Tibur... pomylił się znowu.

Milczałem aż do chwili, gdy okrążywszy płonący dom, schroniliśmy się w jednym z zaułków.

– Naral, Daro, pomówmy na osobności. – Kiedy odjechaliśmy parę kroków, powiedziałem: Wam dwóm zawdzięczam życie, zwłaszcza tobie, Daro. Dam wam wszystko, czego zechcecie. Sam proszę was tylko o jedno: o prawdę.

– Usłyszysz ją, Dwayanu.

– Dlaczego Tibur chciał mnie zabić?

– Kowal nie jest jedynym, który pragnie twej śmierci – odparła sucho Naral.

Tak podejrzewałem, chciałem jednak usłyszeć to od nich.

– Kto jeszcze, Naral?

– Lur... i większość nobilów.

– Ale dlaczego? Czyż nie otworzyłem wrót Sirku?

– Zrobiłeś się za potężny, Dwayanu. Ani Tibur, ani Lur nie zgodzą się na drugą i trzecią pozycje. Tym bardziej na zupełne odsunięcie od władzy.

– Przecież mieli okazję zrobić to przedtem...

– Przecież nie zdobyłeś Sirku dla nich – rzekła Dara.

– Dwayanu, kpisz sobie z nas – dodała Naral niechętnie. – Znasz przyczynę tak samo dobrze jak my, a może i lepiej. Przyszedłeś tu ze swoim przyjacielem, tym, którego zostawiliśmy na stosie. Wszyscy o tym wiedzieli. Jeśli ty miałeś umrzeć, to on też. Nie mógł żyć, bo gdyby stąd uciekł, sprowadziłby innych... Przecież wiem i inni też wiedzą, że poza tym krajem jest życie. Że Kalk'ru nie ma tam władzy, choć nobilowie wmawiają nam co innego. I co? I oto jesteście tu razem, ty i twój przyjaciel. I nie tylko wy dwaj, ale jeszcze ta czarnowłosa dziewczyna, której śmierć lub uwięzienie może złamać ducha Rrllya i nałożyć im jarzmo Karaku. Cała trójka w jednym miejscu! Cóż, Dwayanu, to jedyny moment na atak! Więc Lur z Tiburem zaatakowali. Zabili twego przyjaciela, myślą, że zabili i ciebie, no i uprowadzili dziewczynę.

– A jeśli zabiję Tibura?

– Będzie walka. I musisz się dobrze pilnować, bo nobilowie cię nienawidzą. Powiedziano im, że jesteś przeciwny starym obyczajom, że chcesz ich poniżyć i zbuntować ludzi. A nawet położyć kres ofiarowywaniu poświęconych... – Spojrzała na mnie z ukosa.

– A może to prawda?

– Masz za sobą większość żołnierzy, Dwayanu. Jeśli to prawda, będziesz miał też większość cywilów. Ale i Tibur ma przyjaciół... nawet w wojsku. A Lur to nie byle kto. – Szarpnęła ze złością za uzdę. – Lepiej za jednym zamachem zabić i ją!

Nie odpowiedziałem. Jechaliśmy truchtem przez zaułki, nie odzywając się już do siebie. Wszędzie widzieliśmy trupy i splądrowane domy. Wydostaliśmy się z miasta, zmierzając przez wąską równinę ku przełęczy. Nie spotkaliśmy po drodze nikogo i dotarliśmy na przełęcz nie

zauważeni. Wkrótce znaleźliśmy się na placu za fortecą, gdzie zgromadziło się sporo żołnierzy i jeńców. Jechałem w samym środku mojej drużyny, pochylony nisko nad końskim łbem. Opatrunki i hełm zakrywały moje jasne włosy. Panowało spore zamieszanie i udało mi się przedostać niepostrzeżenie. Ruszyłem prosto do wrót wieży, w której schroniliśmy się w czasie szarży Karaku na most. Wśliznąłem się do środka razem z koniem, zostawiając uchyloną bramę. Moje kobiety zostały na zewnątrz. Raczej nic im nie groziło. Czekałem na Tibura.

Było mi ciężko. Twarz Jima nad dymem ogniska... Twarz Jima uśmiechająca się do mnie w okopach... Twarz Jima nade mną, leżącym na wysłanym mchem przejściu do mirażu... Twarz Jima pode mną na ulicy Sirku...

Tsantawu! Ale, Tsantawu! I ty myślałeś, że w lesie kryje się tylko piękno...

Evalie? Nic mnie wtedy nie obchodziła. Wpadłem w otchłań zimnej, a jednocześnie rozpalonej do białości furii.

„Ratuj Evalie” – naglił Jim. Dobrze, uratuję ją! Chociaż nie obchodziła mnie bardziej niż Czarownica... no tak, trochę bardziej... Z Czarownicą miałem pewne porachunki, z Evalie – nie.

Twarz Jima... ciągle twarz Jima... unosi się nade mną...

Nagle szepł:

– Dwayanu... Tibur!

– Jest z nim Lur, Daro?

– Nie... tylko garstka nobilew. Śmieje się. Przez siodło przerzucił sobie tę czarnowłosą...

– Jak daleko są?

– Może na strzał z łuku. Posuwają się wolno.

– Kiedy wyjadę, trzymaj się blisko mnie z tyłu. Walka będzie między mną a Tiburem. Nie sądzę, by któryś z jego ludzi śmiał zaatakować. Ale gdyby...

Naral zaśmiała się.

– Gdyby się ośmielili, przejedziemy im po gardłach, Dwayanu. Jest tam para, z którymi mam porachunki.

Prosimy cię tylko o jedno: Nie patyczkuj się z Tiburem.

Zabij go szybko. Bo, na bogów, jeśli on zabije ciebie, nas wszystkie ugotują żywcem albo obedną ze skóry.

– Zabiję go, Naral.

Powoli otworzyłem wrota. Teraz go zobaczyłem. Koń właśnie zbliżał się do mostu. Z łuku siodła zwieszała się bezwładnie Evalie. Rozpuszczone granatowoczarne włosy zasłaniały twarz, skrępowane z tyłu ręce tkwiły w uścisku wielkiej łapy Tibura. Otaczała go może dwudziestka stronników. Byli to nobilewie, przeważnie mężczyźni. Zauważyłem, że Czarownica miała w swej straży i oddziałach zaledwie paru mężczyzn, Kowal natomiast zdecydowanie ich

wybierał na przyjaciół i eskortę. Twarz miał zwróconą w ich kierunku, w jego grzmiącym głosie dźwięczał triumf, a rechot niósł się szerokim echem. Na podjeździe nie było akurat ani żołnierzy, ani jeńców. Nikt mnie od niego nie oddzielał. Zastanawiałem się tylko, gdzie jest Czarownica. Tibur był blisko. Coraz bliżej.

– Gotowe? Dara?... Naral?

– Tak jest, panie!

Wypadłem z bramy. Pędziłem jak strzała, nisko pochylony, z moją eskortą z tyłu. Rzuciłem się na Kowala i zajrzałem mu z bliska w oczy.

Zesztywniał. Oczy błysnęły mu złością, szczeka opadła. Widziałem, że jego swiętę ogarnęło to samo niebotyczne zdumienie. Nim Kowal zdołał dojść do siebie, ściągnąłem Evalie i przekazałem ją Darze.

Podniosłem miecz, by rąbnąć go w szyję. Bez ostrzeżenia. Nie zasługiwał na rycerskość. Dwa razy próbował wziąć mnie zdradą. Chciałem z nim szybko skończyć.

Choć zaatakowałem z szybkością błyskawicy, Kowal był jeszcze szybszy. Rzucił się do tyłu, zeskoczył z siodła i spadł jak kot na cztery łapy. Znalazłem się na ziemi w momencie, gdy jego wielki młot był już w połowie drogi. Zadałem cios, mierząc prosto w gardło. Zdołał odparować go młotem. Potem nagle dał się ponieść wściekłości. Młot padł z donośnym brzękiem na skałę. Tibur rzucił się na mnie z wyciem. Opasał mnie ramionami niczym stalową obręczą, przyciskając obie moje ręce do boków. Jednocześnie próbował podstawić mi nogę i zwalić w ten sposób na ziemię. Z zębami odsłoniętymi jak u wściekłego wilka starał się trafić mnie głową w szyję i przegryźć gardło.

Moje żebra trzeszczały w uścisku. Płuca ciężko pracowały, przed oczami zaczęły latać czerwone płatki. Wiłem się i wykręcałem, pragnąc ze wszystkich sił odsunąć się od tego toczącego pianę pyska i nieustępliwych kłów. Usłyszałem za sobą krzyki, potem dobiegły mnie odgłosy walki konnej, ale niewiele mogłem dostrzec. Zaciśniętymi palcami lewej ręki wyczułem coś pod pasem... coś jakby grot oszczepu... Diabelskie żądło Tibura!

W jednej chwili osłabłem w jego uścisku. W ochryplym rechocie zabrzmiała nuta triumfu. Na ułamek sekundy rozluźnił chwyt.

Ułamek sekundy wystarczył. Zebrałem wszystkie siły i uwolniłem się. Nim zdążył pochwycić mnie znowu, wyszarpnąłem szpikulec.

Wepchnąłem go Tiburowi w gardło tuż pod szczeką. Pociągnąłem za uchwyt. Ostre jak brzytwa brzegi rozchyliły się, przecinając arterie i mięśnie. Coraz bardziej ochrypli śmiech przeszedł w upiorne rżenie. Kowal podniósł rękę do trzonka, chwycił go... wyszarpnął...

Krew trysnęła z rozdartego gardła. Kolana ugięły się pod Tiburem... zachwiał się i zwałił

ciężko pod moje nogi, charcząc, lecz ciągle próbując dosięgnąć mnie rękami.

Stałem nad nim oszołomiony, dysząc ciężko, czując, jak szum krwi rozsadza mi uszy.

– Wypij to, panie.

Podniosłem wzrok na Darę. Trzymała bukłak z winem. Wziąłem go od niej i pociągnąłem solidny łyk. Czułem, jak wino spływa mi do wnętrza. Nagle oderwałem bukłak od ust.

– A czarnowłosa dziewczyna? Evalie?... Nie ma jej z tobą?

– Jest tam. Posadziłam ją na innym koniu. Była walka, panie.

Utkwiłem wzrok w Evalie. Ona też patrzyła na mnie chłodno brązowymi, zawziętymi oczami.

– Lepiej zużyj, panie, resztę wina do obmycia twarzy. To nie widok dla delikatnej panienki.

Przejechałem ręką po policzku. Był mokry od krwi.

– To krew Tibura, Dwayanu, bogom niech będą dzięki.

Podprowadziła konia. W siodle poczułem się lepiej.

Przyjrzałem się leżącemu Tiburowi. Jego palce ciągle lekko drgały. Rozbita kompania łuczników Karaku stała przy moście. Zasalutowali mi, podnosząc łuki.

– Dwayanu! Niech żyje Dwayanu!

– Moja drużyna jakoś dziwnie się skurczyła.

– Naral! – krzyknąłem.

– Nie żyje, panie. Mówiłam, że była walka.

– Kto to zrobił?

– Nieważne, panie. Usiekłam go. Reszta orszaku Tibura zwiąła. I co teraz, panie?

– Zaczekamy na Lur.

– Więc nie zabawimy długo, bo właśnie się zbliża.

Rozległ się dźwięk rogu. Czarownica galopowała ku nam przez plac. Rude warkocze miała rozplecione, miecz był czerwony od krwi, a twarz, podobnie jak moja, nosiła ślady walki. Wraz z nią nadjechał zaledwie tuzin kobiet, połowa jej nobilew.

Czekałem na nią. Ściągnęła konia tuż przede mną i patrzyła badawczo błyszczącymi oczami.

Powinienem ją zabić, jak Tibura. Powinienem jej nienawidzić. Ale uświadomiłem sobie nagle, że wcale nie czuję do niej nienawiści. Chyba całą przelałem na Kowala. Nie, nie nienawidziłem Lur.

Uśmiechnęła się słabo.

– Trudno cię zabić, Żółtowłoso.

– Jestem Dwayanu, wiédźmo.

– Rzuciła mi szydercze spojrzenie.

– Nie jesteś już Dwayanu.



– Powiedz to żołnierzom.

– Och, wiem... – Utkwiła wzrok w trupie Tibura.

– A więc zabiłeś Kowala. Cóż w końcu nie przestałeś być mężczyzną.

– Zabiłem go dla ciebie, Lur - powiedziałem drwiąco. – Czyż ci tego nie obiecałem?

Nie odpowiedziała.

– I co teraz? – zapytała jak przedtem Dara.

– Zaczekamy tu, aż Sirk opustoszeje. Potem pojedziemy do Karaku. Ty obok mnie. Nie chciałbym cię mieć za plecami, Czarownico.

Przemówiła spokojnie do swoich kobiet, potem usiadła z pochyloną głową, pogrążona w myślach. Nie odezwała się już do mnie.

– Czy możemy zaufać łucznikom? – szepnąłem do Dary.

Przytaknęła.

– Każ im czekać. Potem pójdą z nami. Niech odciągną w jakiś kąt Tiburowe ścierwo.

Przez pół godziny przybywali żołnierze z jeńcami, końmi, bydłem i innymi łupami. Nobilowie w małych grupkach, w towarzystwie swych stronników, nadjeżdżali galopem, zatrzymywali się, meldowali, po czym na mój rozkaz, potwierdzony skinieniem głowy Lur, przekraczali most. Większość nobilów okazywała podszyte obawą zdumienie z mego zmartwychwstania, żołnierze salutowali mi z radością.

Ostatnia zdziesiątkowana kompania wyłoniła się zza przełęczy. Rozglądałem się za Tri, ale nie było go z nimi. Doszedłem do wniosku, że pewnie zabrano go wcześniej do Karaku albo zginął.

– Jedziemy – powiedziałem do Czarownicy. – Każ swym kobietom udać się przodem.

Podjechałem do Evalie, uniosłem ją i posadziłem przed sobą na koniu. Nie stawiała oporu, czułem tylko, że aż się skurczyła pod wpływem mojego dotyku. Wiedziałem, co myśli. Że oto zamieniła Tibura na innego pana, że jest dla mnie tylko wojenną zdobyczą. Gdybym nie czuł się oszołomiony, pewnie by mnie to zabolalo. Lecz mój umysł był tak osłabiony, że o nic nie dbałem. Przejechaliśmy most spowity w kłęby pary. W połowie drogi do lasu Czarownica odrzuciła nagle głowę w tył i wydała z siebie przeciągły, jękliwy zew. Spomiędzy paproci wypadły białe wilki. Wydałem łucznikom komendę, by byli gotowi do strzału. Lur potrząsnęła głową.

– Nie musisz ich krzywdzić. Biegną do Sirku. Zapracowały na nagrodę.

Wilki runęły watahą przez most i zniknęły. Słyszałem potem, jak wyły wśród trupów.

– Ja też dotrzymuję obietnic – rzekła Czarownica.

Wjechaliśmy w las, kierując się na Karak.

## Rozdział XXII WROTA KALK'RU

Zbliżaliśmy się już do Karaku, gdy dobiegł nas łoskot bębnow małych ludzi.

Ogarniała mnie coraz większa słabość oraz senność, którą próbowałem zwalczyć. Prawdopodobnie był to skutek ciosu zadanego przez Tibura, ale otrzymałem też inne, no i od świtu nie miałem nic w ustach. Nie mogłem myśleć, a tym bardziej zaplanować jakichś działań na czas, kiedy już się znajdę w Karaku.

Bębny wyrwały mnie z senności. Otworzyłem szeroko oczy. Z początku te odgłosy zza białej rzeki przypominały walenie piorunów. Potem przeszły w powolniejszy, starannie odmierzony, nieubłagane groźny rytm. Jak śmierć przytupująca nad wykopanymi grobami, nim ruszy w pochód... Na pierwszy huk Evalie wyprostowała się i zaczęła nasłuchiwać niemal każdym nerwem. Zauważyłem, że Czarownica też się zatrzymała i słucha z taką samą uwagą. Było coś dziwnie niepokojącego w tym monotonnym bębnieniu. Coś, co wykracza daleko poza ludzkie doświadczenie, co je wyprzedza. Zupełnie jakby tysiąc odsłoniętych serc biło unisono jednym, niezmiennym rytmem, niewzruszenie, bez chwili przerwy, póki same nie ustaną... A potem jest ich jeszcze więcej, rozprzestrzeniają się coraz bardziej... wreszcie biją na całej ziemi za białą rzeką Nanbu...

– Myślę – zwróciłem się do Lur – że właśnie spełniłem ostatnią obietnicę. Uśmierciłem Yodina, oddałem ci Sirk, zabiłem Tibura – no i teraz masz swoją wojnę z Rrllya.

Nie pomyślałem, jak te słowa zabrzmiały w uszach Evalie! Odwróciła się i spojrzała mi z pogardą prosto w oczy. Potem odezwała się zimno do Lur, posługując się łamanym ujgurskim:

– To rzeczywiście jest wojna. Ośmieliłaś się podnieść na mnie rękę, więc masz, czego chciałaś. Będą walczyć, póki do nich nie wrócę. I lepiej uważaj, jak mnie traktujesz.

Cierpliwość Lur wyczerpała się. Długo tłumiony płomień gniewu strzelił wreszcie w górę.

– Świetnie! Najpierw wy tłuczemy raz na zawsze te twoje żółte psy. A ciebie obedrze się ze skóry albo ugotuje żywcem, albo jeszcze lepiej: oddamy cię Kalk'ru.

Tak czy inaczej niewiele z ciebie zostanie, więc twoje psy nie będą miały o co walczyć. I to ja zdecyduję, jak zostaniesz potraktowana.

– Nie, Lur – wtrąciłem. – Ja zdecyduję.

Błękitne oczy rozbłysły. Brązowe patrzyły tak samo pogardliwie jak dotąd.

– Daj mi konia – rzekła Evalie. – Nie mogę znieść twego dotyku... Dwayanu!

– A jednak pojedziesz ze mną, Evalie.

Wjechaliśmy do Karaku. Bębny były to głośno, to cicho, ale ciągle tym samym, niezmiennym rytmem. Ich głos na zmianę narastał i opadał. Ciągle ta śmierć przytupująca nad otwartymi grobami – raz z dziką zawziętością, to znów lekko i delikatnie.

Na ulicach roilo się od ludzi. Gapili się na Evalie i szeptali do siebie. Żadnych powitalnych okrzyków, żadnego aplauzu. Wydawali się niezadowoleni, wystraszeni. Uświadomiłem sobie, że w takim napięciu wsłuchują się w głos bębnów, że ledwie zauważają nasz przejazd. A głos ten znów się przybliżył. Mogłem słyszeć, jak przekazują sobie wiadomości od jednego do drugiego posterunku nad brzegiem rzeki. Dźwięk „mówiących” bębnów odcinał się wyraźnie od pozostałych. Przebijało się w nim ciągle i ciągle to samo słowo: „E-va-lie! E-va-lie!” Przejechaliśmy przez plac i stanęliśmy u bramy czarnej twierdzy.

– Rozejm, Lur? – zaproponowałem.

– Spojrzała pogardliwie na Evalie.

– Rozejm?! Między tobą a mną? Po co?

– Mam dość rozlewu krwi – odpowiedziałem spokojnie. – Wśród jeńców jest kilku Rrlllya. Zaprowadźmy ich gdzieś, gdzie będą mogli pomówić z Evalie i z nami.

Potem paru zwolnimy. Niech przekażą wiadomość, że nikt nie ma zamiaru jej krzywdzić. Poprosimy, by jutro mali ludzie przysłali pełnomocników do zawarcia pokoju. A kiedy rzeczywiście zawrzemy pokój, zabiorą sobie Evalie.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Więc Dwayanu boi się krasnali?

– Mam dość rozlewu krwi – powtórzyłem.

– Ach, ach – westchnęła. – Czyż nie słyszałam kiedyś, jak Dwayanu się przechwalał, że zawsze dotrzymuje obietnic? I czy nie namówił mnie, bym zapłaciła z góry? No tak, ale to już nie ten sam Dwayanu!

Ubodły mnie te słowa, ale udało mi się nie wybuchnąć.

– Jeśli się nie zgadzasz, to sam wydam rozkazy. Ale wtedy znajdziemy się w stanie obłączenia i będziemy mieli na karku Rrlllya. Możemy się stać łatwym łupem.

Zastanawiała się chwilę.

– Więc nie chcesz wojny z małymi żółtymi psami? I wymyśliłeś sobie, że jeśli oddamy im dziewczynę, to wojny nie będzie. No, więc na co czekamy? Czemu nie odesłać jej razem z jeńcami? Weźmy ich na Nansur i tam popertraktujmy. Bębny przekażą wiadomość w jednej chwili... jeśli masz rację. I przynajmniej zaśniemy dziś bez tego ogłuszającego huku.

Może i słusznie mówiła, ale wyczułem w jej słowach złośliwość. Prawda była taka, że nie chciałem tak zaraz odsyłać Evalie. Gdybym to uczynił, nigdy już – wiedziałem o tym – nie miałbym szansy usprawiedliwienia się przed nią, przełamania jej nieufności, sprawienia, by znów ujrzała we mnie Leifa, którego kochała. A tak, po jakimś czasie... może... I Czarownica dobrze o tym wiedziała.

– Co nagle, to po diable, Lur – powiedziałem aksamitnym głosem. – Jeszcze sobie pomyślą, że się ich boimy. Nawet ty tak pomyślałaś, ledwie zaproponowałem rozejm. Do zawarcia

traktatu potrzebujemy czegoś więcej niż wartkiej mowy bębnow. Nie, zatrzymamy dziewczynę jako zakładniczkę, póki nie uzyskamy dogodnych warunków.

Pochyliła z namysłem głowę. Potem spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się.

– Masz rację, Dwayanu. Poślę po jeńców, gdy tylko zmyję z siebie brud Sirku. Każę ich przyprowadzić do twojej komnaty. I jeszcze coś zrobię. Zawiadomię Rrllya na Nansurze, że ich uwięzieni towarzysze przybędą wkrótce z posłaniem. Przynajmniej zyskamy na czasie. A potrzebujemy go, Dwayanu, potrzebujemy oboje.

Przyjrzałem się jej uważnie. Ze śmiechem spięła konia i pierwsza przejechała bramę. Znaleźliśmy się na wewnętrznym dziedzińcu zatłoczonym żołnierzami i jeńcami. Tutaj bębnienie było jeszcze donośniejsze, zupełnie jakby dobiegało ze środka, jakby gdzieś się kryli niewidzialni dobosze. Żołnierze byli niespokojni, jeńcy podekscytowani i dziwnie oporni.

Po drodze do cytadeli wzywałem do siebie oficerów, którzy nie brali udziału w wyprawie na Sirk, i wydawałem im rozkazy. Poleciałem powiększyć oddziały na murach wychodzących na Nansur. A także zatrąbić na alarm, co spowoduje ściągnięcie żołnierzy i cywilów z dalej położonych posterunków i gospodarstw. Poza tym zarządziłem wzmocnienie straży na obrzeżach rzeki. Ludność miała być zawiadomiona, że ci, którzy chcą się schronić wewnątrz twierdzy, mogą to uczynić, byle przed zmierzchem. Byłoby dość trudno zadbać o ich bezpieczeństwo na szerszej przestrzeni. Wszystkie te kroki podjąłem na wypadek, gdyby posłanie nie dało rezultatów. Nie chciałem dopuścić do masakry w Karaku, który potrafi jednak wytrzymać oblężenie, dopóki nie przekonam małych ludzi o swej dobrej woli albo nie namówię Evalie, by doprowadziła do pokoju.

Zarządziwszy to wszystko, zabrałem Evalie do mych komnat, nie tych przynależnych arcykapłanowi, gdzie nad trzema tronami zwieszała się czarna ośmiornica, tylko do amfilady wygodnych pokoi w innej części twierdzy. Za nami szła niewielka drużyna, która nie odstępowała mnie w czasie zdobywania Sirku i później. Już na miejscu powierzyłem Evalie Darze. Wykąpałem się, ubrałem, opatrzono mi rany. Okna tych komnat wychodziły na rzekę, skąd cały czas dobiegało wściekle bębnienie. Kazałem przynieść jedzenie i wino. Dara przyprowadziła Evalie. Mimo że zajęto się nią troskliwie, jeść ze mną nie chciała.

– Obawiam się, Dwayanu – rzekła – że moi ludzie niezbyt uwierzą w jakąkolwiek wiadomość od ciebie.

– Później porozmawiamy o tamtej wiadomości, Evalie. Nie wysłałem jej. Tsantawu, kiedy umierał w mych ramionach, uwierzył mi.

– Słyszałam, jak mówiłeś do Lur, że obiecałeś jej Sirk. Nie kłamałeś – złupiono go doszczętnie, więc jak mogę ci wierzyć?

– Udowodnię ci, że mówię prawdę. A teraz, skoro nie chcesz jeść ze mną – odejdz z Darą.

Do Dary nie miała pretensji. Dara nie była kłamliwą zdrajczynią, tylko żołnierzem, który walczył w Sirku czy gdzie indziej, wypełniał swoją powinność. Wyszły razem.

Jadłem i piłem zachłannie. Wino wlało we mnie nowe życie, zmyło resztki słabości. W tym momencie stanowczo odsunąłem od siebie myśl o Jimie, koncentrując się na tym, co miałem zrobić. Wtem usłyszałem pod drzwiami głosy warty. Weszła Czarownica.

Rude warkocze oplatały jej głowę. Połyskiwały w nich szafiry. Nie było po niej widać nawet najmniejszych śladów walki ani odrobiny zmęczenia. Oczy jej błyszczały, czerwone wargi uśmiechały się. Czuły, cichy głos i delikatny dotyk ręki na moim ramieniu obudziły wspomnienia, które – jak mi się zdawało – odeszły wraz z Dwayanu.

Na wezwanie Lur wszedł oddział żołnierzy, a z nim dwudziestka małych ludzi. Nie byli skrepowani. Na mój widok w żółtych oczach błysnęła nienawiść, ale i ciekawość. Przemówiłem do nich łagodnie. Posłałem po Evalie. Kiedy weszła, karzełki opadły ją hurmem jak dzieci, ćwierkając coś po swojemu, głaszcząc jej włosy, dotykając rąk i stóp.

Śmiała się, nazywając każdego po imieniu, wreszcie coś szybko powiedziała. Niewiele z tego pojąłem, a z miny Czarownicy wywnioskowałem, że ona nie zrozumiała nic. Powtórzyłem Evalie dokładnie to, co mówiłem Lur. Musiała się w tym już przedtem orientować, gdyż знаła języki Ujgurów i Ajjirów lepiej, niż się do tego przyznawała. Odpowiedź karzełków przetłumaczyłem Lur.

Pakt został szybko zawarty. Połowa jeńców miała się natychmiast udać do posterunków na drugim brzegu Nanbu. Bębny miały przekazać tekst posłania starszyźnie małych ludzi. Jeżeli je zaakceptują – wojenne bębny ucichną. Zwróciłem się do Evalie:

– Przekaż im, że nie prosimy o nic, czego nie zawierają warunki starego rozejmu. I że już na tym brzegu nie będzie ich czekać śmierć.

– Co to ma znaczyć, Dwayanu? – wtrąciła się Czarownica.

– Teraz, kiedy Sirk padł, nie ma potrzeby takiej kary. Niech sobie zbierają zioła i wydobywają metale do woli. To wszystko.

– Coś więcej chodzi ci po głowie... – Jej oczy się zwęziły.

– Evalie, powiedz im to sama, choć chyba mnie zrozumieli.

Mali ludzie zaćwierkali między sobą. Potem dziesiątka wybranych na posłów wystąpiła naprzód. Kiedy wychodzili, zatrzymałem ich.

– Jeśli Tri udało się uciec, niech przyjedzie z poselstwem. Albo jeszcze lepiej: niech je wyprzedzi. Prześlijcie przez bębny wiadomość, że ma się tu zjawić jak najprędzej. Otrzyma list żelazny i zostanie z Evalie, póki się wszystko nie ułoży.

Po krótkiej wymianie zdań wyrazili zgodę. Czarownica się nie odzywała. Pierwszy raz zauważyłem, że wpatrzone we mnie oczy Evalie złagodniały.

Kiedy mali ludzie odeszli, Lur wyjrzała przez drzwi i skinęła ręką. Weszła Ouarda.

– Ouarda!

Lubiłem ją. Ucieszyłem się, że żyje. Podszedłem do niej z wyciągniętymi rękami. Podała mi swoje.

– To zrobiły dwie spośród żołnierzy, panie – powiedziała. – Miały w Sirku siostry. Odcięły drabinę, nim zdołałyśmy je powstrzymać. Rozsieczono je.

Czy, na Boga, odcięty ją, zanim ktoś za mną poszedł?

– Udowodnię ci, że mówię prawdę. A teraz, skoro nie chcesz jeść ze mną – odejdz z Darą.

Do Dary nie miała pretensji. Dara nie była kłamliwą zdrajczynią, tylko żołnierzem, który walcząc w Sirku czy gdzie indziej, wypełniał swoją powinność. Wyszły razem.

Jadłem i piłem zachłannie. Wino wlało we mnie nowe życie, zmyło resztki słabości. W tym momencie stanowczo odsunąłem od siebie myśl o Jimie, koncentrując się na tym, co miałem zrobić. Wtem usłyszałem pod drzwiami głosy warty. Weszła Czarownica.

Rude warkocze oplatały jej głowę. Połyskiwały w nich szafiry. Nie było po niej widać nawet najmniejszych śladów walki ani odrobiny zmęczenia. Oczy jej błyszczały, czerwone wargi uśmiechały się. Czuły, cichy głos i delikatny dotyk ręki na mym ramieniu obudziły wspomnienia, które – jak mi się zdawało – odeszły wraz z Dwayanu.

Na wezwanie Lur wszedł oddział żołnierzy, a z nim dwudziestka małych ludzi. Nie byli skrepowani. Na mój widok w żółtych oczach błysnęła nienawiść, ale i ciekawość. Przemówiłem do nich łagodnie. Posłałem po Evalie. Kiedy weszła, karzełki opadły ją hurmem jak dzieci, ćwierkając coś po swojemu, głaszcząc jej włosy, dotykając rąk i stóp.

Śmiała się, nazywając każdego po imieniu, wreszcie coś szybko powiedziała. Niewiele z tego pojąłem, a z miny Czarownicy wywnioskowałem, że ona nie zrozumiała nic. Powtórzyłem Evalie dokładnie to, co mówiłem Lur. Musiała się w tym już przedtem orientować, gdyż znała języki Ujgurów i Ajjirów lepiej, niż się do tego przyznawała. Odpowiedź karzełków przetłumaczyłem Lur.

Pakt został szybko zawarty. Połowa jeńców miała się natychmiast udać do posterunków na drugim brzegu Nanbu. Bębny miały przekazać tekst posłania starszyźnie małych ludzi. Jeżeli je zaakceptują – wojenne bębny ucichną. Zwróciłem się do Evalie:

– Przekaż im, że nie prosimy o nic, czego nie zawierają warunki starego rozejmu. I że już na tym brzegu nie będzie ich czekać śmierć.

– Co to ma znaczyć, Dwayanu? – wtrąciła się Czarownica.

– Teraz, kiedy Sirk padł, nie ma potrzeby takiej kary.

Niech sobie zbierają zioła i wydobywają metale do woli.

To wszystko.

– Coś więcej chodzi ci po głowie... – Jej oczy się zwężyły.

– Evalie, powiedz im to sama, choć chyba mnie zrozumieli.

Mali ludzie zaczęli między sobą. Potem dziesiątka wybranych na posłów wystąpiła naprzód. Kiedy wychodzili, zatrzymałem ich.

– Jeśli Tri udało się uciec, niech przyjedzie z poselstwem. Albo jeszcze lepiej: niech je wyprzedzi. Prześlijcie przez bębny wiadomość, że ma się tu zjawić jak najprędzej. Otrzyma list żelazny i zostanie z Evalie, póki się wszystko nie ułoży.

Po krótkiej wymianie zdań wyrazili zgodę. Czarownica się nie odzywała. Pierwszy raz zauważyłem, że wpatrzona we mnie oczy Evalie złagodniały.

Kiedy mali ludzie odeszli, Lur wyjrzała przez drzwi i skinęła ręką. Weszła Ouarda. – Ouarda!

Lubiłem ją. Ucieszyłem się, że żyje. Podszedłem do niej z wyciągniętymi rękami. Podała mi swoje.

– To zrobiły dwie spośród żołnierzy, panie – powiedziała. – Miały w Sirku siostry. Odcięły drabinę, nim zdołałyśmy je powstrzymać. Rozsieczono je. Czy, na Boga, odcięty ją, zanim ktoś za mną poszedł?

Nim zdążyłem się odezwać, do drzwi zapukała jedna z moich dowódczyń.

– Już dawno po zmierzchu, panie, i bramy zamknięto. Wszyscy, którzy chcieli się schronić, są już w środku.

– Dużo ich jest?

– Nie, panie, nie więcej niż setka. Inni odmówili.

– Powiedzieli dlaczego?

– Czy muszę odpowiedzieć, panie?

– To rozkaz.

– Powiedzieli, że czują się bezpieczniej tam, gdzie są. Że Rrllya nic do nich nie ma, bo i tak są tylko mięsem dla Kalk’ru.

– Dostyc, żołnierzu! – przerwał jej ochryply głos Czarownicy. – Odmaszerować. I zabierz z sobą Rrllya.

– Zasalutowała, wykonała zgrabny zwrot i wyszła z karłami. Zaśmiałem się.

– Żołnierze odcięli drabinę, bo współczuli tym, które uciekły przed Kalk’ru. Ludzie mniej się boją nieprzyjaciół Kalk’ru niż własnych rodaków, którzy są jego rzeźnikami. Dobrze, że zawieramy z Rrllya pokój!

Obserwowałem Lur, która to bladła, to się czerwieniła. Widziałem, że zaciska pięści, aż jej knykcie zbieleły. Uśmiechnęła się, naląła sobie wina i podniosła kielich pewną dłonią.

– Za twoją mądrość, Dwayanu! Twarda baba z tej Czarownicy. Prawdziwie rycerski w niej

duch! Może brak jej trochę kobiecej miękkości, fakt. Ale trudno się dziwić Dwayanu, że ją kochał... na swój sposób, tak mocno, jak w ogóle potrafił kochać kobietę.

W komnacie zapadła cisza. W dziwaczny sposób potęgowało ją monotonne bicie w bębny. Nie wiem, jak długo siedzieliśmy w milczeniu. Nagle głos bębnów osłabł... Po chwili umilkł zupełnie. Cisza była taka, że sprawiała wrażenie czegoś nierealnego. Poczulem, że moje nerwy, napięte jak postronki, rozluźniają się. To nagłe ustanie dźwięków wywołało ból w uszach i spowolniło rytm serca.

– Mają przesłanie. Przyjęli je – odezwała się Evalie.

Czarownica wstała.

– Zatrzymasz dziewczynę na noc u siebie, Dwayanu?

– Będzie spała w jednym z tych pokoi. Pod strażą.

– Nikt się do niej nie dostanie inaczej niż przez moją komnatę. – Spojrzałem na nią znacząco. – A ja mam lekki sen. Nie musisz się obawiać, że ucieknie.

– Cieszę się, że bębny nie zakłócą twego spokoju, Dwayanu.

Zasalutowała mi drwiąco i wyszła razem z Ouardą.

Nagle znów ogarnęła mnie słabość. Odwróciłem się do Evalie. Obserwowała mnie z powątpiewaniem. Z pewnością nie widziałem w jej oczach ani pogardy, ani nienawiści. Cóż, wszystkie moje manewry prowadziły do tego, by znalazła się tam, gdzie jest. Sama ze mną. Patrząc na nią czułem, że wobec tego wszystkiego, co przeszła z mojego powodu, słowa były czymś całkiem bezużytecznym. Zresztą nie umiałem znaleźć odpowiednich. Nie... jeszcze będzie dość czasu... może rano, kiedy się prześpię... albo kiedy zrobię swoje... Wtedy musi mi uwierzyć.

– Śpij, Evalie. Śpij, nie bój się. Uwierz, że wszystko zło zostanie naprawione. Idź z Darą. Będiesz dobrze strzeżona. Tylko przez ten pokój można się do ciebie dostać – a tu będę ja. Śpij.

Przywołałem Darę, wydałem jej polecenia i wyszły razem. Przechodząc przez kotarę u wejścia, Evalie zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Wkrótce potem wróciła Dara. – Już śpi, Dwayanu – powiedziała.

– Ty też już powinnaś spać, przyjaciółko. Jak wszyscy, którzy trwali dziś przy mnie. Myślę, że tej nocy nie ma powodu do obaw. Wybierz parę zaufanych osób i niech pełnią wartę u moich drzwi. Gdzie ją położyłaś?

– W następnej komnacie, panie.

– Lepiej śpij tu dzisiaj, i twoje dziewczyny też. Jest z pół tuzina pustych komnat. Niech wam przyniosą posiłek i wino – całe mnóstwo...

Zaśmiała się.

– Spodziewasz się oblężenia, Dwayanu?



- Nigdy nic nie wiadomo.
- Nie za bardzo ufasz Lur?
- W ogóle jej nie ufam.

Kiwnęła głową i odwróciła się, by wyjść. Pod wpływem nagłego impulsu powiedziałem:

– Daro... Chcę ci coś powiedzieć. Może będziesz lepiej spała – ty i twoje towarzyski – i może ułatwi ci to wybór strażniczek na dzisiejszą noc... A więc: koniec z ofiarami dla Kalk’ru, przynajmniej póki ja żyję.

Zdumiała się na te słowa. Twarz jej pojaśniała, zmiękła. Wyciągnęła do mnie rękę.

- Dwayanu... moją siostrę oddano Kalk’ru... Mówisz prawdę?
- Na moją żywą krew! Na wszystkich bogów! Prawdę mówię!
- Śpij dobrze, panie! – rzekła zdławionym głosem.
- Odeszła za kotarę, ale zdążyłem dostrzec w jej oczach łzy.

Cóż... Babskie prawo płakać, nawet gdy się jest żołnierzem. Sam też dziś płakałem...

Nalałem sobie wina. Pijąc – rozmyślałem. Moje myśli krążyły przede wszystkim wokół zagadki Kalk’ru. Miałem swoje powody.

Czym był Kalk’ru?

Zdjąłem z szyi łańcuch, otworzyłem medalion i przyjrzałem się uważnie pierścieniowi. Potem włożyłem go z powrotem do środka i odłożyłem medalion na stół. Czułem, że nie powinienem mieć go na piersi w czasie tych rozmyślań.

Dwayanu do pewnego stopnia wątpił, czy to obrzydlistwo było jakimś Duchem Próżni. Ja, obecnie Leif Langdon i bierna postać Dwayanu, święcie wierzyłem, że to nieprawda. A jednak nie mogłem się zgodzić z teorią Barra, że chodzi tu o masową hipnozę... Oszustwa nie brałem pod uwagę.

Kalk’ru, na pewno – jak powiedziała Czarownica – istnieje. W każdym razie istnieje ten kształt, przybierający materialną postać za pośrednictwem obrzędu, pierścienia, złotej płyty.

Mógłbym potraktować eksperyment w pustynnej świątyni jako halucynację, gdyby wszystko nie powtórzyło się tutaj, w Krainie Cienia. Przecież nie można wątpić w realność ofiary, którą złożyłem. Nie można wątpić, że zaistniał fakt unicestwienia, wchłonięcia dwunastu dziewcząt. Nie ma wątpliwości co do absolutnej wiary Yodina w potęgę macki, która miała mnie usunąć z tego świata, ani też co do tego, że sam został usunięty. Pomyślałem, że jeśli – jak chciał Barr – poświęcone wraz z Yodinem stały gdzieś za kulisami, wyśmiewając się ze mnie, to teatr, do którego te kulisy należały, znajdował się w jakimś innym świecie. No i jeszcze ten potworny lęk małych ludzi, a także wielu Ayjirów... i bunt w starożytnej Ayjirii, zrodzony z tego samego strachu, który doprowadził do zniszczenia kraju w wojnie domowej...

A jednak bez względu na naukę, która ciągle wzdragała się przed uznaniem tego świństwa za

rzeczywistość – bo dla nich to przecież ciągle tylko atawizm, zabobon, czy jak tam Barr jeszcze chce – ja wiedziałem, że ono istnieje naprawdę! Nie pochodzi może z tej ziemi... nie, na pewno nie. Chociaż nie jest czymś nadprzyrodzonym. A właściwie – o tyle nadprzyrodzonym, o ile można tak określić rzecz z innego wymiaru czy też innego świata, którego nie ogarniają nasze zmysły.

Uświadomiłem sobie, że nauka i religia to siostry. Prawdopodobnie dlatego tak się nienawidzą, że zarówno naukowcy, jak duchowni są jednakowo nietolerancyjnymi dogmatykami. Każdej płomiennej batalii religii, dotyczącej interpretacji wiary czy przedmiotu kultu, odpowiada podobna batalia nauki, dotycząca na przykład kawałka kości czy skały. Jednakże tak samo jak istnieją duchowni nie zasklepiający się wyłącznie w sprawach religii, tak samo niektórzy naukowcy nie są ukierunkowani tylko na sprawy nauki. Einstein ośmielił się stawić czoło wszystkim koncepcjom przestrzeni i czasu, ogłaszając swą teorię czterowymiarowej przestrzeni, w której czas jest wymiarem sam w sobie. Następnie udowodnił, że przestrzeń jest nie cztero-, ale pięciowymiarowa, choć nasze zmysły są w stanie ogarnąć tylko cztery z nich. Piąty postrzegany jest mylnie. Istnieje możliwość, że tuzin innych światów może być splecionych, sprzężonych z tym jednym w obrębie tej samej przestrzeni. Energia każdego z nich, którą nazywamy materią, nastrojona jest na inną wibrację. Każdy z tych światów jest absolutnie nieświadom drugiego, co wyraźnie zbija stary aksjomat, w myśl którego dwa ciała nie mogą zajmować tego samego miejsca w tym samym czasie.

I tak sobie myślałem... a może dawno, dawno temu jakiś uczony żyjący w tamtych czasach odkrył to wszystko? Odkrył, że istnieje piąty wymiar, oprócz długości, szerokości, głębokości i czasu. Albo odkrył jeden z tych przeplatających się światów, których materia przedostaje się ze szczeliny w materii naszego świata. A odkrywając wymiar czy świat, wpadł na pomysł, w jaki sposób jego mieszkańcy mogliby uświadomić sobie istnienie ludzi z naszego świata i im się ukazywać. Poprzez dźwięk, gest, za pomocą pierścienia czy odpowiedniej płyty – mogliby utworzyć wrota, przez które zdołaliby przechodzić albo przynajmniej się objawiać. A wtedy – jakąż bronią dysponowałby taki odkrywca! Jakąż broń posiadliby kapłani służący tej rzeczy, bo przecież niechybnie zaraz by się pojawili! Właśnie taką broń, mimo upływu wieków, posiadali tutaj, w Karaku.

Skoro tak – to czy tylko jeden mieszkaniec innego wymiaru czał się za tymi wrotami, by łyknąć trochę życia? Może było ich więcej? W pamięci przekazanej mi przez Dwayanu miałem jeszcze inne ajjirskie świątynie, nie tylko tę w oazie. Czy ten sam byt pojawiał się w każdej z nich? Czy kształt, który wychodził z podniszczonego kamienia w oazie, był tym samym, którego żywiono w świątyni mirażu? A może wielka rzesza mieszkańców innych światów tylko czyha na wezwanie? I tam, gdzie stale przebywali, wcale nie musieli mieć postaci Krakena. Mógł to być kształt utworzony w sposób zgodny z prawami natury, narzucony im przy wejściu

do tego świata.

Rozmyślałem o tym jeszcze dobrą chwilę. Wydało mi się, że to najlepsze objaśnienie istoty Kalk'ru. A jeśli tak, to najpewniejszym środkiem pozbycia się go jest zniszczenie środków, które otwierają mu drogę. Tak właśnie – uświadomiłem sobie – rozumowali starożytni Ayjirowie. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego tylko ci, w których żyłach płynęła stara krew, mogli przywoływać...

Usłyszałem cichy głos pod drzwiami. Podeszedłem blisko, nasłuchując. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Lur mówiącą coś do straży.

– Czego tu szukasz, Lur?

Chcę z tobą pomówić. Zajmę ci tylko chwilę, Dwayanu.

Przyjrzałem się jej. Była bardzo spokojna, nie dostrzegłem w jej oczach żadnej prowokacji, niechęci ani najmniejszego wyrachowania – samą tylko prośbę. Rude warkocze spadały na białe ramiona, nie nosiła broni ani ozdób. Wyglądała młodziej niż kiedykolwiek i trochę żałośnie. Nie miałem ochoty ani z niej sztydzić, ani się spierać. Zamiast tego czułem głęboką litość.

– Wejdz, Lur. Mów, co masz na wątrobie.

Zamknąłem za nią drzwi. Podeszła do okna, wyjrzała w migotliwą, zieloną noc. Stałem obok.

– Mów cicho. W sąsiednim pokoju śpi dziewczyna. Niech odpoczywa.

– Żałuję, żeś się tu w ogóle zjawił, Żółtowłosa – powiedziała głucho.

Pomyślałem o Jimie. Potem odpowiedziałem:

– Ja też, Lur. Ale już się stało.

Pochyliła się i przyłożyła mi rękę do serca.

– Czemu tak bardzo mnie nienawidzisz?

– Nie nienawidzę cię, Lur. To uczucie we mnie wygasło, chociaż... jest pewien wyjątek.

– Jaki?

Spojrzałem niechętnie na stół. Płomień jedynej świecy padał na medalion z pierścieniem. Jej oczy powędrowały w tym samym kierunku.

– Co masz zamiar zrobić? – zapytała. – Rzucić Karak na pastwę krasnali? Odbudować Nansur? Rządzić Karakiem i Rrilya z tą czarnulą u boku? A jeśli tak... co się stanie z Lur? Odpowiedz. Mam prawo wiedzieć. Jest pewna więź między nami. Kochałam cię, kiedy byłeś Dwayanu... wiesz, jak bardzo...

– I zabiłabyś mnie, gdybym nadal nim był – wtrąciłem posepnie.

– Bo widziałam, jak Dwayanu umiera... w chwili gdy spojrzał w oczy obcego! Ty zabiłeś Dwayanu, ty, którym on zawładnął. Kochałam Dwayanu. Czemu nie miałabym go pomścić?

Jeśli uwierzyłaś, że już nim nie jestem, to wiesz, że jestem mężczyzną, którego przyjaciela zwabiłaś w pułapkę i zamordowałaś. Poza tym porwałaś i chciałaś zniszczyć moją ukochaną.

Skoro tak, to o co masz teraz pretensje?

Nie odpowiadała przez chwilę.

– Mam coś na swoje usprawiedliwienie – rzekła w końcu. – Mówiłam ci, że kochałam Dwayanu. A o tobie, Żółtowłosa, wiedziałam coś niecoś od samego początku, ale zobaczyłam, jak budzi się w tobie Dwayanu. I byłam pewna, że to naprawdę on! Wiedziałam także, że póki żyją ten twój przyjaciel i ta czarnowłosa dziewczyna, Dwayanu grozi niebezpieczeństwo. Dlatego chciałam ściągnąć ich do Sirku podstępem. Postawiłam na szansę zabicia ich, nim się z nimi zobaczysz. Wtedy, jak myślałam, wszystko musiało się ułożyć. Nikomu innemu nie udało się ożywić w tobie tego drugiego, którego opanował Dwayanu. Przegrałam. Wiedziałam, że przegrałam, kiedy Luce spodobało się ściągnąć całą waszą trójkę w jedno miejsce. Wtedy oszalałam z gniewu i z żalu... i zrobiłam to... co zrobiłam...

– Lur, powiedz mi prawdę. Tamtego dnia wróciłaś nad Jezioro Duchów po pościgu za dwiema kobietami... Czy to byli twoi szpiegowie? Czy to one zaniósłły tę kłamliwą wiadomość do Sirku? I czy nie odczekałaś, aż mój przyjaciel i Evalie znajdą się w pułapce, żeby dopiero wtedy dać sygnał do wymarszu? A może przyszło ci do głowy, żeby – kiedy otworzę ci drogę do Sirku – pozbyć się nie tylko tej dwójki, ale i Dwayanu? Bo przypomnij sobie – mogłaś kochać Dwayanu – ale jak on sam ci mówił, władzę kochałaś bardziej. A Dwayanu zagrażał twojej władzy. Powiedz prawdę.

Po raz drugi ujrzałam łzy w oczach Czarownicy. Odpowiedziała łamiącym się głosem:

– Tak, wysłałam szpiegów. Czekałam, aż tamci wpadną w zasadzkę. Ale nigdy nie miałam zamiaru skrzywdzić Dwayanu!

Nie uwierzyłem jej. Ale nadal nie czułem ani gniewu, ani nienawiści. Tylko coraz większą litość.

– Lur, teraz ja wyznam ci prawdę. Nie mam zamiaru panować z Evalie nad Karakiem i Rrllyą. Nie chcę więcej władzy. To pragnienie odeszło razem z Dwayanu.

Kiedy zawrę pokój z małymi ludźmi, ty będziesz rządzić Karakiem – jeśli tego pragniesz. Czarnowłosa dziewczyna wróci razem z nimi. Nie życzę sobie zostawać tutaj. Ja też nie.

– Nie możesz z nią jechać – przerwała mi. – Żółte psy nigdy ci nie zaufają. Ich strzały zawsze będą w ciebie wycelowane.

Przytaknąłem. Dawno doszedłem do tego wniosku.

– Wszystko to musi się ułożyć. Ale nie będzie już żadnych ofiar. Wrota Kalk’ru zostaną zamknięte na zawsze. I ja sam je zamknę.

Oczy jej się rozszerzyły.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli to, że na zawsze odetnę Kalk’ru drogę do Karaku... Chyba że okaże się

silniejszy.

Załamala ręce.

– I co mi wtedy przyjdzie z władzy nad Karakiem?

– Jak zatrzymam tu ludzi?

– Mimo wszystko zniszczę te wrota.

– Bogowie! – szepnęła. – Gdybym miała pierścień Yodina!

Uśmiechnąłem się na to.

– Wiesz przecież, Czarownico, tak dobrze jak ja, że Kalk’ru nie przychodzi na wezwanie kobiety.

W jej oczach zamigotały diabelskie ogniki. Dostrzegłem w nich zielone błyski.

– Jest takie prastare proroctwo, mój Żółtowłoso, którego Dwayanu nie znał. Głosi ono, że kiedy Kalk’ru zjawi się na wezwanie kobiety – zostanie tutaj na zawsze! Dlatego w starożytnej Ajjirii kobiety nie mogły być kapłankami przy składaniu ofiar. Roześmiałem się tylko.

– To miłe zwierzątko... Twoje wilki będą miały towarzystwo.

Ruszyła do drzwi, ale jeszcze przystanąła.

– A gdybym cię pokochała... tak jak Dwayanu? Gdybym potrafiła sprawić, że i ty byś mnie pokochał jak on? Albo i więcej! Odeślemy czarnowłosa do jej ludu i odwołamy nakaz zabijania Rrllya po tej stronie Nanbu.

Czy wtedy zostawisz sprawę tak jak są... i będziesz wraz ze mną rządził w Karaku?

Otworzyłem jej drzwi.

– Powiedziałem już. Nie zależy mi na władzy.

Odeszła.

Postawiłem sobie krzesło przy oknie. Usiadłem i myślałem. Nagle gdzieś z bliska dobiegło mnie wycie wilka. Zawył trzy razy... i znów trzy razy.

– Leifie...

Skoczyłem na równe nogi. Przy mnie stała Evalie. Patrzyła na mnie zza zasłony swych włosów. Jej błyszczące oczy nie wyrażały już powątpiewania, nienawiści, strachu. Były takie jak dawniej.

– Evalie!

Otoczyłem ją ramionami. Nasze usta odnalazły się...

– Słyszałam, Leifie.

– Uwierzyłaś!

Pocałowała mnie z całej siły.

– Ona ma rację, Leifie. Nie możesz wrócić ze mną do kraju małych ludzi. Nigdy, przenigdy nie zrozumieją.

– A ja nie mogę zamieszkać w Karaku.

– A może pojedziesz ze mną do mojego kraju? Po tym, jak już zrobię to, co muszę... jeśli oczywiście nie zostaną unicestwiony podczas tego zadania...

– Pojadę z tobą, Leifie.

Popłakała sobie przez chwilę. Po następnej zasnęła w moich ramionach. Zaniósłem ją do jej komnaty i przykryłem jedwabną kapą. Nie obudziła się.

Wróciłem do siebie. Przechodząc koło stołu, wziąłem medalion i zacząłem wkładać go na szyję... ale po namyśle odłożyłem. Nigdy już nie założę tego łańcucha. Rzuciłem się na posłanie z mieczem w dłoni. Zasnąłem.

## Rozdział XXIII W ŚWIĄTYNI KALK'RU

Budziłem się dwa razy. Pierwszy raz poderwało mnie wycie wilków. Zupełnie jakby spod mojego okna... Nasłuchiwałem chwilę na pół przytomny, po czym zapadłem znów w sen.

Drugi raz ocknąłem się po męczącym koszmarze. Dobiegł mnie jakiś dźwięk w komnacie, tego byłem pewny. Ręka odruchowo powędrowała do miecza, który leżał na podłodze tuż przy posłaniu. Miałem wrażenie, że ktoś jest w pokoju. W zielonej ciemności nie mogłem niczego zobaczyć. Zawołałem cicho:

– Evalie? To ty?

Żadnej odpowiedzi. Żadnego dźwięku. Usiadłem na posłaniu, wysunąłem już nawet nogę, by wstać. Wtedy przypomniałem sobie o Darze i jej żołnierzach. Powiedziałem sobie, że to tylko ten męczący sen, lecz przez jakiś czas leżałem rozbudzony, nasłuchując, z mieczem w pogotowiu. Potem znów ukołysała mnie do snu cisza.

Usłyszałem pukanie. Próbowałem wyrwać się z senności. Wiedziałem, że jest już dobrze po świtanu. Podeszedłem do drzwi na palcach, żeby nie obudzić Evalie.

Kiedy je otworzyłem, ujrzałem Tri w otoczeniu straży. Mały człowieczek przyszedł uzbrojony po zęby, z dzidą i zakrzywionym mieczem. Na plecach miał „mówiący” bębenek o zdumiewająco dużym rezonansie. Patrzył na mnie bardzo przyjaźnie. Poklepałem go po ręce i wskazałem zasłonę.

– Evalie jest tam. Idź ją obudzić.

Pobiegł. Odprawiłem straż i odwróciłem się, by pójść za nim. Stał przy kotarze i tym razem w jego oczach nie było życzliwości.

– Nie ma jej – powiedział.

Przez moment gapiłem się na niego z niedowierzaniem. Potem wpadłem do komnaty. Była pusta. Podeszedłem do posłania pełnego jedwabnych kap i poduszek. Dotykając ich, nie poczułem ciepła. Razem z depczącym mi po piętach Tri zajrzałem do następnego pomieszczenia. Leżała tam Dara i pół tuzina jej podkomendnych. Wszystkie pogrążone we śnie. Evalie wśród nich nie było. Dotknąłem ramienia Dary. Usiadła i ziewnęła.

– Daro, dziewczyna zniknęła.

– Zniknęła?!

Wytrzeszczyła na mnie oczy, tak samo kompletnie zaskoczona jak ja po słowach Tri. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do pustego pokoju, a potem razem ze mną do innych komnat. Spały tam kobiety-żołnierze, lecz nigdzie nie było Evalie.

Pognałem do siebie i rzuciłem się do drzwi. Byłem wściekły i rozgoryczony. Błyskawicznie,

krztusząc się ze złości, przesłuchałem strażniczki. Niczego nie zauważyły. Nikt nie wchodził ani nie wychodził. Tri przysłuchiwał się, nie odrywając ode mnie oczu.

Zamierzałem wrócić do pokoju Evalie. Przechodząc koło stołu, na którym leżał medalion, wyciągnąłem po niego rękę. Był dziwnie lekki. Otworzyłem go...

Pierścień Kalk'ru zniknął!

Patrzyłem ze złością na pusty medalion. Nagle jak ogień piekielnych mąk poraziła mnie myśl, co może oznaczać brak pierścienia i zniknięcie Evalie. Jęknąłem ze zgrozy i oparłem się ciężko o stół.

– Wal w bęben, Tri! Wołaj swój lud! Sprowadź ich tu jak najprędzej! Może jeszcze nie jest za późno!

Karzeł syknął. Jego oczy zmieniły się w dwa żółte płomienie. Nie mógł pojąć całej grozy sytuacji, ale zrozumiał dość. Skoczył do okna, przerzucił bęben do przodu i zaczął wysyłać raz po raz serie dźwięków rozkazujących, wściekłych, jadowitych. Odpowiedziano mu natychmiast. Najpierw z Nansuru, potem znad całej rzeki i z głębi kraju – wszędzie się rozszalały bębny małych ludzi.

Czy Lur je słyszy? Przecież musi. Tylko czy się tym przejmie? Czy ta groźba ją powstrzyma? W każdym razie domyśli się, że już nie śpię i że do małych ludzi dotarła wiadomość, jak zostali zdradzeni – oni i Evalie. Boże! Jeśli usłyszała... czy zdązę uratować dziewczynę? – Szybko, panie! – Dara wołała mnie zza zasłony. Wpadliśmy tam razem z Tri. Pokazała nam boczną ścianę. Między rzeźbionymi blokami kamienia, przylegającymi ściśle do siebie, tkwił strzęp jedwabiu. – Tu są drzwi, Dwayanu! Tędy ją zabrali. Śpieszyli się i przytrzasnęli szatę...

Rozglądałem się za czymś do zburzenia ściany. Lecz Dara nacisnęła ją tu i tam – i blok się obrócił, odsłaniając ciemny korytarz. Tri błyskawicznie rzucił się naprzód, ja z trudem przeciskałem się za nim, tuż za mną Dara i cała reszta. Przejście było wąskie, niezbyt długie, zakończone solidną, kamienną ścianą. Dara ponownie przycisnęła jakiś punkt – i ściana ustąpiła.

Wpadliśmy z przejścia prosto do komnaty arcykapłana. Kraken przewiercił mnie niemal na wylot złośliwymi, nieprzeniknionymi ślepiami. Zdawało mi się, że dostrzegam w nich wyzwanie.

Cała nieprzytomna złość i zaślepienie gniewem opadły ze mnie w jednej chwili. Zamiast tego pojawiła się zdolność do chłodnego rozumowania, przemyślane dążenie do celu, nie mające nic wspólnego z pośpiechem... Czy nie za późno na ratunek dla Evalie?... Na pewno nie za późno, by zniszczyć ciebie, mój przeciwniku!

– Daro, zdobądź dla nas konie. Zgromadź tylu zaufanych ludzi, ilu się da. Bierz tylko



najsilniejszych.

– Niech czekają w pogotowiu przy bramie, na drodze do świątyni. To koniec Kalk’ru. Powiedz im. – Teraz zwróciłem się do Tri: – Nie wiem, czy potrafię pomóc Evalie. Ale mam zamiar położyć kres Kalk’ru. Czekasz na swoich czy idziesz ze mną?

– Idę z tobą.

Wiedziałem, gdzie w czarnej twierdzy mieszka Czarownica. To niedaleko stąd. Nie sądziłem, bym ją tam znalazł, ale musiałem się upewnić. Mogła przecież zabrać Evalie nad Jezioro Duchów, rozmyślałem, mijając grupki milczących żołnierzy, którzy salutowali nam z niepokojem. Gdzieś głęboko tkwiło we mnie przekonanie, że tego nie zrobiła. Oraz równie głęboka pewność, że to Lur obudziła mnie w nocy. Lur, która wkradła się przez zasłonę, by zabrać pierścień Kalk’ru. I mogła mieć tylko jeden powód. Nie, nie ma jej nad Jeziorem Duchów.

Jednakże skoro weszła już do mojej komnaty, czemu mnie nie zabiła? A może chciała, ale jej przeszkodziłem, budząc się i wołając Evalie? Bała się posunąć za daleko – czy z rozmysłem mnie oszczędziła?

Dotarłem do jej komnat. Nie było tam ani Lur, ani innych kobiet, ani nawet żołnierzy na warcie.

Zacząłem biec. Tri z oszczepem w lewej ręce i zakrzywionym mieczem w prawej podążał z piskiem za mną. Wkrótce znaleźliśmy się u bramy przy drodze do świątyni.

Tu oczekiwały mnie trzy, a może cztery setki żołnierzy na koniach – same kobiety. Wskoczyłem na wierzchowca, którego podprowadziła mi Dara, i porwałem Tri na siodło. Pognaliśmy dzikim pędem ku świątyni.

Dzieliło nas od niej pół drogi, gdy zza przydrożnych drzew wylały się z obu stron białe, chyże strumienie... wilki! Jedne skoczyły do gardeł koniom, inne rzuciły się na jeźdźców. Przeszkodziło to pędowi naszych rumaków; potknęły się na tych, które już padły pod wilczymi kłami, i zwały beładnie na ziemię. Żołnierze, którzy podzielili ich los, zostali rozdarci na strzępy, nim zdążyli stanąć na nogach. My trafiliśmy w sam środek tego ociekającego krwią kłębowiska koni, ludzi i wilków.

Prosto do mego gardła skoczył olbrzymi basior o płomiennych, zielonych ślepiach, przywódca stada Lur. Brakło mi czasu na cios mieczem. Złapałem go za gardło lewą ręką, podniosłem w górę i cisnąłem nim przez ramię. Mimo to zdołał zahaczyć mnie zębami.

Wreszcie udało się nam uwolnić od napastników. Resztką, która pozostała przy życiu, pobieгла skowycząc naszym śladem. Lecz moja drużyna krwawo okupiła tę potyczkę.

Rozległo się dzwonięcie kowadła. Trzy uderzenia...

Kowadło Tubalki!

Boże! To prawda! Lur w świątyni... i Evalie... i Kalk’ru!

Rzuciliśmy się do bramy. Chór zaintonował już prastarą pieśń. Przy wejściu napierał tłum najeżony wprost od mieczy – to nobilowie; mężczyźni i kobiety.

– Po nich, Daro! Po karkach!

Runęliśmy na nich jak taran. Miecz odpierał miecz, w ruch poszły młoty i bojowe topory, a potem już tylko końskie kopyta!

Tri cały czas śpiewał swą piskliwą pieśń. Jego oszczep furczał, zakrzywiony miecz rozdawał ciosy na prawo i lewo.

Wdarliśmy się do świątyni! Śpiew się urwał. Chórzyści ruszyli do walki. Rzucili się na nas z mieczami, toporami i młotami, zakłuwali i rąbali nasze konie, nas ściągali z siodeł. Amfiteatr zmienił się we wściekły kocioł śmierci... Brzeg platformy znalazł się tuż przede mną. Spiałem konia, stanąłem mu na grzbiecie i przesadziłem jednym susem całą płytę. Tuż przy mnie, po prawej stronie, ujrzałem przy kowadle Ouarę z młotem wzniesionym do uderzenia. Rozległo się bicie w bębny... bębny przywołujące Kalk'ru. Dostrzegłem nad nimi pochylone plecy kapłanów.

Naprzeciwko nich, ze wzniesionym wysoko pierścieniem Kalk'ru – stała Lur.

Pomiędzy Czarownicą a oceanem kipiącym w żółtym kamieniu, stanowiącym wrota Kalk'ru, tkwili zakuci w złote obręcze mali ludzie – po dwóch w każdej. W Obręczy Wojownika... Evalie! Czarownica nie patrzyła na mnie. Nawet się nie obejrzała na kocioł amfiteatru, skąd dobiegały wściekłe wrzaski walczących cały czas nobilów i żołnierzy. Zainicjowała obrzęd!

Z krzykiem rzuciłem się na Ouarę. Wyrwałem jej z rąk wielki młot. Cisnąłem nim prosto w żółtą płytę... prosto w łeb Kalk'ru. Skupiłem w tym ruchu całą olbrzymią siłę, na jaką było mnie stać.

Płyta zatrzęszczała! Młot został odrzucony... upadł. Czarownica nadal mówiła swoje... dalej... dalej... nie pomyliła się ani razu...

Pęknięta płyta drgnęła. Kraken unoszony przez pulsujący ocean jakby się cofnął... wysunął się naprzód... Ruszyłem pędem po młot.

Na moment zatrzymałem się przy Evalie. Wcisnąłem ręce za złotą obręcz i złamałem ją, jakby była z drewna. Rzuciłem miecz do stóp dziewczyny.

– Broń się, Evalie!

Podniosłem wysoko młot. Ślepie Kalk'ru drgnęły. Błysnęły złością, świadome tego, co robię... Macki poruszyły się. Zaczął mnie ogarniać lodowaty, paraliżujący chłód... Zmobilizowałem całą siłę woli...

Rąbnąłem młotem Tubalki w żółty kamień... i jeszcze raz... i jeszcze!

Macki Kalk'ru wyciągały się w moją stronę!

Rozległ się przeraźliwy, suchy trzask, jakby gdzieś bardzo blisko uderzył piorun. Żółty kamień w płycie rozleciał się w kawałki, które posypały się na mnie niczym grad mieciony

podmuchał lodowatego huraganu. Wszystko wokół zadygotało jak przy trzęsieniu ziemi. Świątynia zakotyła się. Ramiona opadły mi bezwładnie, młot Tubalki, którego nie byłem w stanie dłużej utrzymać, gruchnął o ziemię. Lodowaty chłód wirował wokół mnie, wznosząc się coraz wyżej i wyżej... Potem rozległ się ostry, świdrujący w uszach pisk...

Kształt Krakena zawisł na moment w miejscu, w którym przedtem była płyta, po czym się skurczył, jakby coś wsysało go w jakąś bezmierną otchłań. Znikł.

Odżyłem!

Na kamiennej posadzce leżały pogruchotane resztki żółtego kamienia z czarnymi śladami po Krakenie w środku. Rozdeptałem je w drobny pył.

– Leifie!

To głos Evalie. Przerażliwy, rozdzierający. Błyskawicznie się obróciłem. Lur nacierała na mnie ze wzniesionym mieczem. Nim zdołałem się poruszyć, Evalie rzuciła się między nas i zaatakowała Czarownicę moim mieczem.

Lur odparowała cios, natarła gwałtownie... uderzyła mocno... Evalie upadła...

Teraz Czarownica skoczyła do mnie. Patrzyłem nieporuszony, obojętny, jak się zbliża. Krew na jej mieczu... To krew Evalie...

Nagle jakby błysk światła dotknął jej piersi. Stała w miejscu jak odepchnięta czyjaś ręką. Powoli osunęła się na kolana i padła na ziemię.

Ponad krawędź platformy wyskoczył wilczur i rzucił się na mnie z wyciem. Znów błysnęło światło. Wilczur przekoziółkował i padł w pół skoku.

Zobaczyłem przykucniętego Tri. Jeden z jego oszczepów tkwił w piersi Lur, drugi, identyczny, w gardle wilka. Mały człowieczek podbiegł do Evalie. Wstała trzymając się za ramię, z którego ciekła strużka krwi.

Szedłem do Lur. Poruszałem się sztywno jak automat. Biały wilk próbował się podnieść, ale nie dał rady, czołgał się tylko. Przywłókł się do Czarownicy przede mną. Położył jej łeb na piersi i zwrócił na mnie wściekle, choć już gasnące spojrzenie.

Czarownica patrzyła na mnie ze spokojem. Jej usta straciły wszelki ślad okrucieństwa. Były czułe. Uśmiechały się.

– Szkoda, żeś się tu zjawił, Żółtowłosey... – szepnęła. Potem jeszcze dodała: – Ai... ai... moje Jezioro Duchów...

Podniosła z wysiłkiem rękę i położyła ją pieszczotliwym gestem na łbie konającego wilka. Westchnęła...

Nie żyła.

Spojrzałem w wylęknione twarze Evalie i Dary.

– Evalie... Twoja rana...

– Niezbyt głęboka, Leifie. Szybko się zagoi. To głupstwo.

– Chwała ci, Dwayanu! – zawołała Dara. – Dokonałeś dziś wielkich rzeczy!

Uklękła i ucałowała moją dłoń. Teraz dopiero zauważyłem, że ci z moich ludzi, którzy przeżyli bitwę w świątyni, weszli na platformę i klęczeli przede mną. A także, że przy kowadle Tubalki leży Ouarda. Tri również klęczał, wpatrując się we mnie z uwielbieniem.

Usłyszałem łomot bębnow małych Judzi... ale już nie na drugim brzegu Nanbu. Tutaj, w Karaku... A nawet bliżej.

– Wracajmy, panie, do Karaku – rzekła Dara. – Teraz cały należy do ciebie.

– Uderz w swój bęben – poleciłem Tri. – Przekaż im, że Evalie żyje. Że Lur zginęła. Że wrota Kalk’ru są zamknięte na zawsze. Niech już nie będzie zabijania.

– To, co zrobiłeś, położyło kres wojnie między moim ludem a Karakiem – odparł. – Będziemy posłuszni tobie i Evalie. Powiem im o wszystkim.

Przerzucił bęben do przodu i podniósł ręce, przygotowując się do uderzenia. Powstrzymałem go.

– Zaczekaj, Tri. Nie zostanę tu, więc nie musicie mnie słuchać.

– Dwayanu! – krzyknęła Dara. – Chyba nas nie opuścisz!

– Owszem, Daro. Udam się tam, skąd przybyłem.

– Nie wracam do Karaku. I z małymi ludźmi też już skończyłem.

– A ja, Leifie? – spytała Evalie wstrzymując oddech.

Oparłem ręce na jej ramionach i zajrzałem w oczy.

– Ostatniej nocy szepnęłaś, że pojedziesz ze mną.

– Zwalniam cię z tej obietnicy. Myślę, że będziesz szczęśliwsza tutaj, ze swym małym ludkiem...

Sama wiem, gdzie moje szczęście – odpowiedziała spokojnie. – Dotrzymam obietnicy, chyba... że ty się rozmyśliłeś.

– Oczywiście, że nie, czarnulko. Naprawdę cię pragnę.

Odwróciła się do Tri.

– Przekaż im ode mnie wyrazy miłości. Nie zobaczę już mego ludu.

Mały człowiek rzucił się przed nią na ziemię, przywarł do jej stóp, zraszając je łzami pod osłoną włosów. Wreszcie przysiadł na piętach i przyglądał się długo zgruchotanym wrotom Krakena. Widziałem, że zaczyna pojmwować sekret. Podszedł do mnie i wyciągnął ręce, bym go podniósł. Kiedy to uczyniłem, uchylił moje powieki i zajrzał głęboko w oczy. Potem włożył mi rękę pod koszulę i przyłożył głowę do piersi, nasłuchując bicia serca. Wreszcie zsunął się na ziemię, pochylił ku sobie głowę Evalie i coś jej poszeptał.

– Wola Dwayanu jest naszą wolą – odezwała się Dara. – A jednak tak trudno zrozumieć,

czemu nie chce z nami zostać...

– Tri rozumie, Daro. Lepiej niż ja sam. Nie mogę.

Evalie przysunęła się do mnie. Jej oczy błyszczały od łez.

– Tri mówi, że musimy ruszać zaraz, Leifie. Szybko.

Mój lud nie może mnie zobaczyć. On im opowie językiem bębna jakąś historyjkę. Nie będzie już walki. Wreszcie zapanuje pokój.

Karzełek uruchomił swój bęben. Początkowo nikt mu nie odpowiadał, dopiero kiedy skończył, odezwały się znowu. Brzmiały radośnie, triumfalnie. Potem pojawił się ton pytający. Jeszcze raz Tri przesłał wiadomość. Odpowiedź była gniewna, rozkazująca, lecz dźwięczało w niej jakieś dziwne niedowierzanie.

– Szybko, szybko – popędzał mnie Tri.

– Zostaniemy z tobą, Dwayanu – rzekła Dara.

Kiwnąłem głową i spojrzałem na Lur. Na jej martwej dłoni zalśnił pierścień Kalk’ru. Zdjąłem go, po czym roztrzaskałem na kowadle Tubalki, tak jak to poprzednio uczyniłem z pierścieniem Yodina.

– Tri zna drogę – rzekła Evalie – która prowadzi prosto do twojego świata, Leifie. To gdzieś w górze rzeki. On nas poprowadzi.

– Czy ta droga przebiega koło Jeziora Duchów?

– Spytam go... tak, przechodzi.

– To dobrze. Udajemy się do kraju, w którym nie mogę się pokazać w takim ubraniu. Ciebie też trzeba jakoś zaopatrzyć.

Zabrałem Tri na siodło. Obok mnie jechała Evalie, z drugiej strony Dara. Głos bębnów brzmiał bardzo blisko. Przycichł, kiedy wypadliśmy z lasu na drogę. Pędziliśmy jak wiatr. Do Jeziora Duchów dotarliśmy dobrze po południu. Most był spuszczone, wokół żadnych żołnierzy. Zamek stał otworem – pusty. Odszukałem zawiniątko z moim ubraniem. Zrzuciłem z siebie splendory Dwayanu. Zabrałem topór wojenny, oszczepy dla siebie i Evalie, za pas zatknąłem krótki miecz. Teraz ta broń pomoże nam się wydostać, później może od niej zależeć zdobycie pożywienia. Wzięliśmy z zamku trochę żywności i parę skór, by Evalie miała się czym okryć poza mirażem.

Nie wchodziłem do komnaty Czarownicy. Słyszałem szum wodospadu i nie śmiałem nań spojrzeć...

Przez resztę popołudnia galopowaliśmy wzdłuż brzegów białej rzeki, ścigani głosem bębnów... penetrującym, natarczywym, nawołującym: „E-va-lie... E-va-lie, E-va-lie...”

Do skał w drugim końcu doliny dotarliśmy po zmroku. Nanbu wypływała tu silnym strumieniem z podziemnego źródła. Podjęliśmy drogę przez góry. Tri poprowadził nas

stopniowo wznoszącym się wąwozem. Rozbiliśmy tu obóz.

Długo siedziałem tej nocy, rozmyślając o spotkaniu Evalie z nowym światem, czekającym na nią nad mirażem, ze światem słońca i gwiazd, wiatru i chłodu. Długo się zastanawiałem, jak ją ochronić, zanim się przyzwyczai. Słuchałem, jak w oddali przyzywają ją bębny małych ludzi, obserwowałem, jak we śnie to popłakiwała, to znów się uśmiechała.

Musi się nauczyć oddychać. Wiedziałem, że kiedy wynurzy się z atmosfery, w której żyła od dzieciństwa, może na moment stracić oddech. Doprowadzi do tego nagłe pozbawienie składnika, do którego jest przyzwyczajona, czyli dwutlenku węgla. Evalie musi więc oddychać na siłę, póki nie wyrobi sobie odpowiedniego odruchu, tak by czynność ta stała się automatyczna i nie wymagała udziału świadomości. Może mieć z tym kłopoty, szczególnie w nocy. Wówczas ja muszę nad nią czuwać, sam nie śpiąc. Trzeba też będzie założyć jej opaskę na oczy, póki nerwy wzrokowe, przyzwyczajone do zielonkawego oświetlenia mirażu, nie przystosują się do silniejszego światła. Ciepłą odzież można sporządzić ze skór i futer. Ale jedzenie... zaraz, co to Jim mówił dawno, dawno temu? Że ci, którzy jedli pożywienie małych ludzi, umrą, jeśli zjedzą coś innego. Cóż, jest w tym coś z prawdy. Ale tylko częściowo... Jakoś sobie musimy poradzić.

O świcie przypomniałem sobie nagle o tobole, który ukryliśmy na brzegu Nanbu, uciekając przed wilkami. Jeśli da się go odnaleźć, można będzie rozwiązać problem ubrania Evalie. Powiedziałem o tym Darze. Razem z Tri udali się na poszukiwania. Jedna z kobiet zajęła się przygotowaniem jedzenia, ja zaś poinformowałem Evalie, co ma robić, by bezpiecznie przekroczyć próg dzielący jej świat od mojego.

Tri i Dara wrócili dopiero po dwóch dniach, ale tobół odnaleźli. Przynieśli też wiadomość o pokoju zawartym między Ajjirami a małymi ludźmi. Co do mnie zaś...

Dwayanu-Wybaczca zjawił się tak, jak głosiło prorocstwo. Zjawił się, by uwolnić ich od odwiecznego losu... po czym odszedł, bo miał do tego prawo, tam, skąd został wezwany. I wziął ze sobą Evalie. Do tego też miał prawo. Taką historię rozgłosił Tri.

Następnego ranka, kiedy światło wskazywało, że nad szczytami otaczającymi dolinę mirażu weszło słońce, ruszyliśmy w daleką drogę, przebrawszy przedtem Evalie za smukłego chłopaczka.

Pięliśmy się w górę, aż do granicy zielonej mgły. Tu trzeba się było pożegnać. Tri z płaczem przywarł do Evalie, całując jej ręce i stopy. Dara klepnęła mnie mocno w ramię.

– Wrócisz do nas, Dwayanu? Będziemy czekali!

Było to jak echo słów ujgurskiego wodza... jakże dawno temu!

Odwróciłem się i ruszyłem w górę. Evalie tuż za mną. Pomyślałem, że tak szła Eurydyka za swym ukochanym z innej krainy cienia, w innej, zamierzchłej epoce.

Sylwetki Tri i towarzyszących nam kobiet zaczęły się rozplýwać w zielonej mgle...

Ostry chłód owiał mi twarz. Porwałem Evalie w ramiona i tak posuwaliśmy się w górę, krok po kroku, póki nie dotarliśmy wreszcie na zalane ciepłymi promieniami słońca zbocza ponad niecką przepaści.

Dopiero o świcie udało mi się wygrać długą, ciężką walkę o życie Evalie. Miraż niełatwo zgodził się na jej stratę. Następnie skręciliśmy na południe i podjęliśmy wędrówkę.

A jednak...

AU Lur... Czarownico! Wciąż cię mam przed oczami, jak leżysz tam z białym wilczym łbem na piersi... Uśmiechasz się... Twe wargi nabrzmiewają coraz większą czułością... A we mnie nadal siedzi Dwayanu!